.... St. „Gospoda Polska"

za przetrzymanie książki poza wskazany termin abonament płaci 5 fen kary za każdy dzień.

....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....
....	....	....	....	....

Wybór Pism w X Tomach.

Klemens Junosza.

WYBÓR PISM

W X TOMACH.

TOM V.

ORYGINAŁ Z PISKORZEWA.
FOLWARK DO SPRZEDANIA.
SPEKULACYE PANI MILSKIEJ.
ICEK PODWÓJNY.

NAKŁADEM AUTORA.

WARSZAWA.
DRUKARNIA ARTYSTYCZNA S. SIKORSKIEGO
Nowy-Świat Nr. 47.

1893.

Дозволено Ценаурою.

Варшава, дня 28 Іюля 1893 года.

ORYGINAŁ Z PISKORZEWA.

Stare żydowskie przysłowie powiada, że każde miasto ma swego waryata. Ponieważ przysłowia wogóle są mądrością narodów, ponieważ mądrość żydowska ma być podobno lepsza od innych, i ponieważ mądrość z prawdą niekiedy chodzi w parze,—więc trzeba przysłowiu dać wiarę.

W miasteczku Piskorzewie było waryatów aż dwóch. Jeden, jeżeli się tak wyrazić wolno, etatowy, istniejący zda się, dla stwierdzenia żydowskiego przysłowia—drugi zaś prywatny, wolno praktykujący, ot taki sobie waryat, który popełnia głupstwa dla przyjemności osobiste i na własny rachunek.

Pierwszy, ponieważ istniał dla stwierdzenia żydowskiego przysłowia, był oczywiście żydem. Miał idyotyczny wyraz twarzy, rudawe włosy i bródkę, jeden pejs takiegoż koloru, oczy baranie, wytrzeszczone, twarz upstrzoną piegami. Chodził bosy, obdarty, w łachmanach, sypiał zimową porą w przedsionku bóżnicy, latem na dworze, a żył tem, co mu miłosierni ludzie, dość skąpo zresztą, dawali.

Letnią porą włóczył się po lasach, zaglądał do ogrodów, gdzie zdarzało mu się niekiedy ukraść trochę

rzepy, cebuli, lub owoców, — i to była najwyższa rozkosz tego biedaka.

Gdy się ukazał na ulicy, biegła za nim z krzykiem gromada bachorów, obrzucała go kamykami, lub błotem, a on to z filozoficznym spokojem przyjmował, jakby rozumiejąc, że stanowisko waryata miejskiego, oprócz skąpej jałmużny, daje także obelgi i szturchańce. Każde stanowisko ma swoje dobre i złe strony,—jedno daje dużo honoru, a mało pieniędzy, inne na odwrót, dużo pieniędzy, a mało honoru, a są i takie, co ani pieniędzy, ani zaszczytów nie przynoszą.

Ostatecznie waryatowi temu nie było tak najgorzej na świecie: dostawał on od nabożnych żydówek śledziowe główki, od obywateli bezzębnych skórki chleba, niekiedy ktoś hojniejszy dał mu kilka gotowanych kartofli, a Jojna Meir Grinszpan, członek kahału i mąż wielce miłosiernego serca, który nigdy ubogiego w potrzebie nie opuścił, częstował go przy każdem spotkaniu tabaką.

Byli nawet i ludzie, którzy zazdrościli szczęścia szaleńcowi i spoglądali na niego z zawiścią, a trzeba przyznać, że mieli do pewnego stopnia słuszność.

Dla nędzarza-szaleńca, lub nędzarza-kaleki, jest jałmużna, są szpitale; przed nędzarzem przestępcą otwiera gościnne podwoje kryminał, urządzony po europejsku, z pewnym nawet komfortem i wygodą dla swych pensyonarzy—nędzarz zaś, nie kaleka i nie złodziej, pozostawiony jest własnemu losowi.

Wielkie to jeszcze szczęście, jeżeli ów biedak przyszedł na świat w chacie wiejskiej, i jeżeli pochodzi ze

zwyczajnej chłopskiej rodziny; taki ma zdrowy grzbiet, zdrowe ręce, nie myśli o świetnych przodkach, ani o niebieskich migdałach i nie skompromituje się, wziąwszy do rąk siekierę, łopatę, widły, lub podobne ordynaryjne narzędzia. Taki pracuje, zarabia—i ostatecznie, ma co jeść, ma w czem chodzić i gdzie się przespać. Takiemu dobrze,—ale nędzarz, który ujrzał światło dzienne w pięknem mieście Piskorzewie, nędzarz, pyszniący się szeregiem uczonych przodków, którzy nigdy nie splamili swych rąk ordynaryjną robotą, nędzarz delikatny, ma zupełną racyę zazdrościć losu szaleńcowi żyjącemu z jałmużny.

Berek Przepadło, inaczej zwany Berek „hamszuge“, lub po prostu „waryat“, nie zdawał sobie zapewne sprawy z położenia, w jakiem się znajdował, nie narzekał na los swój i przepędzał czas bardzo wesoło, i o ile się zdaje—bez troski.

Opinię miał ustaloną, nikt nie nazywał go ani małym, ani wielkim waryatem, mówiono o nim tylko, że jest waryat zwyczajny, mający w sobie akurat tyle nieszkodliwej głupoty, ile potrzeba dla waryata tak małego miasta jak Piskorzew. Szewcy piskorzewscy nie wyrabiali balowych lakierków, krawcy nie szyli frakowych garniturów, dla czegoż by piskorzewski waryat miał popełniać nadzwyczajne jakieś wybryki!?

. . . .

Co do drugiego waryata opinia publiczna miasta Piskorzewa miała twardy orzech do zgryzienia i wahała się ona długo w jedną i drugą stronę, jak rozbujana huśtawka, zanim wydała wyrok, oparty na licznych,

a różnorodnych motywach. Istotnie, co do Berka, od razu wiedziano czego się trzymać, dość było tylko zawołać głośno: „hej waryat!“ a on zaraz się oglądał i wyciągał rękę po datek; na tamtego zaś trzeba było mówić: „panie dobrodzieju“ i w oczy przynajmniej traktować go jako człowieka, posiadającego wszystkie pięć klepek w głowie...

Trzeba przyznać opinii publicznej miasta Piskorzewa, że wydała wyrok po długim namyśle i na podstawie szeregu faktów, z których każdy wzięty oddzielnie był co najmniej dwuznacznym, a wszystkie razem tworzyły istny bigos psychopatyczny,—i wprowadzały inteligencyę piskorzewską w coraz większe zdumienie.

I to bowiem wiedzieć należy, że grupa ludzi, która zawyrokowała o stanie umysłowym pana Dezyderego, składała się wyłącznie z osób inteligentnych. Ciemne pospólstwo miało o tym człowieku zupełnie inne przekonanie.

Kiedy pan Dezydery przybył do Piskorzewa i kupił ładny domek z ogrodem, położony na uboczu, przy samej prawie rogatce, zaczęły się zaraz różne gawędy.

Zdawało się, że w powietrzu unoszą się znaki zapytania i wykrzykniki.

Dla czego kupił? Dla czego w Piskorzewie, a nie gdzieindziej? Dla czego na uboczu, a nie w rynku, lub na pryncypalnej ulicy? Co w tem jest?

I w rzeczy samej cóż to? Ni ztąd ni zowąd zjawia się jegomość jakiś, przyzwoicie ubrany, nie biedny, nabywa dom, sprowadza się i mieszka. Na pozór niby

nic, alc zastanowiwszy się głębiej, można przypuszczać Bóg wie co.

Przebudowywa dom z gruntu, ozdabia go, ze zwykłej chałupy robi coś w rodzaju willi, jak gdyby nie w Piskorzewie, lecz w Szwajcaryi. Robotnicy opowiadają cuda o ścianach, oknach, obiciach, posadzkach, piecach; mówią, że nawet w aptece nie jest tak bogato i pięknie jak w tej willi... Buduje w podwórzu obszerną piwnicę i lodownię,—to jest podoba mu się mówić, że to piwnica i lodownia, któż jednak zaręczy, czy w rzeczywistości nie będzie to potajemna gorzelnia, albo fabryka fałszywych pieniędzy!

Bywały już i takie wydarzenia.

Sprowadza ogrodnika, burzy cały ogród. sadzi drzewa rozmaite, brzoskwinie, wino, zakłada szparagarnię, inspekta, zaprowadza masę kwiatów w oszklonym budynku.

Kpi, czy o drogę pyta? Kogo chce łudzić? bo jeżeli inteligencyę piskorzewską, to się źle wybrał, — ona się w pole wyprowadzić nie da.

Urządził się już zupełnie – mieszka. Latem prawie ciągle pracuje w ogrodzie, zimą siedzi w swoim gabinecie i czyta. Ma mnóstwo książek, dwie szafy pełne tej bibuły, trzyma też kilka pism warszawskich i parę zagranicznych; nie bywa nigdzie, w karty nie gra, nie ma żony ani dzieci—i trzyma gospodynię, babę starą, opryskliwą i złą jak dyabeł. O tej gospodyni mówiono przez kilka tygodni w Piskorzewie.

Jedna dama, z grona inteligencyi, i to inteligencyi grubszej, albowiem mówiła po francuzku, wyczytała w ja-

kimś starym romansie nadzwyczajną historyę... i tak była nią wzruszona, że przez całą noc oka zmrużyć nie mogła. Rano wstała bardzo wcześnie, ubrała się i pobiegła do najbliższej sąsiadki.

— Powiem pani coś nadzwyczajnego. — zawołała zaraz na wstępie,—ale sekret!...

— O, znasz mnie pani, żem do tego jedyna...

— Tajęmnica... dopóki się wszystko nie wyjaśni — słowo?

— Choćby dziesięć...

— A więc... posłuchaj mnie pani...

— Słucham, słucham...

— Czy tu nikt nie wejdzie?

— Nikt a nikt...

— Jednak dla pewności, zamknij pani drzwi na klucz... a teraz zaczynam: Wygląda to może na bajkę, ale uważaj pani: pewien wielki rozpustnik, choć już nie pierwszej młodości...

— Ach! domyślam się... Dezydery!

— Nie... hrabia de... de, jakże go tam, de la Sauce-Piquante.

— Hrabia! więc on jest hrabia... Czy wie pani, że mnie od razu to na myśl przyszło...

— Ależ on jest zbrodniarz!

— O i to zauważyłam od pierwszego wejrzenia... ale dalej, mów pani dalej, na Boga!

— Powoli — rzekła dama—dowiesz się pani pięknych rzeczy.Otóż pan hrabia de la Sauce-Piquante upatrzył sobie w sąsiednim zamku cudnej urody panienkę,

z porządnej rodziny, baronównę de Tourtourelle—i wykradł ją z domu rodziców.

— Ach! łotr!

— Dziewczyna miała szesnaście lat...

— Szesnaście!...

— Nawet nie zupełnie skończone... Nie będę pani opowiadała szczegółów, dość że zbałamucił dziecko, wykradł, wywiózł, i oboje jak kamień w wodę... przepadli. Ojciec poruszył wszelkie sprężyny, zawiadomił policyę, sprowadził najzdolniejszych agentów z Paryża...

— I cóż moja pani, złapali?

— Nie... wykryło się dopiero w kilka lat później...

— Jakim cudem?

— Niech pani słucha uważnie... Do pewnego miasteczka w południowej Francyi przybył jakiś pan, bardzo poważny, zdaje się dość zamożny... niby rentier, niby ex-profesor... niby coś, nabył dom.

— Dezydery!

— Ja nie powiadam, że to on. Nabył dom, odnowił go, wyelegantował, urządził z wielkiem szykiem.

— Ależ to Dezydery!

— Powtarzam pani, że tego nie twierdzę... Wyelegantował dom i zamieszkał w nim ze starą, brzydką jak nieszczęście, gospodynią.

— Wojciechowa!

— Czekaj że pani... mieszkał przez kilka lat... aż jednego razu, przypadkiem, wykryła się prawda. Młody chłopiec, syn węglarza, skończony łotr, dostał się do ogrodu owego jegomościa, już późnym wieczorem, właściwie nawet w nocy, po prostu, aby kraść gruszki.

— No, no...

— Wystaw sobie pani, wdrapał się na drzewo, w tem w oknie na górze błysnęło światło. Naturalnie chłopiec przytulił się do gałęzi i czekał... Czeka tedy, patrzy i widzi doskonale co się dzieje. Do pokoju weszła z bogatym kandelabrem w ręku stara gospodyni i zasiadła przed lustrem.

— O stara sekutnica! co za bezczelność, co za bezczelność! Doprawdy, niedługo sługi będą już chyba przed ołtarzami siadały!!

— Więc zasiadła sobie przed lustrem i wyobraź pani sobie, zdejmuje z głowy czepiec i ogromną siwą perukę...

— Niepodobna!

— Aha... a z pod peruki sypie się kaskada pysznych blond włosów.

— Jezus Marya!

— Następnie zdejmuje z twarzy maskę i okazuje się buzia tak piękna, tak urocza...

— A stary łajdak! Moja pani, moja najdroższa pani, więc ta Wojciechowa, któżby się spodziewał?! — a wie pani, że ja od pierwszego wejrzenia poznałam, że w tej babie jest coś nienaturalnego... coś takiego... ruchy zanadto żywe, głos... I któż to odkrył? moja pani, kto?

— Jeszcze nikt nie odkrył, jest to tylko moje przypuszczenie... Sekret, sza, trzeba obserwować i zdemaskować...

— Obserwować i zdemaskować!...

— Ale jak?

— Nic łatwiejszego, pilnować bacznie, przecież się kiedyś zdradzi.

Gospodyni pana Dezyderego powróciwszy z targu, przystąpiła wprost do swego pana.

— Panie, — rzekła na wpół z płaczem, — czy mi rogi na łbie wyrosły, czy co takiego się stało ze mną dziwnego?

— No?

— A oto przejść mi spokojnie nie dają. Z dziesięć pań mnie zaczepiło na mieście, a przypatrywały mi się, a zagadywały, a zaglądały w oczy.., a jeden stateczny pan jakiś, podobno aptekarz, to mnie w brodę uszczypnął... powiedziałam też zbereźnikowi staremu, aż mu w pięty poszło... Oh! panie, ja ztąd ucieknę... w Warszawie, na Starem Mieście, mnie ludzie szanowali, a tu patrzą jak na raroga...

— Uspokój się kobiecino,—rzekł pan Dezydery,— ludzie są ludźmi, pogapią się i przestaną. Czy ci to ubliża, że kto patrzy na ciebie?..

— Juści że niemiło... Dam na mszę do Przemienienia Pańskiego, może się Pan Jezus zmiłuje nademną.

. . . .

Więc chyba nie zbrodniarz? Tak się zdaje przynajmniej...

Mieszka już w Piskorzewie cały rok, nie wyjeżdża nigdzie, osób podejrzanych nie przyjmuje, a niepodejrzanych nie zaprasza... W ogrodzie hoduje prawdziwe kwiaty i prawdziwe owoce, do lodowni zwożą mu w zimie autentyczny lód. Okienic prawie nigdy nie zamyka, moż-

na go widzieć z ulicy, zwłaszcza wieczorem, jak siedzi pochylony nad książką, lub gazetą, jak czyta albo pisze.

W ogóle nie ukrywa się, kto chce może podpatrywać go dowoli. Zdaje się więc, że wódki potajemnie nie pędzi, że fałszywej monety nie wyrabia. Zdradził by go przecież jakiś dym, odór, stuk, a ludzie nie napróżno mają nosy, uszy i oczy.

Wojciechowa, choć różnie o tem mówiono, jest jak się zdaje autentyczną starą babą, a przynajmniej niema dowodu, żeby była nieautentyczną. Jej małomówność, unikanie ludzi, mrukliwość, są wprawdzie mocno podejrzane; ale przygarbiona postać, ręce duże, zapracowane, wyschłe, oczy jakby zamglone, głos rozbity, dowodzą, że albo Wojciechowa jest starą babą na prawdę, albo też, że sztuka fałszowania doszła do ostatnich granic doskonałości i dalej już ani na krok nie postąpi.

Damy orzekły, że dziewczyna egzaltowana mogłaby się zdobyć na taki heroizm i przybrać na siebie maskę starej i brzydkiej kobiety. Jest to nieprawdopodobne, ale ostatecznie możliwe;—ale żeby wytrzymać w takiem przebraniu przez cały rok, żeby podejmować roboty, od których ręce naprawdę grubieją i zupełnie tracą delikatność, to już niepodobne do wiary. Można się wyrzec wdzięków na parę godzin, na dwa dni, wreszcie dla niezmiernie ukochanego człowieka na tydzień, ale na rok, na cały rok, nie, to już nad siły ludzkie!...

Bądź co bądź, niewiadomo kto jest Dezydery, a raczej wiadomo bardzo niewiele. Zaraz po przybyciu i kupnie domu, złożył swoją legitymacyę w magistracie, do własnych rąk pana burmistrza. Pokazało się z niej tyle

tylko, że przybysz, przedmiotem ciekawości powszechnej będący, nazywa się Dezydery X, że ma lat 56, że jest chrześcijanin i wdowiec, że posiada stopień kandydata nauk przyrodzonych, że trudnił się nauczycielstwem, a obecnie utrzymuje się z własnych funduszów; że nakoniec ma wzrost średni, tuszę średnią, oczy siwe, włosy szpakowate, nos, usta i brodę umiarkowane, i że żadnemi znakami szczególnemi się nie odznacza, oto i wszystko.

Najlepsi komentatorowie i badacze uczynków bliźniego nie wiele z tak szczupłego materyału wycisną...

Dwa szczegóły legitymacyi przemawiały poniekąd na korzyść pana Dezyderego, mianowicie, że jest wdowiec i że utrzymuje się z własnych funduszów. Kto ma córki na wydaniu, nie lekceważy ani wdowców, ani tak zwanych „własnych funduszów"; wprawdzie bruździł tu nieco wiek, lat 56,—ale starsze panie powiedziały, że to głupstwo, gdyż mężczyznę w tym wieku najłatwiej zawojować... i w razie sporządzenia jakiego zapisu „po najdłuższem życiu", oczekiwanie może nie być zbyt długie...

Osoby interesowane usiłowały zbadać życie pana Dezyderego pod względem rodzinnym. Jedynem źródłem informacyj mogła być tylko Wojciechowa, kobieta wyjątkowo mrukliwa i małomówna, — ale i z tego kamienia zdołano wodę wycisnąć. Baba wygadała się niechcący, że jej pan był najlepszym mężem dla swej żony i najczulszym ojcem dwojga małych dziatek, że gdy wszystko troje utracił i pochował, rozpaczał strasznie, przez parę miesięcy chorował bez nadziei życia, potem włóczył się po świecie, był za górami, za morzami, aż

nareszcie powrócił, ale już w Warszawie mieszkać nie chciał, czy nie mógł, więc kupił domek w Piskorzewie i osiedlił się tu, niewiadomo po co...

Otóż to! niewiadomo po co! Zagadka nierozwiązana; niby się coś wykryło, a właściwie nic się nie wykryło.

W każdym razie to chyba nie jest zbrodniarz, nie! ale w takim razie któż?

. . . .

W ogóle postępowanie jest dziwne... i zagadkowe. Niby od ludzi nie stroni, ale też ich nie szuka; oddaje ukłony, zaczepiony na ulicy, lub na spacerze, rozmawia, jest dla każdego uprzejmy, ale ani zaproszeń nie przyjmuje, ani do siebie nie zaprasza nikogo... Zawsze smutny, poważny, nie uśmiecha się nigdy, chyba do dzieci, które bardzo lubi i często drobnemi upominkami obdarza.

Pewnego razu pani regentowa piskorzewska spytała pana Romana, pełnego inteligencyi sekretarza magistratu, żeby wytłómaczył jej, co to jest melancholia.

Na razie młodzieniec nic nie odrzekł, zrobił tylko minę tajemniczą i przyrzekł, że za pierwszą bytnością w mieście gubernialnem dowie się jak najdokładniej.

— Tymczasem mogę panią dobrodziejkę zapewnić, —dodał,—że nie jest to nic nadzwyczajnego; bardzo niewinny rodzaj literatury w znaczeniu prostem, a w przenośnem jak kto chce; można tłómaczyć tak, a można i tak, zależnie od okoliczności.

Pani regentowa była dama z temperamentem i nie lubiła czekać... to też wyszedłszy w towarzystwie na spacer za miatto, i spotkawszy doktora, zaczepiła go zaraz.

— Na miłość Boską, doktorze, wytłomacz mi co to jest melancholia?!

Doktór, poczciwy starowina, zaskoczony znienacka, włożył na nos okulary, otarł czoło czerwoną chustką w kraty i rzekł:

— Chce pani wiedzieć co to jest melancholia? Czy dobrze słyszałem?

— Tak.

— To źle!... Czyżby szanowny regent?

— Ależ ja nie pytam doktora o safandulstwo, tylko o melancholię; pytam dla własnej ciekawości, chcę wiedzieć.

— To źle pani dobrodziejko, to źle!...

— Więc mi pan nie powie?

— Jeżeli pani chce koniecznie...

— Proszę, bardzo proszę.

— Melancholia pani dobrodziejko jest to choroba.

— Byłam tego prawie pewna...

— Jest to rodzaj psychozy.

— Mów pan po ludzku, psy, kozy... psy... kozy, nie rozumiem tego...

— Zaraz, pani dobrodziejko, powoli... Melancholia jest to choroba umysłowa, niedobra choroba; jest to, iż tak powiem, zboczenie w sferze czucia. Osobnik dotknięty tą chorobą stwarza sobie i wymyśla różne cierpienia urojone. Jeżeli jest melancholia bierna, cierpi z rezygnacyą i w milczeniu, stroni od ludzi, nie mówi do nikogo,—jeżeli czynna, to szaleje, rzuca się i w takim razie ubiera go się w kaftan... Widzi pani dobrodziejka — dodał, zażywając potężny niuch tabaki—gatunków bzi-

ka jest znacznie więcej, aniżeli nazw kapeluszy damskich... jest paranoia, są tysiące illuzyj, manij, monomanij, deliriów...

— Ależ doktorze, koniec końcem, melancholia jest rodzajem bzika?

— Bezwątpienia, pani dobrodziejko.

— Objawia się smutkiem i małomównością?

— Jeżeli bierna.

— No, to już wiem co mi potrzeba. Dziękuję panu serdecznie za tę informacyą.

— Pozwoli pani zbadać pulsik?...

— Dajże pan pokój, cóż znowu!? Czy wyglądam żle...

— Nie, ale ta kwestya melancholii...

— Cóż?

— Wogóle o takich rzeczach myśleć jest żle.

— Eh! nudziarz z pana!...

Od tego wieczoru inteligencya piskorzewska znowuż zaczęła spoglądać na pana Dezyderego podejrzliwie i nie bez pewnej obawy... Zupełnie uzasadnionych powodów nie było, ale bądź co bądź... pewne objawy dawały do myślenia.

. . . .

Inteligentne panny miasta Piskorzewa uznały jednozgodnie, że imię Dezydery samo przez się jest śmieszne i dziwaczne, niby „Hermenegilda“ żeńskiego rodzaju, a człowiek który je nosi... Właściwie cóż ma robić? Skoro mu takie nadano, więc je ma, chociaż mógłby na biletach wizytowych mienić się Arturem, Adolfem, lub Zenonem... Nie czyni tego wskutek melancholii, tem go-

rzej dla niego, bo trudno sobie wyobrazić, żeby się znalazła panienka, którąby zdecydowała się zostać panią De-zy-de-ro-wą! Żeby nie to, kto wie? Dezydery na starca nie wygląda; powabny wprawdzie nie jest, ale prezentuje się bardzo dobrze, jego dom i ogród jest nawet pełen wdzięku, a majątek, jak mówią, zachwycający. Niewiadomo zkąd rozeszła się pogłoska, że pan Dezydery ma kapitał w banku. Czemuż sam tylko korzysta z procentu, czemuż nie poszuka sobie dozgonnej towarzyszki życia, lecz siedzi w swych pięknych pokojach, lub w ogrodzie, posępny, samotny, milczący...

— Czemu?

Regentowa powiada, że to melancholia w najgorszym gatunku; zaś panie, mające córki na wydaniu twierdzą, że nie melancholia, ale impertynencya poprostu i egoizm, rozwinięty do najwyższego stopnia.

Pan sekretarz jest zdania, że można sądzić o tem tak albo tak, stosownie do okoliczności.

Bądź co bądź takie zamykanie się w sobie, zamiłowanie samotności objawem normalnym nie jest... Niechęć do gry w karty! Nietylko w Piskorzewie, ale na całym cywilizowanym świecie ludzie w karty grają. I to nie byle jacy ludzie, mężowie poważni, rozumni, zasłużeni... Któż bo nie lubi zasiąść wieczorem do zielonego stolika i zatrudnić umysł kombinacyami gry? Cały świat i cały inteligentny Piskorzew gra,—dla czego Dezydery nie chce?

Czy mu żal pieniędzy, które mógłby przegrać? Nie, skąpy on nie jest... czy ludźmi pogardza? I to nie, dla każdego jest uprzedzająco grzeczny. Czy może cza-

su mu brak? Także nie—bo kto może przesiadywać po całych dniach nad książkami, mógłby poświęcić parę godzin na grę... Przyczyny trzeba szukać jedynie w chorobliwym stanie umysłu.

Bezwątpienia... To człowiek apatyczny, którego nie obchodzi nic... Nie pyta nigdy co słychać, o kim mowią dobrze lub źle, sam nie wyraża o nikim swego zdania i wogóle nie zajmuje się tem, co złośliwi zowią plotkami, a co w gruncie rzeczy jest, tak pożądaną w interesach moralności, kontrolą ogółu nad postępowaniem jednostek.

Regentowa ma słuszność... panu Dezyderemu czegoś brakuje...

. . . .

Ludzie, którzy są w przekonaniu, że mają władze umysłowe w zupełnym porządku, a zdaje się, że to przekonanie mają bez wyjątku wszyscy,—przy spotkaniu się z człowiekiem podejrzewanym o brak piątej klepki... doznają pewnego zaniepokojenia i obawy. Któż może przewidzieć co powie, albo co uczyni waryat, w jakim kierunku popchnie go chory umysł?... Chociaż jest niby spokojny, choć ludzi nie zaczepia, ale zawsze... Beczka prochu jest także bardzo spokojna, dopóki jej nie zaczepi drobna, malutka iskierka... to też pan burmistrz, powracający samotnie z przechadzki zamiejskiej, wcale się nie ucieszył, ujrzawszy za miastem pana Dezyderego. Cóż jednak miał robić; ukłonił się i przyśpieszył kroku, jak gdyby powoływała go jakaś nadzwyczajna, ważna czynność. Dezydery jednak, wbrew zwyczajowi, zaczepił gospodarza miasta.

— Panie prezydencie — rzekł—co myślicie zrobić z tym chłopakiem, którego ujęto dziś na kradzieży u Mośka?

— Tymczasem siedzi w kozie.

— A dalej?

— Odeślę go do sędziego, a sędzia wpakuje go gdzie należy. Prosta rzecz jak drut: zegarek powinien siedzieć w kieszeni od kamizelki, a złodziej w kryminale.

— Taki młody chłopak, prawie dzieciak!...

— Któż mu kazał kraść?!

— W towarzystwie kryminalistów zepsuje się do reszty i zostanie skończonym łotrem... Szkoda go, nieprawdaż panie?...

— Może i szkoda, ale czemu kradł?...

— Niestety, wszyscy ci mali złodzieje mają jedną matkę, a tą jest ciemnota...

Burmistrz nic nie odpowiedział, spojrzał tylko na pana Dezyderego z pod oka i pomyślał sobie:

— Bredzisz dobrodzieju... jedną matkę! Gdzieżby jedna matka mogła mieć tylu synów, ilu jest złodziei na świecie!? Złodziej, któregom dziś zamknął, wcale nie ma matki, tylko ojca nicponia i pijaka, jakiego świat nie widział...

Po chwili pan Dezydery odezwał się znowu.

— Jednak to są objawy smutne... trzebaby coś radzić, jakie jest pańskie zdanie?...

— Jakież może być zdanie?! Protokół i do sądu. Co ja więcej mogę.

— Wie pan co, panie prezydencie, ponieważ tu

osiedliłem się, tu mieszkam i tu zapewne życie skończę, przeto chciałbym miastu zostawić pamiątkę...

Burmistrz zbladł.

— Pamiątkę—rzekł—cóż znowu? jakąż pamiątkę?

— Niedługo się pan dowiesz, — rzekł Dezydery z tajemniczym uśmiechem i pożegnawszy burmistrza, poszedł w swoją stronę.

Wyraźnie pogróżka... Jaką pamiątkę może dać miastu człowiek, któremu braknie piątej klepki? Chyba podpali na cztery rogi Piskorzew i puści go z dymem. Nieszczęście go tu przyniosło; nie mógł sobie wynaleźć domu gdzieindziej, tylko w Piskorzewie! koniecznie w Piskorzewie!

Zanim się udał na spoczynek, prezydent zawołał swoich pachołków, kazał im nasmarować koła u sikawek i beczek, oraz zapowiedział, że w nocy osobiście kontrolować będzie, czy stróże nocni są na stanowiskach... Dziwną im się wydała ta energia niezwykła, ale spełnili co im rozkazano. W nocy rozlegał się trzask grzechotek, świadczący, że straż czuwa, a prezydent usnął dopiero nad ranem i miał sen niespokojny, gdyż sądził, że lada chwila dzwon alarmowy go zbudzi.

Rano, zaspane listopadowe słońce zajaśniało nad Piskorzewem, który był taki sam jak wczoraj, cały, nienaruszony, brudny, pełen śmieci i błota, jak zwykle...

Waryat nie spełnił pogróżki, ale któż wie, co jutro przyniesie?

. . . .

Nie przyniosło nic ani jutro, ani dni następne.

Życie płynęło zwykłym trybem, tylko pan Dezydery zaczął się ruszać...

Konferował o czemś z faktorem, wyjeżdżał kilka razy i był niezwykle ożywiony. Widocznie jakaś myśl bardzo go zajmowała.

Co rano przychodził do burmistrza żydek jeden, Mordka Kiełbik, o nieokreślonem ściśle stanowisku, ale bardzo czynny, ruchliwy i wiedzący o wszystkiem, co się w mieście dzieje. Ponieważ Piskorzew nie posiadał własnej gazety, Mordka pełnił funkcyę dziennika i informował chętnie o wszystkiem, począwszy od polityki, aż do cen zboża...

Pewnego dnia Mordka przyszedł do burmistrza wcześniej niż zwykle; właśnie gospodarz miasta Piskorzewa, w charakterze zupełnie prywatnym, w pantoflach i watowanym szlafroku, zasiadał do herbaty, gdy mu oznajmiono przybycie wszystkowiedza. Mordka z tajemniczą miną wsunął się do pokoju.

— Cóż tak wcześnie dziś, — spytał burmistrz, — czy stało się co ważnego?

— Poszę pana prezydenta, trochę się już stało, trochę się staje, a co się ma stać, to wcale nie jest trochę, tylko bardzo dużo!

— No, no—gadaj-że, zabili kogo, czy okradli?

— Zabić, Bogu dziękować nie zabili, ale to co zrobili niełądnie jest... Ktoby się spodziewał na takiego cichego, spokojnego, porządnego pana... pfe!

— O kim mówisz, u licha!

— No, o tym panu co ma dom po sędzinie.

— O Dezyderym?! cóż on zrobił?

— Niech się pan prezydent spyta czego on nie zrobił? Wiadomo panu, że Michał Baranek, chciał sprzedać plac na Wjazdowej ulicy.

— No, wiem.

— To śliczny plac, on jest stworzony na to, żeby na nim postawić szynk i zajazd, to też Symcha Grünbaum targował ten plac i nie chciał go z ręki wypuścić.

— I kupił?

— Niechno pan czeka. On chciał kupić, on był pewny że kupi, on wiedział, że z naszych nikt mu przeszkody nie zrobi, a katolikowi taki plac na nic. Byłby już może i kupił, ale Baranek niedawno sprzedał krowę i przez to zrobił się okropnie hardy. Więc Symcha miał czekać, aż on tę krowę wypije i aż mu się znowu zachce pić, to wtedy spuści z ceny i za byle co sprzeda. Symcha czekał, pewny swojego. Tymczasem, niechno pan prezydent słucha, wczoraj ten pan, jak się nazywa?

— Dezydery?

— No, ten pan Dezery, posłał po Baranka, dał mu więcej niż Symcha chciał dać i plac kupił. Zaraz zrobili kontrakt u regenta. To jest wielka krzywda, panie prezydencie. Symcha płakał, włosy sobie z brody wyrywał, chciał dać sto rubli odstępnego, ale tamten nie przystał... powiedział, że o tym placu już dawno myśli i że się bez niego nie obejdzie?

— Na co jemu ten plac?

— Powiada, że mu potrzebny, że będzie dom budował i wie pan co się pokazało?

— No?

— Pokazało się, że już drzewo kupione, cegła kupiona, wszystko co potrzeba. Zaraz z wiosny zaczną budować. Słyszałem, że ma być jakiś dom osobliwy, całkiem zagraniczną modą...

— Co jemu po tem?

— Albo ja wiem, — a panie prezydencie co jego obchodzi nasz waryat? nasz żydowski waryat—i do niego także musiał się wtrącić!

— Wasz waryat?

— No tak, głupi Berek. To jest cała historya!... Wczoraj ten pan Dezery szedł przez miasto i spotkał Berka na ulicy. Co prawda teraz jest trochę chłodno— i to też prawda, że Berek nie ma bardzo pięknej garderoby. Więcej w niej dziur aniżeli sukna. Ten pan, zamiast pójść spokojnie swoją drogą, to udał się prosto do rabina. Tam byli najbogatsi obywatele i najporządniejsi szynkarze, kahalni, cała starszyzna! Oni się bardzo zdziwili, oni pytali—czego pan chce? On też powiedział! Nie chcę powtarzać co on powiedział, ale to wcale nie było piękne słowo...

— Czegóż chciał od rabina i od żydów?

— Aj panie prezydencie, on mówił, że Berek, ten głupi obdarty Berek, ten waryat, to jest wstyd dla rabina, dla kahału, dla całego miasta, że on nie powinien być ani obdarty, ani zmarznięty, ani głodny, bo to jest dla nas, niby dla wszystkich żydów, fe! Kahalni powiedzieli, że nie ma na to pieniędzy — a on wyjął z kieszeni pięćdziesiąt rubli, oddał rabinowi i powiedział, że to na ubranie dla Berka... a potem wcale nic nie mówił, tylko sobie poszedł...

— Waryat, czysty waryat!...

— I mnie się tak zdaje, ale on miłosierny jest Rabin długo siedział i nic nie mówił, myślał tylko i wzdychał; potem kazał zawołać szewca, krawca i taką kobietę co bieliznę szyje, - no i za parę dni, obaczy pan prezydent, nasz waryat będzie wyglądał jak najporządniejszy kupiec...

— Poznał swój swego...

— Może być... ale to jeszcze nie koniec; ja się dowiedziałem o nowej sprawce pana Dezerego...

— No, no ..

— Że on naszego waryata ubrał, to nie jest wielki grzech, bo kto na tem straci, kto do tego dołoży, że głupiemu Berkowi będzie ciepło; ale on chce ubrać pana prezydenta.

— Mnie!

— Chce ubrać całe miasto, nas wszystkich!

— Nie gadaj!

— Aj, aj, żebym ja też miał takie długie życie i szczęście, jak to prawda... On chce zrobić źle dla żydów, dla mieszczan—i na co jemu to? Niech ja wiem, co jemu z tego przyjdzie?!

— Ale cóż zamierza!

— On niedobrze zamierza... On chce zrobić komisye,..

— Co?

— No, czy ja nieprawdę powiadam, ledwie wymówiłem to słowo, sam pan prezydent się przestraszył — a co dopiero obywatele! .. My przecież jesteśmy tutaj

urodzeni i nie znaliśmy żadnych komisyj, nasi dziadkowie, nasi ojcowie nie znali, a on chce...

— Ale cóż właściwie chce, do milion!...—zawołał burmistrz, który już zaczął tracić cierpliwość,—gadaj-że co chce, zkąd się dowiedziałeś? Może to tylko głupia plotka...

— Żebym ja miał tylo pieniędzy, ile prawdy w tej plotce... na moje sumienie!... a zkąd ja się dowiedziałem, co panu do tego, dość że wiem, a jeżeli pokaże się, że to nie jest prawda, to niech pan prezydent nazwie Mordkę cyganem. Pan Dezery już cały tydzień buntuje naszego doktora...

— Koniec świata! na cóż mu doktór?!

— Na co? on chce, żeby u nas była komisya.

— Zwaryował!...

— On chce, żeby obywatele zamiatali ulice, żeby wywozili śmiecie, żeby płacili składki na studnie, żeby bielili swoje chałupy... aj, czego on nie chce!... On chce, żeby rzeźniki byli zgubione, żeby nie rżnęli chorego bydła, nie sprzedawali takiego mięsa, co trochę zepsute jest... żeby musieli utrzymywać jatki porządniej, niż własne izby na wielkanoc. On chce ażeby szynkarze byli zgubione, żeby sprzedawali trunki bez dodatków, a czy to można na dzisiejsze czasy?... Teraz chłopi tak zdelikatnieli, że chcą mieć wódkę jak ogień... On chce, żeby piekarze byli zgubione, chce im zrobić kontrolę!... On chce całe miasto zgubić, chce żeby pan prezydent miał pisanie, a my wszyscy zniszczenie! Ja sam mam pół domu nad wodą, ten dom nie daje mi nic, tyle że mieszkam i podatek zapłacę—jak komisya każe koło

niego zamiatać i śmiecie wywozić, to zkąd ja wezmę na miotły? czem zapłacę taką babę co zamiata i takiego chłopa co wywozi? To będzie zguba miasta, zniszczenie, upadek... wszyscy obywatele z torbami pójdą... a przez kogo? przez jednego człowieka, który sam nie wie czego chce.

— I cóż na to doktór?

— Co doktór może?! Wiadomo panu, że nasz doktór też jest obywatel, tyle lat żyje między nami bez komisyi sanitarnej, to zapewne musi sobie miarkować, że dożyłby i do śmierci bez takiego interesu, ale jemu, jako doktorowi, nie wypada powiedzieć, że taka komisya jest niepotrzebna.

— Ma się rozumieć... to prawda...

— Ja zawsze tylko prawdę mówię. Doktór zrobi to, co pan Dezery zechce, cała nadzieja w obywatelach. Oni nie przystaną na żadne nowości. Ja już puściłem w kurs tę wiadomość i nasze żydki śmieją się i kiwają głowami, a mieszczanie już wypili kilka garncy wódki ze zmartwienia i odgrażają się.. Matka dziecka nie będzie tak broniła, jak oni swoich śmieci i starych porządków..

— Co to pomoże... jak doktór będzie chciał, to ja muszę przedstawienie zrobić, a wasza opozycya tyle znaczyć będzie, co zeszłoroczny mróz.

— Nu, panie prezydencie, kto wie, może nasze żydki co wymyślą... Dla czego niemają wymyśleć? mądrych głów w Piskorzewie, Bogu dzięki, nie braknie...

Kupno placu, datek dla Berka waryata, wreszcie pomysł komisyi sanitarnej, przechyliły ostatecznie szalę.

Opinia publiczna miasta Piskorzewa uznała pana Dezyderego za waryata. Trzeba oddać jej sprawiedliwość, że wahała się długo, na tę i na tę stronę, jak rozbujana huśtawka i że wydała wyrok na podstawie faktów sprawdzonych, dowiedzionych, które razem wzięte tworzyły istny bigos psychopatyczny.

Dwie tylko osoby z inteligencyi Piskorzewa nie oświadczyły się stanowczo za wyrokiem: pan sekretarz i regentowa. Pierwszy po namyśle orzekł, że można sądzić i tak i tak, stosownie do okoliczności; druga zaś, jako oponentka z zasady, lubiła płynąć pod prąd. Kiedy Dezyderego miano za rozumnego człowieka, dowodziła, że jest skończony waryat; a gdy go okrzyczano waryatem, powiedziała z czałą stanowczością:

— Przepraszam, ale to jeszcze nie dowiedzione.

Doktór nie wyjawiał swego zdania i milczał, choć go nieraz pytano, aptekarz zaś nie krępował się wcale... i głosił publicznie, że Dezydery jest „*mente captus.*“ Dopiero, gdy skutkiem pożaru apteki, zacny farmaceuta znalazł się w położeniu bez wyjścia, a pan Dezydery sam się zgłosił i przyszedł mu z pomocą, wtenczas złagodził znacznie swój sąd i przy każdej sposobności mówił do znajomych:

— *Mente captus* jest, bo jest—ale miewa niekiedy *lucida intervalla...*

. . . .

Z wiosną, na plac, który tak gorąco pragnął nabyć szanowny Symcha Grünbaum, zaczęto zwozić materyały budowlane. Przyjechał budowniczy, majstrowie i rozpoczęła się robota.

Pan Dezydery pieniędzy nie żałował, to też budynek wzrastał niemal w oczach, a mieszkańcy Piskorzewa zastanawiali się nad jego osobliwym kształtem i nie mogli dociec, na jaki użytek taki gmach mógł być przeznaczony? Ani to bóżnica, ani koszary—cóż więc?

Istotnie, jeszcze w Piskorzewie nikt tak okazałego domu nie widział, chociaż w rynku były cztery kamienice, murowane, piętrowe i kilkadziesiąt domów drewnianych z facyatkami, a na bocznych ulicach około dwustu domków, nie różniących się niczem od chłopskich chałup po wsiach.

Nawet willa pana Dezyderego straciła na uroku wobec nowego budynku.

Stał on na podmurowaniu, był bardzo wysoki, o pokojach ogromnych, zaopatrzonych w wielkie weneckie okna. Widniej w nim było, niż na rynku, przestroniej niż w bóżnicy, a ładniej... no nie ma takiego miejsca w Piskorzewie, w którem byłoby ładniej.

I na co jemu taki gmach, postawiony kosztownie, z wyborowych materyałów, z białemi ścianami, sufitami i posadzką, kryty blachą, malowany na zewnątrz olejno; pochłonąć musiał niemało pieniędzy, a jaki dochód może przynieść? Nic.

Rzeczywiście, tylko człowiek nie mający władz umysłowych w porządku, może takie zbytki wyrabiać...

Ale na domu nie koniec: cała posesya ogrodzona została z frontu wysokiemi sztachetami, z tyłu zaś solidnym, mocnym parkanem; w podwórku wybrukowanem, zaopatrzonem w ścieki, stanęły zabudowania gospo-

darskie, poza niemi zaś, pozostałą przestrzeń placu skopano, uregulowano i urządzono na niej ogród.

Pan Dezydery pieniędzy nie żałował, to też wszystko szło niesłychanie prędko...

Czemuż ten pośpiech?

Gubili się ludzie w domysłach, jakie przeznaczenie ma otrzymać nowy budynek?... Żydzi przypuszczali, że będzie to chyba zakład publiczny, z bilardami, rodzaj austeryi, czy zajazdu; mieszczanie znów twierdzili, że albo magistrat znajdzie w tym domu pomieszczenie, albo koszary wojskowe; inteligencya zaś mniemała, że budynek wzniesiony jest specyalnie nn teatr amatorski, że w nim odbywać się będą zabawy publiczne, koncerta, lub przedstawienia sztuk magicznych.

Pan Dezydery na pytania odpowiadał wymijająco.

— Przedewszystkiem — mówił—chcę postawić porządny dom, a co z nim zrobię—zobaczycie, cierpliwości tylko...

Cierpliwości! dobre to dla cierpliwych, ale nie dla ciekawych.

Doktór twierdził, że ten dom przydałby się na szpital, pan sekretarz, że na urząd rekrucki.

Regentowa nie mówiła nic, ale uśmiechała się, w sposób mogący dać dużo do myślenia.

Ta musiała coś wiedzieć, ale co?

Jednocześnie prawie zdarzyły się dwa fakta, które zwróciły na siebie uwagę powszechną. Do regentostwa przyjechała w odwiedziny na czas dłuższy siostra pani regentowej, osoba jeszcze młoda, wdówka, bardzo przystojna, bardzo dystyngowana i elegantka pierwszej

wody, a pan Dezydery ciężko zachorował. Te fakta na na pozór nic wspólnego z sobą niemające, łączyły się jednak ze sobą, a i jeden i drugi stał się przedmiotem uwagi powszechnej i materyałem do rozmaitych komentarzy.

Przyjazd pani Stefanii, siostry regentowej, wywołał istną rewolucyę w świecie damskim; szwaczki i krawcy nie mogli sobie dać rady, gdyż naraz wszystkie panie zapragnęły gwałtownej reformy swych toalet, a każdej było tak pilno, jak gdyby suknie potrzebne były nie na wizyty i spacery—ale na pożar.

Pani Stefania przybyła bezpośrednio z Warszawy, a że do Piskorzewa ostatni wyraz mody nie dochodzi tak szybko, jakby sobie życzyć należało, więc suknie pani Stefanii świeżutkie, zapewne z pierwszorzędnego magazynu pochodzące, stały się wzorem, który każda z pań jak najskwapliwiej i najprędzej naśladować pragnęła.

Było to coś w rodzaju rewolucyi toaletowej, w której brała udział cała piękniejsza połowa inteligencyi bez wyjątku—i dopóki się rewolucya nie uspokoiła, brzydsza połowa inteligencyi nie jadała obiadów, lub też jadała niesmaczne, przesolone, przydymione szkaradnie. W obec mody warszawskiej, wszystkie, choćby najważniejsze i najpilniejsze sprawy tak zwanych ognisk domowych, musiały ustąpić na plan drugi, dziesiąty i ostatni.

Któżby, mając wspaniałe słońce przed oczami, troszczył się o to, że lampka kopci!?

Drugi fakt interesował bardziej panów. Co będzie, jeżeli Dezydery umrze? a według opinii lekarza, ewen

tualność taka nie jest nieprawdopodobna. Człowiek niemłody, ma zapalenie płuc, więc... można się katastrofy spodziewać. Jeżeli umrze, cóż się stanie z willą i z nowo wybudowanym domem? Kto je odziedziczy? Czy są krewni, bliżsi, lub dalsi? Komu się dostaną kapitały? Ostatecznie są to pytania ciekawe i interesujące.

Doktór chodzi tam dwa razy na dzień, ale starowina jest dyskretny, małomówny i chorego pytaniami nie męczy. Robi co do niego należy, bada, zapisze lekarstwo, poinformuje Wojciechową. jak ma pielęgnować pacyenta i ucieka, a na pytania osób postronnych odpowiada stale:

— Nie wiem. Co do zdrowia, hm... jeżeli nie wyzdrowieje, to niezawodnie umrze, a jeżeli umrze, to już nie wyzdrowieje. Co się tycze jakichś testamentów, rozporządzeń majątkowych, zapisów, o tem i nie wiem i wiedzieć nie chcę. Co mnie to obchodzi, regenta rzecz, ale nie moja.

Pani regentowa, nie mogąc się doczekać, aby męża jej wezwano, postanowiła wybrać się do chorego sama.

Biedny Dezydery — mówiła — dla tego, że trochę dziwak, nikt o niego nie dba; rzucony na pastwę losu, jak sierota, bez żadnej opieki... Doprawdy, łyżki wody nie ma mu kto podać. Ja sama będę dla niego siostrą miłosierdzia.

— Ale duszko—ośmielił się zaprotestować regent —doprawdy, nie wiem...

— O! ty nigdy nic nie wiesz, to znana rzecz.

— Przepraszam cię aniołku, ale w tym razie ja dobrze wiem, czego niewiem.

— Ha, ha! to mi się podoba! więc ostatecznie czegóż nie wiesz, pedancie?

— Nie wiem, czy wogóle kobiecie... względnie młodej...

— Proszę! co za łaska! więc ja jestem tylko względnie młoda?

— To jest... że się tak wyrażę... zapewne... jeżeli chodzi o ścisłą deknicyę...

— Eh! mój mężu, jesteś bezwzględnie stary nudziarz i mantyka... Chorego odwiedzić i zaopiekować się nim, jest obowiązkiem chrześciańskim. Nie prawdaż Stefciu?—dodała—zwracając się do siostry.

Pani Stefania wyraziła zdanie, że współczucie dla cierpiących jest najpiękniejszą stroną duszy kobiecej.

— Ha—rzekł z rezygnacyą regent—jesteście obie pełnoletnie i do działań urzędowych zdolne, róbcie więc co wam się podoba, ale ja od wszystkiego ręce umywam; pamiętajcie sobie, żem ostrzegał. Ostrzegałem, uważasz duszko.

— A cóż nam zagraża?

— Plotki, moja pani; nasz Piskorzew jest piękne miasteczko, ale partykularz; języki tu dłuższe, aniżeli gdzieindziej, zwłaszcza...

Zatrzymał się nagle.

— Co zwłaszcza?—nalegała regentowa—dokończże skoro zacząłeś...

— Ja... to jest... właściwie tak... ale obawiam się obrazić...

— Mów, mów,..

— Języki tu dłuższe, powiadam, niż gdzieindziej, zwłaszcza kobiece...

— I tobie się zdawało, że mnie tem obrazisz?

— Myślałem.. Tem lepiej, że byłem w błędzie.

— Nie mam się o co obrażać... przedewszystkiem ja bynajmniej nie jestem kobietą.

Regent zrobił wielkie oczy.

— A, moja duszko—rzekł—przecież tyle lat...

— I przez ten czas nie nauczyłeś się jeszcze rozróżniać, że co innego jest kobieta, a co innego dama. Nie zaprzeczysz chyba, że twoja żona jest dama.

— A no, być może, bardzo być może... gotów jestem nawet...

— Chodźmy Stefciu, zostawmy mego małżonka w spokoju, niech sobie drzemie nad kodeksem, a my spełnijmy uczynek chrześciański.

— I ja?

— Przecież mnie samej nie wypada.

— Ależ ja go nie znam!..

— To go poznasz, kto wie co z tego wyniknie? tyś piękna wdówka, a on... on wprawdzie nie piękny, ale bardzo bogaty wdowiec.

— Umierający...

— Jeżeli umrze, nie ma o czem mówić, lecz w razie wyzdrowienia...

— Mówią o nim, że waryat...

— O, moja droga, tak mówią, a ja utrzymuję, że to jeszcze nie dowiedzione.

. . . .

Wojciechowa nie chciała wpuścić pań do chorego, stanęła przede drzwiami jak szyldwach, w postawie bynajmniej nie zapraszającej.

— Pan chory—rzekła—pan bardzo chory, a choć nawet w zdrowiu będąc, gości nie pragnął.

— Właśnie, dla tegośmy przyszły, że chory.

— Doktór bywa...

— On swoją drogą, a my swoją. Trudno żeby był bez opieki; kobiety jesteśmy, mamy serce.

— I to prawda, ale on bez opieki nie jest...

— Któż go dogląda?

— A ja to niby pies?!—odburknęła baba—tyle lat mu służę i nie narzeka...

— Wiemy, że mu służycie i dobrze, poczciwie służycie... teraz już nie ma takich sług.

— O, teraz naród! niech go marności! lada dziewka od cebra stroić się jeno chce i latać.

— O! tak—wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi... Wasz pan lepszej kobiety ze świecą by nie znalazł, ale czy sama jedna możecie sobie dać radę; tyle na waszej głowie.

— A juści, cała ta chałupa—odrzekła baba.

— I do miasta wyjść i porządek zrobić i ugotować... chyba musielibyście mieć ze trzy pary rąk, żeby temu podołać.

W życiu swojem nie słyszała Wojciechowa tylu komplementów. Łechtały one jej próżność, to też baba była w siódmem niebie, szczęśliwa, że się nareszcie na jej cnotach poznano.

Wejście do chorego nie przedstawiało już trudno-

ści; panie wtargnęły więc do wnętrza willi i zaczęły w niej gospodarować. Pana Dezyderego nie widziały, gdyż spał, ale potrafiły wytłómaczyć, że choremu będzie daleko lepiej leżeć w salonie dużym i widnym, aniżeli w sypialni ciasnej cokolwiek. Stało się według ich woli, i na drugi dzień od rana przeniesiono go z łóżkiem.

Pan Dezydery, którego choroba przesilała się i pomyślniejsze pozwalała rokować nadzieje, nie mógł się wydziwić, zkąd się wzięły bukiety na oknach i stole, oraz zkąd pochodzą soki owocowe, konfitury i rozmaite przysmaki, które mu Wojciechowa podawała.

— Jednak to zacne kobiety — pomyślał, gdy mu powiedziano kto czuwa nad nim zdaleka i otacza go niewidzialną, a delikatną troskliwością.

Doktór uśmiechał się.

— Hm... — mówił do swego pacyenta — kwiatki, konfiturki—to źle... to niedobrze!

— Czy mi zaszkodzą?—spytał chory.

— Tego nie mówię, ale twierdzę, że... to niedobrze.

— Dla czego?

— Bo, z po za tych soków, konfiturek, bukiecików, wychyla się kobieta.

— Tak sądzisz, doktorze.

— Ma się rozumieć. Jest kobieta, są czułości, jest romans—to źle, bardzo źle...

— Posądzasz mnie pan?

— Nie—tylko mówię, że jest źle...

— No, chyba nie zakocham się w regentowej...

— Zapewne, gdyż ta ma jeszcze męża, ale pani Stefania, jej siostra, już go niema—a to źle.

— Dla niej...

— Nie, dla pana... od romansu do małżeństwa jeden krok.

— Doktorze! zapewniam cię uroczyście, ze o kobietach nie myślę...

— To źle.

— Więc cóż u licha jest dobrze według pana?

— Hm... nie wiele mogę wyliczyć... Swoboda dobra, spokój dobry, niezależność dobra, ale małżeństwo...

— Sam jesteś żonaty...

— Jestem i to źle, to bardzo źle... Można o kobietach myśleć, można je nawet lubić, ale żenić się, zwłaszcza w pewnym wieku, jest stanowczo źle... Bywajże zdrów panie Dezydery, nie wstawaj jeszcze, poleż, wypocznij, ja cię jutro odwiedzę.

Tegoż dnia dwa anioły opiekuńcze zjawiły się osobiście w pokoju chorego. Pan Dezydery przyjął je jak najgrzeczniej, za opiekę dziękował, rozmawiał, ożywił się.

Gdy już wyszły na ulicę, pani regentowa rzekła do siostry:

— I cóż Stefciu, dziad jeszcze ujdzie, a zakochany w tobie—po uszy!

— Moja Maniu—rzekła pani Stefania—powiedz mi, czy jutro na spacer włożyć suknię czarną, czy popielatą?

— W czarnej ci jest cudownie.

Pani Stefania podziękowała za radę i nazajutrz na spacerze pozwalała się podziwiać w barwach... blado niebieskich.

. . . .

Trzebaby być dzikim człowiekiem, żeby nie podziękować za tyie dowodów dobroci i uprzejmości, to też skoro pan Dezydery przyszedł o tyle do zdrowia, że mógł już z domu wychodzić, przywdział odświętny garnitur i udał się do mieszkania regenta. Przedtem zaś rano posłał dla pań kilkanaście prześlicznych roślin ze swej oranżeryi i koszyk pysznych brzoskwiń, prosto z drzewa.

Regent ujrzawszy przesyłkę, uśmiechnął się do żony.

— Meternich z ciebie, moja pani—mówił—Meternich! anim się spodziewał dokąd cię chrześciańskie uczucia zaprowadzą.

Pani regentowa z kwaśną miną przyjęła komplement.

— Chciej mi pan wierzyć, panie mężu—rzekła—że moje uczucia nigdy nie zaprowadzą mnie tam, gdzie nienależy.

— Ależ przepraszam! przepraszam stokrotnie... A do licha! myśli podobnej nie miałem, — wiem, że o Stefcię idzie.

— Skoro wiesz, to wyrażaj się ściślej, ja bowiem dwuznaczników, ani domyślników nie lubię...

— Ależ brzoskwinie! jak żyję nie widziałem podobnych! ależ kwiaty! słowo daję, że nie wiem jak się nazywają.

— Ty jeszcze wielu rzeczy nie wiesz... mój mężu, chociaż wyobrażasz sobie, że jesteś bardzo mądry.

Pana Dezyderego przyjęto ze wszystkiemi honorami. Regent powiedział, że od czasu objęcia kancelaryi

w Piskorzewie, jeszcze go taki zaszczyt nie spotkał, a panie wysilały się na to, aby oczarować gościa miłem obejściem... Odludek ożywił się, rozruszał, zrobił się wymownym i dowcipnym. Wieczorem towarzyszył paniom na spacer, ze spaceru odprowadził je do domu, został na herbacie... dopiero koło północy do siebie powrócił.

Wojciechowa przywitała go ciężkiem westchnieniem.

— Oj panie, panie—rzekła—do czego to podobne?..

— Co?

— A tak późno do domu wracać... Czy to pan młodzik? Czy nie chorował pan niedawno tak ciężko?

— Nie marudź, Wojciechowa, nie marudź.

Baba odeszła mrucząc i sądziła, że się już więcej taka ekstrawagancya nie powtórzy. Ale gdzieżtam, powtórzyła się za tydzień, później za trzy dni, i znów za trzy i za dwa dni.

— Paskudne te mężczyzny—mruczała Wojciechowa—a tak za nieboszczką i za dziatkami płakał, tak się z żalu rozpadał; za morze jeździł, żeby zapomnienia szukać, w tym kącie się zakopał, żeby ludzi nie widzieć, a teraz masz!... Obaczył ładne oczy i leci jak ćma na latarnię, leci, choć już nie młody... O paskudny naród!

W tym czasie mniej więcej, Mordka Kiełbik przyszedłszy jak zwykle na audyencyę prywatną do burmistrza, mówił z uśmiechem.

— Jakoś, panie prezydencie, o tej komisyi cicho. Nasze żydki bardzo się z tego cieszą, a mieszczany, co pierwej pili ze zmartwienia, teraz piją z radości... Pan

Dezery sam się przekonał, że chce głupstwo zrobić — i dał pokój.

— Nie tak jak ci się zdaje... on jest uparty, znowuż doktora zaczepiał.

— Dawno?

— Niedawno; dwa tygodnie temu, może trzy,..

— Aj, panie prezydencie, wtedy było co innego, a dziś znów co innego.

— No?!

— Wtenczas on chciał komisyi dla miasta, dziś jemu samemu inna komisya w głowę zajechała.

— Co znowu?

— Niby to pan prezydent nie wie; on chodzi do regenta prawie codzień, a po co on tam chodzi? pewnie nie po to, żeby chciał regenta tak często widzieć... On się ożeni...

— Z kimże u licha?!

— Z siostrą regentowej... To bardzo fajn wdowa, warszawska elegantka, wygląda jak hrabina...

— Ależ to młoda kobieta!

— Właśnie dla tego.. przecież, z przeproszeniem pana prezydenta, stare baby za mąż nie wychodzą.

— No tak, lecz on sam jest stary.

— Nie bardzo...

— Dziad!

— Co to znaczy?! U nas przed rokiem ożenił się jeden wdowiec, co ma więcej niż ośmdziesiąt lat... pan prezydent go zna... Mojsie Pikes.

— A, ten, co ma sklep z żelazem?

— Ten sam; on nabożny jest i przez to nie chciał być bez żony... Ożenił się... oj, oj, jakiego on delikatnego synka ma! Pan Dezery wcale stary nie jest... on tak ostro chodzi na spacer, z takim rozmachem, jak wielmożny pan prezydent, a może jeszcze lepiej.

— W każdym razie... żeby się w tych latach żenić!! waryat!

. . . .

Całe miasto o tem mówiło. Na wzmiankę o Dezyderym pani Stefania skromnie spuszczała oczy, regentowa przybierała minę tajemniczą, a małżonek jej odpowiadał wymijająco.

— Nie wiem, panie dobrodzieju, nic nie wiem... aczkolwiek ewentualność taka, z mojego punktu widzenia, nie byłaby niemożliwą.

Panny piskorzewskie spoglądały na panią Stefanię niechętnie, gdyż bądź co bądź polowała ona w cudzej kniei.

Spadła na ciche miasteczko jak bomba, olśniła wszystkich szykiem i elegancyą, wywołała istną rewolucyę w sferze toalet i kostyumów i nie dość na tem, zabiera jeszcze Dezyderego, najlepszą partyę w całem mieście!

Dezydery, teraz kiedy miał być już dla panien stracony na zawsze, zyskał ogromnie w ich oczach. Uznały jednozgodnie, że jest on wcale nie stary, wcale nie brzydki, nawet przystojny, że ma bardzo szlachetny charakter, że nawet bez majątku mógłby uszczęśliwić młodą osobę, a cóż dopiero z taką piękną willą i z funduszami.

Przyjazd pani Stefanii i jej kokieterya, stały się przedmiotem powszechnego oburzenia, a pan Wincenty, były podsędek, emeryt, mający trzy córki na wydaniu, powiedział, że postępowanie pani Stefanii i zabranie pana Dezyderego, powinno być karane jak rozbój w celu grabieży, a przynajmniej, przy szczególnem uwzględnieniu okoliczności łagodzących, jako kradzież z włamaniem.

— Tak, czy owak—mówił ex-sądownik do żony—jest to czyn, który aczkolwiek nie przewidziany przez kodeks kar głównych i poprawczych, czuć jednak zdaleka kryminałem.

Matka i córki były tego samego zdania i każda z nich w myśli nazywała panią Stefanię zbrodniarką.

Całe miasto zajęte było losem przyszłej pary, a pan Dezydery ciągle zapraszany, ciągle przyjmowany serdecznie, prawie codzień wieczorem do regentowstwa przychodził.

Te kobiety zaczynały godzić go ze światem; rozmawiając z niemi, słuchając gry i śpiewu pani Stefanii, zapominał o swoich troskach, i był szczerze wdzięczny paniom, za kilka pogodniejszych chwil w życiu samotnem, za rozweselenie w żalu.

Trzeba przyznać, że nieraz zastanawiał się nad pytaniem, w jaki sposób mógłby im odpłacić ich poświęcenie i dobroć. Myślał o uczynieniu zapisu w testamencie na rzecz regentowej i pani Stefanii, ale chciał to zrobić tak, żeby nie zaraz dowiedziały się o tem, żeby mu nawet podziękować nie mogły.

Raz taką właśnie myślą zajęty, wracał już dosyć późno od regentowstwa do domu i spostrzegł, że w pierw-

szym pokoju pali się światło... Czyżby Wojciechowa do tej pory pracowała?

Wszedłszy zastał babę drzemiącą na krześle.

— A dyć czekam na pana, rzekła przebudzona... i doczekać się nie mogę.

— Cóż się stało?

— Ha, nic panie. Służyłam za nieboszczki pani bez siedm lat, pilnowałam pańskiego dobra jak pan był za morzami, bez drugie siedm, potem znów z panem bez trzecie siedm, to razem dwadzieścia jeden. Zasług wybrałam po trochu za pięć lat, więc mi się należy za szesnaście... Właśnie chciałam prosić, żeby mi pan wypłacił z łaski swojej.

— Teraz? w nocy?!

— A juści—jutro raniuteńko żydy do kolei jadą, więc się z nimi zabieram.

— Dokąd? po co?

— Do Warszawy, panie—już ja tu nie mam co robić...

— Kobieto! co ty mówisz!?

— Byłam dobrą i wierną sługą dla nieboszczki pani, byłam taką i dla pana, i pozostałabym do śmierci. ale nowej pani nie dogodzę.

— Jakiej nowej pani? Wojciechowa,—dodał surowo—jeżeliś się upiła, idź spać.

— Ja się upiłam! — zawołała baba — ja! chyba onym żalem, co go mam w sercu; chyba onemi łzami, com je pokryjomu wylała.. Toż całe miasto mówi, że się pan żeni, całe miasto aż się trzęsie... Gdzie się obrócić: żydówki po sklepach, służące na ulicy, przekupki

na targu przejść nie dadzą, tylko pytają: — a kiedyż wesele? kiedy wesele? Wyprzysięgam się jako żywo, że o niczem nie wiem, a oni mi fałsz w żywe oczy zadają... śmieją się ze mnie! Z początku myślałam, że to plotka, ale teraz widzę, że prawda... Co mi tam do tego; chce się pan żenić, wola pańska, daj Boże szczęśliwie... ale ja na tych godach nie będę. Mam córkę chrzestną w Warszawie, dobra kobiecina, na Krzywem Kole sklepik trzyma; do niej pojadę i tam przebieduję do czasu, ddpóki Pan Jezus nie zawoła...

Pan Dezydery był jak oszołomiony.

— Co ty pleciesz kobieto?—rzekł.

— To co i całe miasto...

— I wierzysz temu?

— Wróble o tem śpiewają, czemużbym wierzyć nie miała?

— Więc jak ci się podoba... Chcesz wierzyć — wierz, nie chcesz—nie wierz—chcesz mnie opuścić, zatrzymywać cię niemam prawa — jedź z Bogiem; wolisz pozostać—zostań—to ci tylko powiadam, że w plotkach, które powtarzasz, niema za grosz prawdy—ja to mówię, ja! a znasz mnie, że kłamać nie umiem.

— A panie! przebacz babie, jeżeli powiedziała za dużo.,. ale ja tak naszą nieboszczkę panią kochałam!...

— Idź spać... a zapal mi wpierw lampę w moim pokoju.

— Ja się żenię, ja się żenię! — mówił do siebie półgłosem Dezydery—co za ironia! Choćbym nawet całą przeszłość wyrzucił z pamięci, choćbym zapomniał zupełnie... zupełnie... to z czemżebym nowe życie roz-

począł? co bym dał żonie? ja stary, rozgoryczony, zbolały!... Sądziłem, że zbliżywszy się do tego domu, do tych ludzi, znajdę przyjaźń, życzliwość... oni to zrozumieli iuaczej...

. . . .

Nazajutrz raniutko pukał do drzwi doktora... Starowina w szlafroku, w czapeczce wyszywanej paciorkami, dreptał już po ogródku i suche gałązki na drzewach przycinał. Usłyszawszy, że ktoś do furtki kołacze, sam pośpieszył otworzyć.

— Przepraszam, kochany doktorze, że pana niepokoję tak rano,—rzekł.

— To źle, a cóż panu jest?

— I nic—i bardzo dużo zarazem...

— Hm... a no, to chodźże pan do gabinetu, niech cię opukam, zobaczymy... pokaż no jegomość język.

— Powtarzam że mi nic nie dolega; możemy i tu pomówić, albo w ogródku...

— To źle, to źle, to coś bardzo niedobrego; nigdy jeszcze nie przyjmowałem pacyentów w ogrodzie, ale kiedy koniecznie sobie pan życzysz, to proszę. Siadajże jegomość na ławce, ot tutaj pod kasztanem i mów co ci?... Mów szczerze; doktór, jak ksiądz, tajemnicy nie wyda... Może cygaro? pobiegnę i przyniosę...

— Dziękuję, nie będę palił...

— To źle—no słucham...

Pan Dezydery opowiedział historyę znajomości i stosunku z domem regenta; doktór uśmiechał się tylko.

— A widzisz — rzekł wysłuchawszy relacyi — widzisz.. jak tylko spostrzegłem owe bukieciki, konfiturki, soczki — zaraz powiedziałem: źle!... bardzo niedobrze... gotowi mi wpędzić pacyenta w... małżeństwo, ale widzę, natura silna, opiera się... Masz jegomość racyę, co ci potem? w twoim wieku się żenić, zwłaszcza z młodą kobietą, z elegantką, lubiącą świat, zabawy... to źle... Znam ja cię, kochany panie Dezydery, chociaż mi się nie zwierzałeś, wiem żeś tu przyjechał szukać spokoju i odetchnienia, żeś chciał dobrze czynić dla drugich... oto: masz spokój!.. Tak, tak... słusznie mówisz, trzeba wyjechać...

— Jak najprędzej.

— Dobrze; to się jakoś upozoruje... Spędzimy na wątrobę, na nerwy, albo na serce... Przyznaj jednak jakie są różnorodne z organów naszych pożytki... Spędzimy, bądź spokojny... na cóżby? nie wiem jeszcze... może na płuca, zalecimy wyjazd i kuracyę, długą, bardzo długą...

— Powiedz im pan, ostrzeż ich, że jestem ciężko chory, że mogę lada dzień umrzeć...

— A nie! to właśnie byłoby źle... byłoby bardzo niedobrze.

— Dlaczego?

— Gdybym im powiedział, że niezawodnie umrzesz w sobotę, dołożyliby wszelkich starań, aby cię ożenić we czwartek; wszakże nie o osobę im chodzi, lecz o majątek.—Nie panie Dezydery, w naszym repertuarze lekarskim są choróbki o wiele gorsze od śmierci... wynajdziemy też coś w dobrym gatunku. Jak ci się na-

przykład podoba paraliż postępowy, hm? Śliczna chorób-ka!... przez długie lata można z nią żyć, być bezwładnym jak drewno, nie mówić, nie ruszać się wcale, i potrzebować takiej pieczołowitości jak niemowlę.—Powiem, że to panu zagraża, a jeżeli pani Stefania w takim razie zechce się wydać za pana, to przyznam, że z szaloną namiętnością pokochała... twoje pieniądze. Cóż zgoda na paraliż?!...

— Zgoda na wszystko, kochany doktorze.

— Ja tam dziś będę, bo regent na wątrobę narzeka—będę i mimochodem, niby od niechcenia, wspomnę, że ci taka bieda zagraża—a jegomość idź jutro, powiedz, żem ci wyjazd zalecił i pożegnaj ich zaraz, przejażdżka ci nie zaszkodzi, rozerwiesz się trochę, zobaczysz co nowego. Jedź do Wiednia, do Paryża, lub korzystaj z sezonu i morskich kąpieli użyj—ale wyjeżdżaj jak najprędzej. Gdy za pół roku, albo za rok powrócisz, nie zastaniesz już pani Stefanii... Niecierpliwa to istota, babina z temperamentem. Ręczę za nią, że czasu tracić nie będzie. Frunie w świat szukać drugiego Dezyderego, i znajdzie go... ręczę za to.

. . , ...

Regent siedział samotnie w kancelaryi i zastanawiał się nad pewnym dość zawiłym kontraktem, który miał przygotować na jutro, gdy wbiegła pani regentowa.

Była do najwyższego stopnia wzburzona, pierś jej podnosiła się i opadała niby fala wezbranej rzeki, oczy miotały błyskawice.

— Mężu, — mówiła urywanym głosem — proszę cię... poślij natychmiast twoich świadków do Dezyderego!.

— Dobrze duszko,—odrzekł, nie patrząc nawet na żonę,—ale dopiero za pół godzinki, gdyż Kukasiński teraz drzewo rąbie, a Rzodkiewkę posłałem właśnie po piwo. Nie uwierzysz duszko, jak mnie dziś szczególnie pragnienie męczy.

— Alboż to świadkowie!?—zawołała z oburzeniem.

— Czyż nie wiesz? Piotr Kukasiński i Walenty Rzodkiewka podpisują wszystkie akty w mojej kancelaryi. Rujnuję się na tych zbrodniarzy! po piętnaście kopiejek im płacę za jeden podpis... Jak cię kocham!

Pani Marya padła na sofę i wybuchnęła spazmatycznym płaczem, regent przerażony zerwał się z krzesła.

— Duszko! aniołku, co ci jest... co się stało?...

— Ah... czy ty zrozumiesz?... podłość, nieszczęście, hańba!...

— Na Boga kobieto! co? jaka hańba?...

— Ten niegodziwiec!

— Kto?

— A ten łotr, ten szaleniec, ten stary Donżuan!

— Donżuan? stary? tu w Piskorzewie?... Ja chybam się przesłyszał Maryniu.

— Ha... ty nie wiesz... ty nic nie wiesz...

— Właśnie, chcę wiedzieć, powinienem wiedzieć, jako głowa domu, jako mąż... Uspokój się Maniu, obetrzej oczy... odpowiedz. Może wody szklankę ci podać?

— Niepotrzeba... już nic niepotrzeba, jestem już uspokojona... o tyle przynajmniej, że mogę mówić o tem nieszczęściu; proszę cię, zamknij drzwi na klucz i niech nam nikt nie przeszkadza. Czy nikt nie może podsłuchać naszej rozmowy?..

— Jest w pierwszym pokoju dependent.

— Wypraw go, proszę, pod jakimkolwiek pozorem, niech idzie na miasto... zrób mu rekreacyę.

— Jak chcesz duszko, chociaż to ostrożność zbyteczna... on udaje że siedzi nad wypisem, ale przysiągłbym że śpi... bo jest co najmniej po czterech kuflach. Będzie mnie przeklinał, jeżeli mu przerwę miły spoczynek... Zresztą, czyż nie możemy mówić cicho?... Nie usłyszy, drzwi grube... Mów, mów, kochanie, bo stoję jak na rozżarzonych węglach...

— Ach! otóż widzisz, ten szaleniec, ten łajdak, ten stary lowelas...

— Aloż kto?

— Dezydery... ten wasz poczciwy Dezydery!

— Cóż uczynił?

— I ty się pytasz? Bywał prawie codzień, przyłaził ciągle, zanęcił się do naszego domu jak kot i rozkochał w sobie biedną Stefcię...

— Dezydery?! ależ to żarty Maryniu.

— Żarty! Co chcesz, każda kobieta ma serce... przysyłał kwiaty, wzdychał, przewracał oczami... no i biedna kobieta... uczuła dla niego pewien rodzaj sympatyi... przywiązała się do nikczemnika, tymczasem...

— Przepraszam cię Maryniu... to jest, że tak powiem coś nadzwyczajnego... Taki Dezydery... dziad!... to nie sposób, żeby młoda kobieta mogła się w nim rozkochać...

— A! nie znasz się na tem; są tajemnice serca. Nieraz wyrzucałam sobie, że ich nie zostawiam ani na chwilę sam na sam, że to mogło być Stefci przykre...

ale dziś... wdzięczna sobie jestem za tę ostrożność... Mogłyby być następstwa okropne.

Regent z krzesła się zerwał.

— Maniu!—zawołał—co to za mistyfikacya!... ty mnie bierzesz na fundusz!

— Mówię zupełnie seryo... Czy wiele trzeba do nieszczęścia?... ach, mój drogi... tak zwany moment psychologiczny spada niespodzianie, jak piorun, jak aerolit z nieba... Każda z nas ma serce, ale, na szczęście, czuwałam jak matka... Boże! gdy pomyślę...

— Ale się przecież nic nie stało...

— Owszem, stało się, niestety.

— Maniu, dalibóg nie wierzę.

— Posłuchaj... przyłaził, bo nie powiem, że przychodził.

— No, w tem przyznaję ci słuszność...

— Przyłaził, wzdychał jak miech kowalski, przewracał oczami jak puszczyk... przysyłał kwiaty...

— Nawiasem powiedziawszy, bardzo ładne.

— Tem gorzej, mój mężu, tem gorzej; mówił o smutku, o tęsknocie, o różnych rzeczach. Czy to wielka rzecz zawrócić głowę młodej kobiecie, która potrzebuje kochać, dla której miłość jest nieodzownym warunkiem istnienia, jedynym celem w życiu — więc też biedna Stefcia przywiązała się do niego szalenie.

— No, no; a ja miałem ją dotychczas za kobietę niegłupią...

— Nazwij to jak ci się podoba, szaleństwem, głupotą, czem chcesz, ale fakt jest faktem: potrzeba kochania... właściwość miękkiej, delikatnej natury kobiecej...

— Głupstwo!

— A ludzie widzą, ludzie patrzą, ludzie mają oczy; o przyszłem małżeństwie zaczęto mówić w całem mieście... Ja sama zapytywana w tej materyi, nie potwierdzałam, lecz i nie zaprzeczałam... Dziś, wyobraź sobie, szkaradny dziad przychodzi z pożegnaniem... Zmyśla bajeczkę, że stan zdrowia zmusza go do natychmiastowego wyjazdu... że powróci może za rok, może za dwa, a może wcale nie powróci; żegna się z nami, dziękuje za opiekę w chorobie, za grzeczność, za miłe chwile, jakie spędził w naszem towarzystwie i...

— I co?

— I nic... Powiada, że może się już nie spotkamy nigdy, że dni jego są policzone, życzy szczęścia... Osioł!!

— A czegóż miał życzyć?!

— Niczego... powinien się był oświadczyć Stefci...

— No, oświadczyny moje dziecko, jest to, bądź co bądź akt dobrej woli...

— Dobrej woli? no proszę... więc można w uczciwym domu prawie codzień bywać?... można uczciwą kobietę kompromitować? narazić na obmowę, na plotki... A mój mężu, nigdy się tego po tobie nie spodziewałam. Zawsze byłeś nieprzychylny dla mojej rodziny, ale żeby aż do tego stopnia—nie przypuszczałam nigdy... nigdy! nigdy!!

I znów zalała się łzami.

— Więc przez Boga żywego, kobieto! cóż mam robić?!

— Poślij mu świadków natychmiast, w tej chwili, nie zwłócząc ani sekundy.

— Mówiłem ci już, że Kukasiński drzewo rąbie, a Rzodkiewka po piwo poszedł.

— O, mój panie, nie udawaj naiwnego!... wiesz dobrze o jakich świadków chodzi. To sprawa honorowa...

— Pojedynek!

— Tak, pojedynek, ja tego żądam, ja — kobieta!!

Regent do pierwszego pokoju zajrzał i na cały głos zawołał:

— Panie Szrajberski! biegaj-no pan co żywo, do sekretarza hypotecznego; niech ci na poczekaniu zrobi wypis nieruchomości Nr. 142 bb, przy ulicy Zawrotnej, sukcesorów Berka Noecha Ziegelhorna, tylko pędź natychmiast, bo rzecz wyjątkowo pilna...

Dependent pochwycił czapkę i przecierając oczy wybiegł, a regent powróciwszy do żony, rzekł z gorzkim wyrzutem:

— A Maryniu... doprawdy, żądasz za wiele odemnie!...

— Zawiele?!

— Pojedynek; bagatela!... a wiesz ty kto ja jestem? a znasz ty odnośny artykuł kodeksu kar głównych i poprawczych? wiesz o czem on śpiewa?

— Wiem, że ty jesteś obrońcą honoru mego i mojej siostry...

— Honoru! ale jakąż rolę gra honor w tym wypadku? Wam się zdawało, że Dezydery chce się żenić, jemu zaś wcale się nie zdawało, interes jest w porządku. Do takiego aktu, moja kochana, trzeba dobrej woli

obydwóch stron; jeżeli jedna tę dobrą wolę ma, a druga nie ma, akt nie przychodzi do skutku... Małe dziecko nawet to rozumie i dziwię się, że kobieta tak rozsądna jak ty...

— Przepraszam pana — rzekła z oburzeniem regentowa—żądam obrony honoru mej siostry; jeżeli pan dać mi tego nie możesz, odjeżdżam natychmiast i nie zobaczymy się więcej. Żądać będę separacyi, a nawet rozwodu, i możesz być pan pewny, że ostatecznie znajdę jeszcze człowieka, który obowiązki obrońcy czci niewieściej inaczej pojmować będzie niż pan...

Regent, który kochał kapryśną swoją Marynię, przeraził się stanowczością jej głosu...

— Ależ—rzekł—moja duszko, daj jasną informacyę, powiedz wyraźnie czego chcesz?

— Obrony honoru siostry, zemsty, zadosyćuczynienia... poślij mu świadków i wyzwij go!...

— O nie! do wszystkich aktów świadków używam, ale do takiego nie głupim — wolę już sam pójść do niego.

— I wyzwiesz go?!

— Ba, a jeżeli przyjmie...

— To będziesz się z nim strzelał.

— Mogę zostać ranionym...

— Gdyby nawet... jest doktór, wyleczy cię...

— Hm, hm... nie spodziewałem się, że moje zdrowie, może nawet życie, jest ci do tego stopnia obojętne.

— A czy widziałeś biedną moją Stefcię?

— Nie, cóż ona robi?

— Płacze...

— Po Dezyderym!?..

— Ty nie znasz serca kobiety, ty nie pojmujesz jakie tam skarby uczuć..

— Pojmuję, pojmuję, wszakże mnie na pewną śmierć wysyłasz, a przecie jakkolwiekbądź, ale jestem twój mąż, przeżyłem z tobą zgodnie lat...

— O honor chodzi, o honor Stefci, o mój, o twój, o to, że roztrąbili po mieście, że ja nawet, nie wprost, ale pośrednio—prosiłam parę osób na wesele, że... ostatecznie tak być nie może—on się ożenić musi! Ja nie żądam, żebyś go koniecznie zastrzelił, nie domagam się żebyś go postrzelił, możesz nawet wcale nie strzelać, ale pójdź do niego, rozmów się z nim po męzku, energicznie, stanowczo... Ja cię za to sto, tysiąc razy serdeczniej kochać będę niż dotąd... tylko proszę cię zrób to dla mnie... koniecznie. No cóż? pójdziesz...

— Pójdę.

— Dziś?

— Dziś...

— I będziesz stanowczy...

— Jak kamień! Licha zje, jeżeli mnie ukruszy.

— Pamiętaj mężu, że tu nietylko o Stefcię, ale o nas oboje chodzi...

. . . .

Wojciechowa układała rzeczy w podróżnej walizie, pan Dezydery porządkował notatki, gdy rejent do pokoju wszedł.

— Moje uszanowanie panu dobrodziejowi — rzekł.

— Dobry wieczór, miło mi, że pana regenta widzę. Byłem dziś u państwa, ale nie zastałem pana.

— Czynność miałem na mieście... Kulikiewicz, uważa pan dobrodziej, młynarz, co ma dwa wiatraki na górce, bardzo chory, wzywał mnie do testamentu... Mocno żałuję, że mnie pan dobrodziej w domu nie zastał... Pan dobrodziej, jak słyszę, wyjeżdża...

— Nie czynię tego z własnej woli...

— No? a cóż za przyczyna?

— Doktór mię wypędza; wodami się leczyć każe, klimatem, więc cóż mam robić?...

— Naturalnie, ci panowie wyrokują bez apelacyi; radzi nie radzi poddawać się ich rozkazom musimy. Przynajmniej pogodę piękną będzie pan miał na drogę; barometr stale idzie w górę.

— Może kieliszek wina, regencie?

— Chyba czerwonego i to z wodą sodową, ogromne pragnienie mam.. Szczególna rzecz, ile razy się zirytuję, zawsze mi się pić chce...

Pan Dezydery spojrzał na regenta uważnie i zapytał:

— Cóż szanownego pana tak podrażniło? jeżeli wolno zapytać.

— O! ten testament właśnie. Wyobraź sobie pan dobrodziej, co to są ludzie! Na łożu śmiertelnem leży, przed sądem Boskim lada moment stanie, a o nędzne honoraryum targuje się jak żyd... Im który bogatszy, tem skąpszy, a co to pomoże, taksa jest stała. Obrzydliwe sknerstwo!...

Wojciechowa przyniosła wino i wodę... pan regent gasił pragnienie.

— I w którąż stronę świata pan dobrodziej się udaje?

— Do południowej Francyi, do Włoch, może dalej, zależeć to będzie od stanu zdrowia...

— Pozazdrościć takiej wycieczki... Ja bo jestem wielkim amatorem podróży i doprawdy, gdyby nie kancelarya, włóczyłbym się po świecie całemi latami... ale niemożna. Wie pan dobrodziej, moja wątroba aż piszczy do Karlsbadu, a tu ani rusz...

— Dla czego?

— Trzeba urządzić zastępstwo, a komuż je powierzyć? Mój Szrajberski w gruncie nie zły człowieczyna, tylko lubi się czasem upijać, o notaryacie ma takie pojęcie, jak kura o pieprzu, no i pieniędzy nie bardzo mu można powierzyć. Gdyby nie te trzy małe felerki, byłby bardzo dobrym zastępcą i ja, naturalnie, mógłbym co rok Karlsbad odwiedzać... ale tak...

— W istocie, to przykre położenie...

— Ha, cóż robić... Pozwoli pan dobrodziej, że mu zadam jedno pytanie, może niedyskretne, ale istotnie ciekaw jestem.

— Proszę bardzo.

— Co też się stanie z tym ślicznym domem, który pan wybudował?

— To już nie mój dom, panie regencie!

— Sprzedał pan?

— Nie—ofiarowałem go miastu na szkołę.

— Zkąd taka myśl?

— Dawno już ją miałem i jak pan zapewne uważał, budowałem dom na ten cel, podług najnowszych

wymagań hygieny szkolnej. Nie chwaląc się, ale takiego budynku szkolnego jak ten, nie znajdzie pan w żadnem z naszych miasteczek. Właśnie przed godziną powróciłem od burmistrza, u któregom złożył deklaracyę co do darowizny.

— Piękna ofiara, wspaniała ofiara—rzekł regent—ale kosztowna!

— Nie mam dla kogo zbierać pieniędzy, a do grobu ich z sobą nie wezmę. Niejedno byłbym zrobił dla miasta, ale wyjazd mi przeszkadza.

— Więc to nieodwołalne...

— Jutro raniutko już mnie tu nie będzie, konie zamówione na poczcie...

— W takim razie nic mi nie pozostaje, jak życzyć panu dobrodziejowi szczęśliwej podróży i pożegnać go... Rozumiem dobrze, że przed wyjazdem niebardzo pan ma czas... Zapewne to i owo i dziesiąte jest jeszcze do zrobienia, a więc szczęśliwej drogi i rychłego powrotu... Zapisałeś się pan pięknie w pamięci miasta, taki hojny dar! taki dar!...

— Mała rzecz...

— A nie panie dobrodzieju, nie, to duża rzecz, o tem w gazetach pisać będą...

. . . .

No, Maniu—mówił regent w pół godziny później do żony—możesz sobie powinszować, że masz męża pełnego energii... Żałuj, że nie widziałaś i nie słyszałaś jak ja go przypierałem do muru—było co widzieć!

— Groziłeś?

— A naturalnie, wspomniałem o pistoletach, o pałaszach, o krwi... ale chwała Bogu, dzięki mej stanowczości, wszystko się jak najpomyślniej skończyło...

— Więc się ożeni?

— Tylkoby jeszcze tego brakowało!

— A zatem?

— Duszko, podziękujmy Bogu, żeśmy się zawczasu spostrzegli i zerwali...

— My?

— Naturalnie; skorom zerwał, to w imieniu twojem, Stefci i mojem własnem... Możesz to powtórzyć przed całem miastem, że byłoby nieuczciwością z naszej strony powierzyć losy siostry w ręce waryata...

— Ah!

— Posłuchaj tylko Maryniu, posłuchaj uważnie. Gdym na niego nasiadł, po mojemu, jak to ja umiem, stanowczo, zmieszał się ogromnie i zaczął pleść trzy po trzy, zupełnie bez sensu... Potem przyznał mi się, że ten piękny dom, który wybudował, już nie należy oo niego...

— Tak?

— Wyobraź sobie, darował go miastu na szkołę.

— Nie może być!...

— Niech burmistrz powie. W podobny sposób już zmarnował, lub zmarnować zamierza całe swoje mienie... W tego rodzaju sprawach mam niejaką biegłość i dość było jednego rzutu oka, abym ocenił sytuacyę. Manieczko, nie potrzeba tego rozgłaszać, ale ten człowiek, jeżeli teraz nie jest jeszcze zrujnowany, to zrujnuje się w bardzo szybkim czasie... Pozostanie ta głupia willa,

głupia powiadam, bo chociaż ładna i elegancka, jednak nie ma żadnej realnej wartości.

— W takim razie, mężu, dobrze się stało, żeśmy pierwsi zerwali, dziękuję ci z całego serca, żeś tak dobrze moją myśl zrozumiał.

To mówiąc, podała mu rękę, którą czuły małżonek skwapliwie do ust przycisnął, uśmiechając się z miną tryumfującego dyplomaty.

— Zawsze mówiłam, że to jeszcze niedowiedzione — rzekła pani Marya—i przyznaję, że byłam w błędzie. Opinia publiczna rzadko się myli, Dezydery jest skończony waryat!

. . . .

Pan Dezydery odjechał raniutko; stary doktór towarzyszył mu do najbliższego lasku, zkąd miał pieszo powrócić. Przez drogę rozmawiali bezustanku. O uszy pocztyliona ciągle ubijały się wyrazy: komisya sanitarna, szpital, ogród miejski, skwer. Słyszał też pocztylion, że doktór obiecywał pisać często i obszernie.

W lasku pożegnali się; doktór pieszo powracał do miasta, a pan Dezydery dążył do stacyi, zkąd po gładkich szynach wolna droga, choćby na kraj świata.

Nad brudnym, odrapanym Piskorzewem świeciło jasne słońce, ku wielkiej uciesze dam i panien, które tego dnia zmobilizowały się i stanęły na stopie wojennej.

Ruch był ogromny, bieganina wielka. Tyle do zakomunikowania sobie wzajemnego, tyle nowości! Zerwanie małżeństwa, wyjazd Dezyderego, ofiarowanie tak pięknego budynku na rzecz miasta .. tyle materyału do rozmowy, do krytyki, taka obfitość sensacyjnych wieści!!

Pani regentowa przez cały dzień przyjmowała wizyty; drzwi się nie zamykały, przychodziły i wychodziły w nieustającej procesyi dama za damą, panna za panną, dopytywały o szczegóły, słuchały objaśnień. Regent uciekł, zamknął się w kancelaryi i dyktował akty Szrajberskiemu, który coraz z niecierpliwością spoglądał na zegar.

— Kręcisz się pan—mówił regent—piwko cię nęci, co?

— Broń Boże, panie regencie, tylko wychodząc z domu, zostawiłem ciotkę mocno chorą i chciałbym się o jej zdrowie dowiedzieć.

Poczciwy skryba! co dwie godziny ciotkę odwiedzał, a że bawarya była po drodze—więc cóż miał robić—wstępował. W walce zwycięża silniejszy, a pokusa była właśnie silniejsza niż Szrajberski.

W trzy dni później, pani regentowa odwiozła siostrę do Warszawy, a po upływie pół roku, oboje regentowstwo pojechali tam na wesele.

Ładna wdówka znalazła sobie męża. Nie był to wprawdzie Dezydery, tylko Paweł, ale prawie taki jak Dezydery, może trochę starszy, trochę bogatszy i łatwiejszy do złowienia w sidla kokieteryi. Jest uniżonym sługą i podnóżkiem swej żony, bo jak twierdzi pewna niewiasta pisząca, nie ma tak twardej skóry męzkiej, która by się nie dała przerobić na bardzo miękki i wygodny pantofel.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pani Stefania pozwoliła się powtórnie w więzy małżeńskie skrępować, Dezydery powrócił do Piskorzewa i rozwi-

nął, ku wielkiemu zgorszeniu mieszczan i żydów, energiczną działalność, w czem bardzo mu dopomagał stary doktór.

Dziwak nie szczędził pieniędzy i ciągle miastu robił różne prezenta, a wobec jego ofiarności i uporu, opozycya musiała ustąpić. Piskorzew trochę porządniej wygląda; zamiast brudnej kałuży na środku rynku jest skwer, ulice drzewami powysadzane, podczas nocy w pryncypalnych punktach miasta, palı się dwanaście latarni. Szkoła funkcyonuje, a mularze zakładają fundamenta pod szpital... kosztem pana Dezyderego... Stary doktór pilnuje budowy i... fundatora.

To drugie trudniejsze było. Dezydery nie doczekał końca budowy szpitala—umarł.

Na pogrzebie było mnóstwo osób, całe miasto, i inteligencya i mieszczanie i żydzi. Gdy powracano z cmentarza, każdy do powiedzenia coś miał.

Biedacy wzdychali, Wojciechowa, chociaż obdarzona sporym, za wierną służbę zapisem, rozpadała się z żalu za dobrym panem, inteligencya krytykowała, zebrawszy się w gromadkę, do której przyłączył się także poważny obywatel i kupiec okowity, wielce szanowny pan Symcha Grünbaum.

— Mówcie państwo co chcecie—rzekł burmistrz—ale nieboszczyk był obywatel... moje uszanowanie!

— Waryat, ale w gruncie niezgorszy—dodała regentowa.

— Miewał jednak *lucida intervalla*—dorzucił aptekarz, który nie zapomniał, że w krytycznej chwili Deydery mu przyszedł z pomocą.

— A jakież pańskie zdanie, doktorze? — spytał regent.

— Pod jakim względem?...

— No, niby co do poczytalności nieboszczyka; ostatecznie teraz, gdy umarł, można mówić szczerze. Czy miał bzika, czy nie? Pan powinieneś się znać na tem.

— Ależ—odezwął się ex-podsędek—że mu brakowało piątej klepki, to fakt...

— Dziwak był!

— Nie—rzekł doktór—mogę państwa zapewnić, że miał władze w zupełnym porządku, tylko widział dalej niż my—i dla tego nazwałbym go oryginałem...

— Ładne słowo—odezwał się Symcha Grünbaum—bardzo ładne słowo! U nas powiadają, że każde miasto ma swego waryata, ale szkoda, że nie wszystkie waryaty bywają takie wspaniałe.

FOLWARK DO SPRZEDANIA.

Jeżeli folwark położony jest niedaleko Warszawy, o małe pół milki od stacyi drogi żelazuej, to zdawałoby się, że chcąc do niego z Warszawy się dostać, trzeba jechać koleją żelazną, a następnie końmi, welocypedem, lub dojść pieszo, stosownie do stopnia zamożności i upodobania pasażera.

Pokazuje się, że nie zawsze. Pan Michał naprzykład, dostał się tam zupełnie inną drogą, a podróż jaką odbył była tem osobliwsza, że bynajmniej do owego folwarku jechać nie zamierzał i znalazł się tam przypadkowo, niespodziewanie. Ale to cała historya. Aby ją poznać, trzeba wiedzieć przedewszystkiem, kto był pan Michał, jakie miał zamiary, o czem marzył i jak mu się wszystko najfatalniej pokrzyżowało.

Trzeba mieć specyalne szczęście do... folwarku.

Dobry pan Michał w Warszawie na świat przyszedł, w Warszawie kształcił się, urzędował, trzy czwarte emerytury wysłużył, kamieniczkę po ciotce bezdzietnej odziedziczył, do konfraternii literackiej się wpisał i tak był pewny dozgonnego w Warszawie pobytu, że nawet już miejsce na Powązkach zakupił i grób sobie zawczasu kazał wymurować. Taki już był z natury zabiegliwy

i przewidujący, że o wszystkiem lubił zawczasu pomyśleć, więc też i z Powązkami sprawę załatwił, chociaż jeszcze długiego mógł się spodziewać życia. Był zdrów, korpulentny w samą miarę, apetyt miał zawsze wyborny, humor pogodny, na losy nie narzekał. Bo i z jakiej racyi? Materyalnie stał dobrze; kamieniczka, emerytura, kapitalik z długoletnich oszczędności złożony... Rodzinnych zmartwień nie znał, miał poczciwą żonę, piękną córkę na wydaniu, honorowy urząd w Towarzystwie dobroczynności, stałą partyjkę do preferansa i stałą markę wina w Fukierowskiej piwnicy na Starem-Mieście.

Kasa wypłacała emeryturę regularnie, kamieniczka przynosiła dochód stały, a kapitalik... otóż w tem całe nieszczęście! Kapitalik ulokowany był na hypotece dóbr ziemskich. Figurował w dziale czwartym księgi wieczystej folwarku Marysin, w bardzo przyzwoitem otoczeniu.

Było tam i Towarzystwo kredytowe ziemskie i jakiś pan, i jeszcze jakiś pan, i jakaś pani, i Lejbuś, i Mendel i Mojsie, szanowni zkądinąd kapitaliści.

Właściciel Marysina, zacny szlachcic, kolega szkolny pana Michała, procent regularnie płacił, dopóki przychodziło mu to z łatwością; później był już mniej punktualny w terminie, ale wynagradzał nieakuratność zającami, kartoflami, masłem, owocami, dopóki mógł; skoro zaś już nie mógł, to wcale procentów nie dawał, tylko wzdychał, jęczał, klął fatalne czasy, deszcz, grad, suszę, chmury, słońce, błyskawice, wszystko co z nieba spada, lub na ziemi się objawia.

Pan Michał oburzał się, groził że procesować będzie, że nieakuratnego dłużnika straduje, sprzeda, do więzienia za długi wsadzi. Chcąc ten zamiar wykonać, odbył nawet kilka konferencyj z adwokatem, które zwykle kończył takim frazesem:

— Czekam jeszcze kwartał, a potem tańczyć z nim zacznę. Zobaczy, że to nie przelewki!

Po kwartale odbywała się nowa konferencya, nowa pogróżka, pan Michał się srożył, a szlachcic w Marysinie spał spokojnie, w błogiem przeświadczeniu, że mu włos z głowy nie spadnie, tak samo jak pan Michał usypiał kołysany nadzieją, że i kapitał i procent razem kiedyś odbierze i Jadwini posag nim wypłaci.

Jednego dnia, kiedy pan Michał po obiedzie czarną kawę dopijał i miał się na szezlongu, w celu poobiedniej drzemki położyć, w przedpokoju brzęknął dzwonek, widocznie silnie szarpnięty.

— Co u dyabła!—zawołał pan Michał,—także ktoś wybrał sobie porę do wizyt! Żeby go licho...

Swoją drogą otworzył.

— Ach! kochany adwokat!—zawołał, siląc się na najuprzejmiejszy uśmiech;—przypomniałeś sobie nareszcie o mnie.

— I to całe szczęście—odrzekł przybyły.

— Zapewne, ale... niby... to jest...

— Co?

— Właśnie ja chciałem powiedzieć, że jestem bardzo szczęśliwy, widząc cię, kochany adwokacie, w swoich progach.

Prawnik zrobił kwaśną minę.

— Kochany panie Michale—rzekł,—nie po to przyszedłem, żeby ci komplimenta mówić, ani nie po to żeby je od ciebie słyszeć; rzecz jest ważna: przyszedłem cię ostrzedz

— Ostrzedz?... przed czem? jakim sposobem? cóż znowu! Siadaj-no, kochany Adasiu, może czarnej kawy... cygarko?

— Dobra czarna kawa, dobre cygarko, ale przedewszystkiem interes. Czy wiesz że Marysin wystawiony jest na licytacyę?

— Owszem, wiem że wystawiony nie jest... wszakżeż na ostatniej konferencyi, jakąśmy w tym przedmiocie odbyli, powiedziałem wyraźnie, że przez kwartał czekam, a później będę nieubłagany. Widzisz bo, kochany panie Adamie, w rzeczy samej jemu trudno jest... Zeszłego roku było mu bardzo mokro i zimno, w tym roku okropnie sucho... i gorąco... myślę więc, że takiego biedaka nie wypada egzekwować.

— Pan tak myślisz?—rzekł ironicznie adwokat.

— Naturalnie że tak. Nie jestem ludożercą, żebym miał człowieka odrazu schrupać, jak kurczaka. Trzeba mieć wyrozumienie. Zresztą powiedziałem mu już raz, w zaufaniu: pal cię licho, kochany szlachcicu, z procentem, zrzekam się... zwróć mi tylko kapitał i niech cię Bóg ma w swojej opiece! Przecież to humanitarne postąpienie.

— Nawet wzniosłe... szkoda tylko, że Towarzystwo kredytowe zapatruje się na tego rodzaju kwestye zupełnie inaczoj.

— O! proszę, i cóż ono robi?

— Dusi.

— Dusi? jakto dusi?

— No, przecież nie rękami za gardło, lecz bardzo zwyczajnym sposobem. Ono to wystawiło Marysin na sprzedaż i za dwa tygodnie będzie licytacya. Twoja suma, panie Michale, spadnie.

— Co?

— Spadnie, jak dwa a dwa cztery.

Pan Michał zerwał się z krzesła, krew uderzyła mu do głowy, zrobił się czerwony jak rak.

— Spadnie?! cała suma, posag mojej Jadwini? to niepodobna!... Słuchaj-no, panie Adamie, jesteś przyjacielem moim, mego domu, znamy się od lat...

— Poco liczyć? znamy się dawno i dość na tem.

— Więc skoro jesteś przyjacielem, ratuj, człowieku, błagam cię, ratuj!

— Właśnie po to przyszedłem. Czy ty lubisz sypiać po obiedzie?...

— Lubię, ależ na Boga, nie wtenczas jak mi suma spada! Po tem, coś mi powiedział, ja przez siedm nocy oka nie zmrużę, ja się rozchoruję, zapalenia mózgu dostanę. Któż się spodziewać mógł, że on do takiej ostateczności dopuści; taki porządny szlachcic, poczciwy człowiek napozór... A nie, to niemożliwe... dalibóg wierzyć się nie chce!

Rzekłszy to, pan Michał rzucił się jak bezwładny na fotel, a adwokat obojętnie palił cygaro i śledził wzrokiem niebieskawy dymek, jaki się w powietrzu unosił.

Po chwili, widząc że się już klient trochę uspokoił, rzekł:

— Ja widzę tylko jeden środek, jednę drogę wyjścia.

— No?

— Musimy kupić Marysin.

— Co?

— Musimy do licytacyi stanąć, pędzić do wysokości swojej sumy i folwark nabyć.

— Jakto, my? to znaczy ja i ty?

— Tak... ty, panie Michale, jako mocodawca, ja zaś, jako twój plenipotent.

— I co mi dyabli po tem? co ja będę z tym Marysinem robił?

— Sumę trzeba ocalić, a sposobu innego niema. Staniesz do licytacyi, podpędzisz, kupisz, a potem, gdy zechcesz, sprzedasz z wolnej ręki... A może nie sprzedasz, może tam będziesz gospodarował.

— Ja? ale prawda... nie święci garnki lepią, mogą inni, dlaczegóżbym ja nie mógł. Ładne to dobra? bo widzisz ja tam nigdy w życiu nie byłem,

— Piękny podobno folwark, ale ja go również nie widziałem, zresztą ładny czy brzydki, to wszystko jedno, wyboru nie masz. Suma twoja wisi na włosku.

— Biedna Jadwinia, to jej posag cały!

— No, nie cały, wszak masz jeszcze dom i pieniędzy cokolwiek... jeżeli dodasz do tego jeszcze folwark...

Pan Michał zadumał się, a i było nad czem. Panna z kamienicą i z folwarkiem, podwójna, ziemska i miejska...

wielka to dla młodych ludzi przynęta... Dziewczyna świetną partyą może zrobić.

— Cóż, panie Michale — spytał adwokat, — jakże mamy postąpić?

— A no, trudno, kupię. Mój Boże, gdyby mi kto powiedział, że za dwa tygodnie będę obywatelem ziemskim, śmiechembym parsknął, dalibóg!...

— Mój stary przzjacielu, człowiek nigdy nie wie co go czeka i co go spotkać może. Nigdy w życiu nie marzyłeś o kupnie folwarku, a jednak kupić go musisz. Nigdy w życiu nie marzyłeś o wyjeździe do Ameryki, a jednak...

— Idźże do licha z Ameryką, jaka Ameryka? poco? alboż mi tu źle?... Wcale nie marzę o takiej podróży.

— Ja też dla przykładu tylko. Słuchaj no, panie Michale, a masz ty pieniądze na kaucyę i na kupno?

— Poszukam, może się znajdzie. a jeżeli zabraknie, to pożyczę od kogo znajomego. Ileż to potrzeba?

Adwokat sumę wymienił. Pan Michał za głowę się złapał.

— To mi dopiero bigosu narobił kochany przyjaciel, żeby go!... Potrzebny mi cały ten ambaras!

Adwokat wstał.

— No — rzekł, — spełniłem co do mnie należało ostrzegłem cię, teraz prześpij się, a później szukaj pieniędzy i stawiamy się na licytacyę. To cię nie utrudzi, niema bowiem nic łatwiejszego, jak kupić majątek ziemski. Licytantów wielu nie będzie, więc Marysin nasz jak dwa a dwa cztery. Szczególna rzecz, panie Michale:

zawsze mi się zdawało. że ty na obywatela ziemskiego wyjdziesz.

— Dlaczego?

— Minę taką masz szlachecką. No, bywaj zdrów i dokończ drzemki, którą ci przerwałem.

Po wyjściu adwokata, pan Michał stanął przed wielkim lustrem i pilnie zaczął się przypatrywać swojej postaci, mówiąc półgłosem:

— Co on u licha obywatelsko-ziemskiego we mnie widzi? ja-bo nic. Istotnie nic... chociaż zdaje mi się, że mój nos cokolwieczek jest, jakby to nazwać?... szlachecki. Jest, jest istotnie... porządny nos, niema co mówić, No i wąsy... bardzo obywatelskie, grube, zawiesiste. Piękne wąsy!... W samej rzeczy dziwię się, żem tego poprzednio nie zauważył... Cera... stanowczo białej cery nie mam, jest ona jakby opalona... aha... ogorzała twarz, jakbym z wełną przyjechał, dalibóg! To szczególna, a postawa, tusza to już czysto obywatelskie; dobre oko ma ten adwokat... odrazu dostrzegł i ma słuszność. Ilu obywateli ziemskich znam, wszyscy wyglądają tak jak ja. Typowy jestem szlachcic, słowo daję!

Już do przerwanej drzemki pan Michał nie powrócił, natomiast odbył długą konferencyą z żoną. Poczciwa kobiecina wiadomość tę przyjęła z przerażeniem. Na samą myśl opuszczenia Warszawy, rozstania się z wygodnie urządzonem mieszkaniem, doznawała nieopisanej trwogi. Uspokoiła się dopiero, gdy ją mąż zapewnił, że posiadanie folwarku będzie tylko czasowe, że kupno wynika z konieczności ratowania posagu Jadwini i że po

kilku miesiącach Marysin sprzedany zostanie z wolnej ręki i wszystko wróci do normalnego położenia.

— Moja duszko, to kupno ma nawet swoją dobrą stronę—tłómaczył pan Michał,—co roku wyjeżdżamy na trzy miesiące letnie do Miłosny lub Jabłonny, płacimy za mieszkanie drogo, znosimy niewygody... no, więc dobrze będzie, gdy chociaż jedno lato przepędzimy u siebie, pod własnym dachem.

— A to prawda.

— Będziesz miała swój dom, swój ogród, powietrze, wodę, mleko, kurczęta, szparagi, truskawki, wiśnie masło, chleb, bułki i wszystko swoje własne; pod tym względem, o ile mi wiadomo, wieś to raj. I Jadwinia odżyje; teraz jest ona trochę mizerna i blada, ale niechno się na wieś dostanie, nie poznasz jej... Całkowity plan postępowania powziąłem w jednej chwili.

— No?

— Marysin kupuję, idę na licytacyę, pędzę, przybijam! Kupuję, to już stanowczo. Za parę tygodni przenosimy się tam i będziemy mieszkali. Jednocześnie dam w gazetach ogłoszenia, że są do sprzedania dobra ziemskie. Więc będziemy sobie siedzieli na wsi i czekali na kupca. Jak ci się to podoba, droga Sabinko?

— Rób jak uważasz, mój kochany, wiem że radbyś dla nas jaknajlepiej. Zresztą ja do wszelkich interesów majątkowych głowy nie mam, to rzecz mężczyzny. Jak postanowisz, jak się zdecydujesz, tak będzie... a wiem, że będzie dobrze.

— Jakaś ty poczciwa, że masz we mnie takie zaufanie!

Rzekłszy to, pan Michał ucałował pulchną rączkę małżonki, ubrał się i wyszedł ua miasto, zkąd dopiero późnym wieczorem powrócił.

Przez kilka dni zrzędu był niezmiernie czynny i ruchliwy, wstawał rano, chodził, jeździł dorożkami, to do adwokata, to do znajomych wstępował, w domu mało go widziano.

Nareszcie jednego wieczoru przyszedł do domu rozpromieniony i, przywitawszy żonę, szepnął jej do ucha z miną niezmiernie tajemniczą.

— Jutro!

— Co jutro?

— Kochaneczko, jutro li-cy-ta-cya! licytacya, no, i mam nadzieję, że Marysin nasz.

I nadeszło upragnione jutro, w kancelaryi odbyła się krótka formalność, adwokat rubla ponad sumę pana Michała postąpił, świeczka się dopaliła i pan Michał został właścicielem. Więc nie drogą żelazną, nie bryczką, ale przez Towarzystwo kredytowe, kancelaryę regenta i wydział hypoteczny, wjechał nowy dziedzic do świeżo nabytej posiadłości.

Piękna była posiadłość! Niedaleko Warszawy, dziewięć włók ziemi, o której opowiadały odnośne księgi, że jest żytnia pierwszej klasy i w znacznej części żytnia drugiej klasy, z serwitutem ugorowym czterech włościan z sąsiedniej wioski Kobylin, z rzeczką, z laskiem morgowym, z kawałkiem łąki, dworem, spichlerzem, zabudowaniami gospodarskiemi w dobrym stanie, oraz inwentarzem żywym i martwym.

Czegóż więcej potrzeba? Wprawdzie chłopi ziemię

żytnią pierwszej i drugiej klasy nazywali poprostu piaskiem, a las krzakami, wprawdzie zabudowania gospodarskie dobry stan zawdzięczały kołkom, któremi były podparte, wprawdzie, co do inwentarza zaszła widocznie jakaś pomyłka, bo żywy był prawie martwy, a martwy musiał być w istocie żywy, bo gdzieś uciekł; ale folwark istniał, miał oddzielną księgę hypoteczną i ściśle określone granice, oprócz jednej, o którą od lat kilkunastu toczył się proces.

Przedewszystkiem pan Michał postanowił obejrzeć swą posiadłość.

Ze stacyi kolei żelaznej trzeba było przejechać jeszcze kilka wiorst bryczką, chcąc do Marysina się dostać, a ponieważ pan Michał jechał do swoich nowonabytych dóbr, zachowując ścisłe incognito, więc nie oczekiwał go na stacyi kamerdyner z powozem, ani nawet fornal z bryczką. Najął tedy żyda, który ogromnie zachwalał swoję małą szkapinę i trzęsący wózek.

— A wiesz ty gdzie jest Marysin? — zapytał pan Michał.

— Aj waj, jabym nie wiedział?... wiem panie, za rubelka zawiozę.

— Zwaryowałeś chyba, rubla za trzy wiorsty?

— Takie trzy tyle znaczą co siedm, albo i dziesięć, droga bardzo paskudna, sam piach. Na sumienie, mniej jak za pięć złotych nie opłaci się jechać.

Po długim targu opuścił jeszcze połowę z tej ostatecznej ceny i popędził szkapę po bruku tak gwałtownie, że pan Michał musiał silnie się trzymać, żeby z wózka nie wypaść. Rozpęd wszakże trwał bardzo krótko. Bruk

się skończył, a po drodze piaszczystej szkapa szła noga za nogą.

Pan Michał rozglądał się po okolicy.

— Zboża wcale niebrzydkie—rzekł do żydziaka.

— Nu, jak na taki piasek, to nawet bardzo ładne w tym roku.

— Piasek, powiadasz?

— Albo nie?

— A w Marysinie dobre grunta?

— Tam jeszcze lepszy piasek.

— Do dyabła! to źle.

— Co ma być złego? folwark jak folwark. Tam był dawniej za pachciarza mój wujaszek Nuchym.

— A teraz nie jest?

— Po co on ma tam być? Póki były krowy, to i pachciarz siedział, teraz niema co doić.

— Ale gadasz! ja wiem, że tam inwentarz jest i podobno bardzo ładny.

— Dawniej był, teraz nie wiem; może jeszcze co jest, może niema, ale mnie się zdaje właśnie, że niema.

— Jakże u licha?! folwark bez inwentarza?

— Różnie bywa, wielmożny panie, z inwentarzem, bez inwentarza, z budynkami, bez budynków, czasem z dziedzicem, a czasem bez dziedzica. Z tego Marysina dziedzic wylatuje dość często, za mojej pamięci było trzech, a Nuchym pamięta z dziesięciu. To jest ładny folwark; kupi go kto, posiedzi parę lat, czasem krócej, i już go niema, i znów się znajdzie jaki głupi, co chce zagrzebać w piasku dobre pieniądze.

Pan Michał obraził się.

— No, no—rzekł,—głupi albo nie głupi; taki bachor jak ty, o ludziach dorosłych odzywać się w ten sposób nie ma prawa. Kto ma pieniądze, może niemi rządzić wedle upodobania własnego.

Żydziak zmiarkował z tych słów, że właśnie nowego dziedzica wiezie.

— Ja nie wiem za co się wielmożny pan gniewa, —rzekł.

— Bo zadużo gadasz. Sam jesteś głupi.

— Ja takie słowo nie powiedziałem, a jeżelim nawet powiedział, to wcale nie myślałem tego, co pan dobrodziej myśli, że ja myślałem! Ju mówiłem że byli tacy głupi, co zagrzebali w piasku pieniądze, a chciałem powiedzieć, że przyjdzie tu taki dziedzic, co te zagrzebane pieniądze wygrzebie i duży majątek zrobi. Ja tak miarkuję, że on przyjdzie, może nawet niedługo przyjdzie.

— To bardzo być może.

— Niech on przyjdzie, ja mu życzę, a mój wujaszek Nuchym powiada zawsze, że lepiej to znaleźć co bogaty pan zgubi, aniżeli to co kapcan może znaleźć. Nuchym zawsze prosi Boga o zdrowie i o porządnego, bogatego dziedzica. No—rzekł, pokazując biczyskiem,— niech pan dobrodziej uważa, te zabudowania na lewo od drogi, to jest właśnie Marysin!

Pan Michał wytężył wzrok i kazał żydziakowi pośpieszać; po dziesięciu minutach jazdy wózek wtoczył się na dziedziniec Marysina.

Było w tym folwarku dziwnie jakoś głucho i pusto; na spotkanie nowego dziedzica nikt nie wyszedł, tylko pies z budy wyskoczył i zaczął ujadać zaciekle.

Pan Michał wysiąść z bryczki nie mógł, bo gdy tylko nogę na stopniu postawił, wnet pies z wyszczerzonemi zębami przyskakiwał i wcale niedwuznacznie zamiary nieprzychylne objawiał. Napróżno żydziak biczem wymachiwał, to jeszcze bardziej rozdrażniało kundla.

Położenie było przykre i nowy dziedzic niecierpliwić się zaczął.

— Zejdź-no ty z bryczki — rzekł do żydziaka — i odpędź tego przeklętego psa.

— Ja się boję, panie — odpowiedział, — ja jego znam; to jest bardzo zły pies, on kąsa.

— Więc cóż zrobimy?

— Albo ja wiem, podjedziemy pod czworak, może tam Walenty jest.

Pokazało się że rada była praktyczna; na kilkakrotne wołanie wyszedł z czworaka chłop w czerwonym spancerku, zaspany, i zaczął psa odpędzać.

— Proszę cię, mój człowieku—rzekł pan Michał—weź tego psa na łańcuch.

— A niby...—odparł, przecierając zaspane oczy—a niby, co mnie za potrzeba psa wiązać? Stróżów tu niema, parobkow niema, folwark pusty, a tałałajstwo różne się włóczy... Weź psa na łańcuch! a juści... ja od psów nie jestem! Powiedzieć poco się przyjechało i jechać... zaś pies będzie tu chodził, jak chodzi...

Już pan Michał wytrzymać nie mógł.

— A cóż ty sobie myślisz?—zawołał,—coś za jeden? Jakto, ja kupiłem folwark, przyjeżdżam do swojej własności, a tu mnie na samym wstępie impertynencya spotyka! Natychmiast sprowadzę wójta, władzę

i zapytam się co ty tu robisz i co za jeden jesteś?.. Na cztery wiatry wypędzę!

Usłyszawszy taką groźbę, chłop czapkę zdjął i usprawiedliwiać się zaczął.

— Właśnie, wielmożny panie—tłómaczył się,—ja tu, głodu przymierając, pańskiego dobra pilnuję. Służba pouciekała het, jeden tylko maleńki chłopczyna przy bydle został... i ja zostałem, bo mi dobra ludzkiego zmarnowania żal i że mam w polu kartofisków sto prętów, com sobie z pozwoleństwa dawnego dziedzica przysadził. Kobieta moja z dziećmi do kościoła poszła, a ja zdrzemnąłem się krzynkę, dlatego że przez całą noc, z tym oto psiskiem, folwarku od złodziejów pilnowałem... Wiem że licytacya była i że nowy dziedzic nastał, ale po osobie wielmoznego dziedzica nie znałem i przepraszam pokornie... pieska zaraz uwiążę, nie na łańcuchu, bo tu, Panie odpuść, nietylko pies, ale i koń łańcucha nigdy nie widział, ale na sznureczku... Niech wielmożny pan obejrzy swoją fortunę. Zajedź przed dwór... ja wnet klucze przyniosę. Żebym był wiedział, że wielmożny dziedzic dziś przyjedzie... byłbym chociaż okna pootwierał i co nieco pokoje kazał zamieść.

Udobruchał się trochę pan Michał i, wolny już od psiej napaści, z bryczki wysiadł, niebawem i Walenty z kluczami nadbiegł.

— Mam odjechać—zapytał żydziak,—czy też wielmożnego pana do kolei odwiozę?

— Wrócę swemi końmi — odrzekł właściciel Marysina,—wszak są konie, Walenty!

— Dyć są, wielmożny panie; jeden łajdak, drugi

gałgan, ale w kupie zawdy para, i bryczczyna też jest, choć podobniej w niej gęsi żydom wozić, aniżeli panów.

— Nic nie szkodzi... pojadę takim ekwipażem, jaki jest.

Żydziak odjechał, pan Michał do dworku wszedł. Rezydencya ta składała się z czterech niedużych pokoi, spiżarni i kuchni; ściany miała odrapane, podłogi krzywe, ani jedno okno nie trzymało się jak należy. Całą pociechą była weranda, duża, zacieniona, dzikiem winem obrośnięta. Ogród był stosunkowo dość duży i ładny, drzew owocowych miał sporo. Wśród trawy czerwieniło się kilka truskawek. Pan Michał zerwał je i starannie w papier owinął, aby zawieźć do Warszawy żonie i córce. Niechże skosztują; wszak to zbiór z własnej ziemi i zarazem pierwszy dochód z majątku.

Budynki folwarczne nie rozradowały serca nowego dziedzica.

— Podpierałem kołkami—mówił Walenty,—łatałem dachy, ale sam wielmożny pan widzi, że je trzeba z gruntu przebudować. Jak przyjdzie silny wiatr, nie dostoją i zwalą się na amen. Podwaliny nowe dać wypadnie, słupy też... a ściany z tych samych bali być mogą.

— Obaczmy grunta — rzekł pan Michał,—to najważniejsze.

Poszli w pole. Walenty granice pokazywał i objaśniał.

— Pszenicy u nas, wielmożny panie, mało się sieje, tylko co na swoję potrzebę, jednego roku za ogrodem, drugiego za stodołą, gdzie ziemia krzynkę podob

niejsza. Żyto ujdzie, owies, jęczmień bardzo obrzednie... bo nasz dawniejszy dziedzic snać już miarkował że zbierać nie będzie, więc siał, Panie odpuść, aby aby. Kartoflisków trochę jest, ale po prawdzie zasadzone tylko pół tego, co się coroku sadzi, a ot tam mamy jeszcze gryki odrobinę... ta piękna... kaszy nie kupimy.

Poszli granicami, potem przez miedze, przez cudze grunta na łąkę, która się nad małą rzeczułką rozciągała.

— Tu jest bardzo ładnie—rzekł pan Michał.

— A juści, jeno daleko od domu, przez to i upilnować trudno. Siano piękne, a zbiór mały.

— Dlaczego?

— Wypasą, wielmożny panie, z Kobylina chłopy okrutnie na to są chytre. Bywało, dawny dziedzic po sądach ich wodził, prawował się z nimi, ale co z tego? Jeden karę zapłaci, a dziesięciu pasie, niema na nich sposobu, wielmożny panie.

Obejrzenie pól, łąki, obejście granic trwało ze dwie godziny; nowy dziedzic, powróciwszy do domu, był zmęczony i głodny.

— Co to jest jednak powietrze wiejskie—rzekł,—wilkabym zjadł teraz. Słuchaj-no, Walenty!

— Słucham, wielmożny panie.

— Strasznie mi się jeść chce.

— A to chwalić Boga; skoro się człowiekowi chce jeść, to znaczy, że zdrów jest i mocny! Wielmożny pan wieczorowym pociągiem do Warszawy przyjedzie, to sobie wielmożny pan podje sprawiedliwie.

— Co ty mówisz, człowieku, teraz południe, ja do wieczora nie wytrzymam!

— Tu, wielmożny panie, według pożywienia marnie. Spiżarnia pusta, nawet i półeczki porozbierane. . chyba, jeżeli moja kobieta z kościoła przyszła, to dla wielmożnego pana trochę mleka udoi.

— Mleka! czego?

— Dyć mleka, od krowy.

— Ależ, człowieku, jabym się teraz wódki napił, polędwicy porcyę zjadł, o! niedziela dziś, flaki są.

— Chyba w Warszawie; sam, bywało, na Starem Mieście kilka razy jadłem, o dobre! co dobre, to dobre; jeno że za dziesiątkę chytra baba nie dużo onych daje!

— Słuchaj-no, Walenty — rzekł bardzo łagodnie pan Michał, — chyba nie chciałbyś mnie przy pierwszej mojej bytności na wsi, przy obejrzeniu majątku, głodem zamorzyć... postaraj się o co do jedzenia, przecież niepodobna, żebyś w domu nic nie miał, przecież tu nie Arabia deserta.

— Czy arabija, to ja nie wiem, ale prepinacyi od dawności tu niema... Niech wielmożny pan krzynkę posiedzi, poczeka; ja obaczę czy mo a baba powróciła z kościoła. Jeżeli ona co nie poradzi, to już nikt na na tym świecie nie poradzi.

Pan Michał usiadł przy stole na werandzie i papierosa zapalił. Nie obchodziły go w tej chwili ani pola marysińskie, ani walące się budowle, ani dom, którego odnowienie dużo kosztować będzie. Chciał jeść... przedewszystkiem jeść, gotówby był dać, coby kto chciał, za kawałek mięsa i chleba. Jeżeli wszyscy ludzie na wsi

mieszkający mają taki apetyt — myślał sobie, — to nic dziwnego, że majątku nie robią.

Z niecierpliwością spoglądał w stronę czworaka, czekając, rychło się Walenty ukaże. Po chwili, która się głodnemu niezmiernie długą wydała, wybiegła z czworaka baba chuda, wysoka, ubrana po świątecznemu, w czerwonej chustce na głowie.

Przybiegła zadyszana do ganeczku i do kolan się pznu Michałowi skłoniła.

— A dyć niech wielmożny pan dziedzic wybaczy— rzekła, — chłop zawdy chłop, obrotu żadnego nie ma, głodemby wielmożnego dziedzica umorzył. Zaraz będzie wszystko. Panie miłosierny, toć jabym dla wielmożnego dziedzica kurę na mleku zgotowała, jajecznicą nadziała i słoniną okrasiła... a ten oto chłopisko jeno po głowie się skrobie i tyle...

— Ślicznie mówicie, moja kobieto, bardzo ładnie...

— Bo i nieco. Żeby wielmożny pan chociaż był dał znać naprzód, jako chce przyjechać do Marysina, tobym wiedziała jak wielmożnego pana godnie przyjąć, jako przystoi, żeby był przyjęty dziedzic na swojem dziedzictwie. I koło dworu porządekbym zrobiła i pokoje wybieliła i wszystko het, jak się patrzy... choć tu, wielmożny panie, pustka, ani kogo gdzie pchnąć, ani się kim posłużyć. Służba się rozbiegła, potrochu z rozwydrzenia, jak to w dzisiejszym narodzie to gałgaństwo nikogo nie uszanuje, a potrochu i z głodu, bo Bogiem a prawdą powiedziawszy, nie było co w gębę włożyć.

— Czyż tu taka bieda?

— A dyć bieda, bieda, wielmożny panie, jako za-

wdy gdy pana niema... Ale ja tu gadam, a wielmożny pan głodny.

Uwinęła się baba żywo, nakryła stół czystą płachtą, przyniosła flaszkę szkaradnej wódki, kawał czarnego chleba, kiełbasy z czosnkiem i postawiła przed wielmożnym dziedzicem, mówiąc, że jajecznica zaraz będzie.

Pan Michał nigdy w życiu z takim apetytem nie jadł i nic mu tak nie smakowało, jak te specyały ze spiżarni Walentowej.

Posiliwszy się, spojrzał na zegarek. Do pociągu miał jeszcze dwie godziny czasu i ten zeszedł mu dość szybko na konferencyi z Walentym.

Stanęło na tem, że Walenty objąć miał tymczasowo zarząd nowonabytych dóbr, zgodzić służbę i kupić zboża na jej wyżywienie; Walentowa zaś podjęła się przy pomocy kilku dziewczyn najemnych uporządkować ogród, dziedziniec i chociaż grubsze śmiecie i gruz z domu wywieźć.

Generalne odświeżenie i wytapetowanie dworu uskutecznić mieli tapicerzy z Warszawy.

Wydawszy odpowiednie rozporządzenia, pan Michał kazał zaprzęgać.

Długo Walenty się nad tem zadaniem męczył i dużo przytem naklął, ale jakoś wyszykował ekwipaż i z wielkim brzękiem zajechał przed dworek.

Pan Michał rozsiadł się wygodnie na siedzeniu i pomyślał w duchu, że jest to jednak pewna przyjemność powracać z własnych dóbr, własnym ekwipażem, do własnego domu do Warszawy. To nie przeszkadzało mu

zauważyć, że ekwipaż trzęsie i że ciągle w nim coś trzeszczy i brzęczy.

Walenty tłómaczył:

— Nie dziwota, wielmożny panie, co było lepszego, dawny dziedzic sprzedał i tylko tę bryczczynę zostawił Stała długo w wozowni bez żadnego użytku, gałgaństwo i tyle. Śrubka ani jedna nie pasuje, rozklekotane wszystko na szczęt; łaska Boska będzie, jeżeli się nam w drodze cała bieda nie rozleci do licha.

— To też niech Walenty ostrożnie jedzie, bo nie chciałbym tu zostać na piasku.

— E, na piasku bajki, żeby nam się tylko na bruku nie popsuła.

— Widzę z tego, że nową bryczkę trzeba kupić.

— Pewnie i wozów ze dwa teżby się przydało, z naszych co pod szopą stoją pociecha niewielka. Konie, wielmożny panie, też łajdaki, co nie ubije, to nie ujedzie. Do wożenia gnoju jeszcze ujdą, ale do lekkiej jazdy to już na nic. Temu kasztanowi będzie już ze dwadzieścia lat przynajmniej, a gniady był dwa razy ochwacony i siły nie ma za grosz. Była jeszcze trzecia szkapa, ale odeszła, temu dwa tygodnie.

— Jakto odeszła?

— A no, poprostu mówiąc, zdechła za ogrodem i psi ją zjedli. Też kadućznie stara była.

— Więc wypadnie i konie kupić.

— A dyć nieco; przyjdzie jesień, robić czem nie będzie, a i wielmożnym państwu, skoro sobie dla lekkiego powietrza chcą tu bez lato siedzieć, nie pasuje takiem łajdactwem jeździć. Czy do kościoła, czy do miastecz-

ka, czy jak—ludzie patrzą. Tu insi panowie czwórkami sypią aż strach, konie mają jak hamany, powozy aż się świecą.

Pan Michał westchnął. Przypomniał sobie, że w „kuryerze“ bywają nieraz ogłoszenia o mało używanych powozach do sprzedania, możnaby więc kupić niedrogo, ale, bądź co bądź, konie, powozik, zaprzęgi, liberya dla stangreta! Ciężko, ale wróci się ten nakład przy sprzedaży folwarku, a tymczasem żona i córka przynajmniej przez jedno lato użyją.

— Kupi się wszystko—rzekł do Walentego tonem bardzo stanowczym;—za parę tygodni Marysina nikt nie pozna.

Walenty uśmiechnął się nieznacznie...

— Wiadomo — rzekł, — że najlepsze panowie, to właśnie warszawskie; porządek we wszystkiem lubią, a pieniędzy nie żałują, Służyłem ja u jednego, niedaleko ztąd w Smolance, takie porządki pozaprowadzał, że aż miło. Gdzie szukać!.. Budowle zaraz popostawiał, maszyny, lewentarz taki, że strach przystąpić. Folwarczek wyporządził jak zegarek. Parobkom zielone kurty posprawiał, a stangret aż się świecił od srebrnych guzów i galonów. Juści co pan, to pan!

— Chciałbym to kiedy zobaczyć.

— Smolankę obaczyć można, mila drogi ztąd będzie, ale tego pana już wielmożny pan nie obaczy w Smolance.

— Umarł?!

— Gdzie zaś, żyje.., mieszka w Warszawie. Utrzymuje sobie dwie dorożki i jeździ.

— Z majątku na dorożki? cóż znowu?

— A tak, żydy go wyprawowały, opisały, sprzedały i musiał uciekać chudziaczek... ale dobrze mu jest. Widziałem go w Warszawie; akurat ja na Grzybów z kartoflami przyjechałem, a on w to samo miejsce kupca jakiegoś grubaśnego przywiózł w dorożce. Miniasty taki, kasztany łyse miał, dryndę porządną... siedział na koźle jak pan, w skórzanym kaszkiecie, z numerem.

Panu Michałowi zrobiło się trochę przykro, ale wnet się z tego otrząsnął. Prosta rzecz, tamten pan ze Smolanki porobił za duże nakłady i sam gospodarował. W Marysinie będzie zupełnie co innego, nakłady z oszczędnością, z rachunkiem—i folwark zaraz na sprzedaż. Co się wyda, to na rachunek nowonabywcy, który co do grosza wszystko zwróci.

Dojechali szczęśliwie go stacyi, bryczka się nie rozleciała i przygody żadnej nie było.

— Bywaj zdrów, Walenty.

— Niech Pan Bóg prowadzi!

— Pilnujże mi wszystkiego... ja tu za parę dni przyjadę.

— Jak oka w głowie, wielmożny panie, strzedz będę.

Kiedy pociąg już ruszył, Welenty zawrócił szkapiny i jadąc ku domowi, rozmyślał.

— Jak oka w głowie — mruczał pod nosem, — juści to prawda, oka w głowie każdy pilnuje i Wojtek też pilnował, a przecie, jak się w karczmie z cyganami powadził, to mu oko wybili... i teraz z jednem tylko jest...

Pan Michał wprost z dworca do domu się udał. Żona i córka zarzuciły go gradem zapytań.

— Jakże nasz majątek, ładny.

— Tak sobie... bardzo miły.

— Czy są malownicze okolice, góry, lasy, doliny?

— Wogóle gór nie zauważyłem, dolin też niewiele... jest to raczej równina.

— A ogród?

— Pyszności! Przywiozłem wam właśnie na pokazanie trochę truskawek, skosztujcie.

— Bardzo dobre, ale w Warszawie, w owocarniach są znacznie większe i wcale niedrogie.

— Tak tanie jak te być nie mogą, ponieważ są z własnego ogrodu... uważasz z własnego! Trzeba się znać na owocach. Tamte są duże, lecz bez żadnego aromatu, a te prześlicznie pachną.

— Ma ojczulek słuszność, bardzo miły zapach.

— A widzisz!

— A jakże dom mieszkalny, mój mężu, bo jeżeli mamy tam lato przepędzić...

— Dom cokolwiek obniszczony, ale każę go odnowić.

— Taki duży jak nasz?—spytała córka.

— Dziecko! nasz dom w Warszawie to kamienica, tamten zaś jest to dworek parterowy, drewniany, z werandami i prawie w ogrodzie, bardzo poetyczny i miły.

— Pojedziemy tam jutro—rzekła pani.

— A nie, za nic. Nie pojedziecie, aż wszystko będzie gotowe. Ja się tem zajmę, głowa was o nic nie

zaboli, chcę żebyście zastały wszystko w porządku. Na stacyi będzie oczekiwał powozik.

— Jest powozik?

— Tak jakby był.

— Nie rozumiem, mój mężu.

— Bo widzisz on jest obecnie w reperacyi, kazałem go cokolwiek odświeżyć.

— Na co takie wydatki!

— To trudno, moja żono, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Na drugi dzień pan Michał udał się do wekslarza i zamienił kilka listów zastawnych na gotowiznę. Było mu trochę przykro rozstawać się z owemi baraniemi skórkami, do których posiadania doszedł przez długoletnią oszczędność; pocieszał się wszelako przekonaniem, że wkładając kapitał w dobra ziemskie, nie popełnia marnotrawstwa, lecz, przeciwnie, lokuje pieniądze dobrze i może liczyć na umiarkowany, ale pewny procent.

Załatwiwszy się u wekslarza, puścił się na poszukiwanie powoziku, a szukał takiego, któryby był trochę używany, ale mocny, elegancki i tani. Chodził od fabryki do fabryki i z podziwienia wyjść nie mógł, ile żądają za marne cztery koła i pudło! Dowiedział się zarazem, jaka jest cena porządnych zaprzęgów i liberyi, co utwierdziło go w przekonaniu, że powoźnicy i rymarze trudnią się głównie obdzieraniem ludzi ze skóry.

Rymarz z najuprzejmiejszym uśmiechem zaśpiewał za chomonta kilkadziesiąt rubli i jeszcze namawiał na kupno siodła.

— Przyda się zawsze na wsi, panie dobrodzieju—

mówił,—a mam bardzo dobre, leciutkie, zgrabne, konia nigdy nie odparzy; niech pan dobrodziej raczy tylko spojrzeć, prawdziwe świńskie siodełko...

— Jakie?!

— Najlepsze, panie dobrodzieju, ze świńskiej skóry, niezdarte.

Pan Michał w życiu swojem nigdy na koniu nie siedział, ale uśmiechnęła mu się myśl, żeby spróbować, skoro się ma swoje konie i swoje terytoryum do jeżdżenia. Zaczął się tedy pilnie przypatrywać siodłu; wydało mu się ono bardzo niepraktycznem, płaskiem, gładkiem, śliskiem!

— Nie podoba mi się ta patelnia—rzekł. — Przytem twarde jest jak deska.

— Angielskie, panie dobrodzieju, najwygodniejsze, ale mogę pokazać i inne; mamy węgierskie terlice, głębokie, o, widzi pan, mamy i z poduszkami.

— Aha... pokaż-no pan to z poduszką... Proszę! Czemuż takie wysokie?

— Taki system, proszę pana.

— U was wszystko system, a gdzie wygoda dla pasażera? I cóż kosztuje taka maszyna z poduszkami?

— Z całym garniturem, z trenzlą, tylko siedmdziesiąt pięć rubli.

Pan Michał aż podskoczył.

— Panie! —zawołał,—u mnie lokator na pierwszem piętrze kwartalnie więcej za komorne nie płaci. Za co tyle pieniędzy, za trochę drzewa i skóry?

— Na Grzybowie u żydów dostanie pan znacznie

taniej, tam mają wszelką starzyznę i tandetę. Użytek będzie niewielki, ale taniość znakomita.

Na obiedzie pan Michał tego dnia w domu nie był, tyle z powoźnikami i rymarzami miał kramu. Krwi sobie napsuł dosyć, nairytował się coniemiara, ale ostatecznie powozik i zaprzęgi na wieś wyprawił. Z siodła zrezygnował, a przynajmniej kupno na później odłożył, gdyż i pieniędzy mu było żal i nie mógł sobie wyobrazić, jak człowiek przyzwoity, obywatel o pokaźnej tuszy, może się ulokować na takiej ślizkiej i gładkiej patelni, jak owo angielskie siodełko.

Większa trudność jeszcze była z kupnem koni; na szczęście znalazł się jakiś życzliwy przyjaciel, który na koniach się znał i panu Michałowi dopomógł; kupili dwa dość stare, ale zdrowe jeszcze, pół perszerony, gniade, flegmatyczne, lecz wypasione doskonale na słodzinach, bo przez ośm lat rozwoziły piwo po Warszawie z browaru.

Szkapy te wyglądały dość pokaźnie i pan Michał zadowolony był z kupna.

Wysłał też zaraz na wieś tapicera i stolarza, aby domek w Marysinie doprowadzili do porządku, wyprawił z Warszawy trochę mebli, kupił kilka ławek do ogrodu i z baranich skórek pozostało tylko wspomnienie.

W przeddzień wyjazdu spotkał się z kilkoma przyjaciółmi, z towarzyszami pracy z różnych instytucyj filantropijnych. Byli to po większej części właściciele domów, emeryci, ludzie niezależni, z tej samej sfery co pan Michał, z takiemiż przyzwyczajeniami mieszczańskiemi czysto.

— A gdzież się, panie Michale, kryjesz? gdzie się

podziewasz? — zawołał jeden z nich, otyły, siwy jegomość,—myśleliśmy żeś broń Boże gdzie przepadł. Od dwóch tygodni oko cię ludzkie nie widzi.

— Ani na sesyi—odezwał się drugi,—ani na flakach?

— Ani na preferansie.

— Ani nigdzie! Jak ty żyjesz, panie Michale, co się z tobą dzieje? Najważniejsze sprawy opuszczasz!

— Moi drodzy, jest rzecz poważna—odpowiedział pan Michał;—właśnie do was szedłem, bo wytłómaczyć się muszę, ale nie na ulicy. Wstąpimy na buteleczkę, pogawędzimy, wszystko opowiem i pożegnam się z wami.

— Wyjeżdżasz?

— Tak.

— Jakto? z Warszawy?

— Ano tak.,. z Warszawy.

— Cóż znowuż, tak nagle, niespodzianie! Dokądże u licha, do Ameryki?

— Gorzej jeszcze, moi kochani.

Zasiedli przy stole w winiarni, pan Michał kazał podać gąsiorek zieleniaczku i całą historyę nabycia dóbr ziemskich opowiedział. Ludziom tym, przyzwyczajonym do systematycznego, jednakowego zawsze trybu życia, postanowienie pana Michała wydało się czemś nadzwyczajnem. Najbardziej zdumiewał się pan Salezy i zarazem ubolewał nad swoim przyjacielem.

— Człowieku—mówił,—czyś ty się zastanowił nad tem co czynisz, czy pomyślałeś na co się narażasz?

— Ha, trudno, ratowałem sumę.

— Zapewne, ale czy ty wiesz co jest wieś? Ani

porządnego handlu, ani teatru, ani partyjki, ani znajomego, w nocy ciemno jak w grobie i psy wyją, ledwie świt koguty nad samem uchem wrzeszczą. Dobry jest kogut, ja sam bardzo go lubię na pieczyste, ale żeby mi się miał drzeć nad głową wtenczas, kiedy zasypiam... kłaniam uniżenie! Byłem ja raz na wsi, będzie temu lat ośmnaście. Wyobraźcie sobie, kuzyn mój, który ma majątek w Lubelskiem, zaprosił mnie do siebie. Dla ciekawości pojechałem. Pierwszego dnia, akurat niedziela to była i dzień bardzo pogodny, dali obiad niezły, nawet bardzo dobry, po obiedzie wyszliśmy trochę na spacer, nad wieczorem przyjechał jeden sąsiad, przyjechał proboszcz, zrobiliśmy pulkę, niedrogo, bardzo pięknie, dzień przeszedł jako tako... ale noc! niech jej nie znam! Psy wyją, ledwie oczy zamykam, kogut pieje, ledwie usnąłem nadobre, słyszę wrzask taki, że sądziłem iż pożar wybuchnął.

— Cóż to było?

— A zwyczajna rzecz. Szanowny kuzynek siedział na ganku i prowadził dyskurs z ekonomem, który stał przed stodołą, w odległości takiej, jak od Kopernika do Zygmunta. Gawędzili sobie w najlepsze, tak jak ja z wami w tej chwili, a mnie głowa puchła jak karmelicka bania. W dodatku od samego rana chlapał deszcz. Przed domem porobiły się kałuże, ani krokiem z domu nie można było się ruszyć. Sąsiad i ksiądz nie przyjechali, partyjki nie było, o jakiejś uczciwej knajpeczce, bilardzie, ma się rozumieć, ani mowy. Kufelek piwa był niedoścignionem marzeniem. Mają wprawdzie butelkowe, ale, powiadam wam, lura! Drugi dzień taki

sam, trzeci rodzony brat drugiego, już mi i broda zarosła. Pytam czy tu jest fryzyer? Śmieją się: tu się każdy sam goli, powiadają, a wszystkich golą żydzi. A niech was! żebym jeszcze sobie, dla wątpliwych przyjemności wiejskich, miał kaleczyć brodę tępą brzytwą mego kuzyna! Niedoczekanie! Poprosiłem o konie i odjechałem do Warszawy. Tak, tak, drogi panie Michale, wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, mówi przysłowie, a ja powiadam: wszędzie dobrze, w domu lepiej, a w Warszawie najlepiej i pojęcia nie masz, jak ja cię żałuję.

— Ale ja do was wrócę, bynajmniej nie mam zamiaru na całe życie ze wsią się wiązać, ogłoszę że mam folwark do sprzedania i sprzedam, a że lato w Marysinie przepędzę, to rzecz zwyczajna; corok wynajmuję mieszkanie letnie w Jabłonnie, albo w Otwocku, ma się rozumieć, dla zdrowia żony i córki...

— To prawda, ale sam w Warszawie pozostajesz i tylko co sobota wyjeżdżasz, nigdy w lecie nie opuszczasz sesyi, ani towarzystwa dobrych przyjaciół, a jeżeli nie możesz się stawić na partyjkę do Warszawy, to nas do siebie zapraszasz.

— A czy sądzicie, że teraz was zapraszać nie będę? Owszem, zapraszam, stokrotnie zapraszam, tem chętniej, że pod własny dach, na wieś. Jakże to nas po łacinie uczono? „*Rura paterna.*“

— Aha rzekł pan Salezy,—masz słuszność, *rura paterna, lura bavariensis, obscura lura.*

— O za pozwoleniem, kochani przyjaciele, antałek wprost z Warszawy będzie, postoi na lodzie i będziecie

mieli to samo co tu, z tą różnicą, że na werandzie, na świeżem powietrzu, księżyc będzie nam przyświecał, gwiazdki będą mrugały.

— Pan Michał jest poeta!

— Pan Michał jest ryzykant!

— Odważny, dalibóg odważny—zakonkludował pan Salezy,—już ja bym nie ryzykował, choćby mi dawali darmo tyle włók, ile mam włosów na głowie.

Jeden z towarzyszów uśmiechnął się złośliwie.

— Nie zrobiłbyś karyery, panie Salezy—rzekł.

— A to dlaczego?

— Przy takiej łysinie...

— Podchwytujesz pan za słówka, mówi się, bo się mówi obrazowo, a pan bierzesz to literalnie. Sam nieraz powiadasz, żeś na rachunkowości zęby zjadł... a przecież ich nie zjadłeś, tylko ci się popsuły, i wiem który dentysta ci je reparował.

— Panowie — rzekł pan Michał, — dajcie pokój, schodzimy niepotrzebnie na grunt osobistych przymówek.

— Bo ja nie lubię jak kto opowiada o łysinie. Podoba mi się nie mieć włosów, to nie mam, ale zęby mam i sztucznych sobie nie przyprawiam!

— Panowie, jeżeli mnie kochacie — zawołał rozczulony pan Michał,—żegnam was dzisiaj, opuszczam was jutro, gąsiorek się kończy, kto wie czy się jeszcze kiedy na tym padole płaczu spotkamy, więc... co tam próżno głowę zawracać!.. byliśmy przyjaciółmi, będziemy przyjaciółmi, w ręce pana Salezego: „kochajmy się!“

— Niech was licho porwie! Kochajmy się!—zawołał mocno podochocony pan Hilary.

— Kochajmy się!

— Przepraszam... ale nawzajem.

— Zapewne, skoro nawzajem, to znaczy jeden drugiego, a drugi jednego, więc właśnie wypada nawzajem.

— Poczekajcie... za pozwoleniem, proszę o głos!

— Pan Hilary ma głos.

— Tedy, drodzy panowie, nie jest to już dla was tajemnicą, że się sytuacya w dość gruby sposób zmieniła. Do niedawna jeszcze byliśmy z nieoszacowanym, a tu poniekąd jeszcze obecnym panem Michałem, kolegami, przyjaciółmi, współobywatelami dobrego miasta Warszawy. Panowie! jedno z dwojga, pośredniej drogi być nie może, albo mam racyę, albo nie mam racyi.

— Masz racyę, panie Hilary!

— Nie masz racyi! — zawołał pan Michał,— czem dla was byłem, tem jestem i niech mnie licho porwie, jeżeli czem innem będę!

— Mam racyę—odezwał się pan Hilary,—i poniekąd tego dowiodę. Patrzcie panowie, oto nasz pan Michał, nasz Michał, Michałek—z rozrzewnieniem wymawiam to imię: nasz Michałek! Obecnie to już wełniarz, fabrykant pszenicy, wychowywacz kurcząt ze śmietaną, wytwórcą siana etc. I on, on, ten niegdyś serdeczny towarzysz i przyjaciel, chce nam imponować gąsiorkiem wina! Nie, kochani panowie, pokażmy że i my potrafimy to samo i odpowiedzmy mu także gąsiorkiem, niech nie będzie hardy... W takich okolicznościach, z taką wzajemnością, chętnie wychylimy toast: kochajmy się!

Mowa pana Hilarego zrobiła wrażenie, biesiadnicy

powstali z miejsc i zaczęli ściskać pana Michała, który tak się rozrzewnił, że powtarzał tylko:

— Taka chwila... taka chwila... dla jednej takiej chwili warto kupić folwark!

Zapomniano o tytułach i godnościach, mówili sobie wszyscy po imieniu, jak przyjaciele i koledzy.

— Michałku! ty jednak nas zupełnie nie opuścisz?

— Nie! duchem zawsze będę z wami. Amicus Plato, mówi mędrzec, miłe siano i wełna, lecz milsi przyjaciele.

— Oto mówisz jak Salomon, niech cię uściskam!

I ściskali się i pili, i płakali i śmieli się, a im więcej wina ubywało w gąsiorku, tem bardziej rozczulenie ich wzrastało.

Pan Hilary powiedział, że go tów jest porzucić żonę i dzieci, a pójść za ukochanym i wiernym przyjacielem.

— Słuchaj, Michałku—mówił,—ty mnie nie znasz, ja jestem taki, że jak kogo kocham, to już na śmierć i życie. Pojedziesz na wieś, ja z tobą; będziesz gęsi pasł, ja z tobą! Myślisz że nie? będziemy sobie grali w pikietę na trawie i czas nam zejdzie najprzyjemniej.

Posiedzenie pożegnalne przeciągnęło się do późnej nocy; wszyscy goście już dawno sklep opuścili, kupiec drzemał za kontuarem, chłopcy sklepowi spali na dobre po kątach. I towarzyszów pana Michała animusz i humor opuściły, nawet pan Hilary, najtęższa głowa w tem gronie, drzemać zaczął. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że ocknął się pierwszy i o powrocie pomyślał.

Nie łatwo to przyszło. Pan Michał ledwie na no-

gach się trzymał, inni ledwie ruszać się mogli. Nareszcie przy pomocy uprzejmego kupca zaradzono i temu. Przebudzony stróż sprowadził dorożki i podwoził z kolei wszystkich pod wskazane adresy.

Na drugi dzień właściciel Marysina obudził się bardzo późno, w fatalnym humorze. Żona zasypała go gradem pytań.

— A co to wczoraj było? dlaczegoś tak późno wrócił? Co się z tobą działo?...

— Nic się nie działo i nic nie było—odrzekł niechętnie.

— Sądziłam żeś chory.

— Nie chory.

— Żebyś się był widział, w jakim znajdowałeś się stanie, coś wygadywał... ach, coś ty wygadywał!

Przypomniał sobie pan Michał, że jako obywatel ziemski i szlachcic, powinien być czupurnym i nie dać sobie w kaszę dmuchać.

Oburzył się więc i rzekł dość ostro:

— Co komu do tego, czy byłem w takim stanie, czy w owakim!

— Ależ mężu, przecież mam niejakie prawo, tyle lat z sobą żyjemy!

— Tem bardziej powinnaś wiedzieć o tem, że jestem człowiek porządny—i nie dręczyć mnie niepotrzebnemi pytaniami.

Na takie dictum pani się skrzywiła i odeszła, ale swoją drogą pan Michał wstydził się trochę wczorajszej hulanki i wynalazłszy błahy jakiś pozór, coprędzej wyniósł się na miasto.

. . . .

Dzięki staraniom pana Michała i pieniądzom hojnie przez niego sypanym, Marysin, jako siedziba ludzka, wyglądał bardzo porządnie. Na tle bujnej zieleni ogrodu bielił się dworek. Przed dworkiem rozciągał się czysto utrzymywany trawnik, obłożony dokoła w pewnych odstępach białemi kamieniami, dróżki i ścieżki były wygracowane i zamiecione czyściutko. Nawet podupadłe budowle folwarczne doprowadzone zostały do dobrego stanu, a że je pan Michał kazał pobielić, więc zdaleka wyglądały jak murowane.

Werandę uporządkowano, w ogrodzie przybyła nowa altanka, a dworku wewnątrz z pewnościąby dawny właściciel nie poznał.

Pan Michał wziął się do restauracyi i odnowienia po warszawsku; wyrzucił stare piece ceglane, a natomiast postawić kazał nowe z kafli, hermetyczne, sprawił nowe podłogi, ściany wykleił gustownem obiciem

Było tam bardzo czyściutko i ładnie.

Dwa spasłe gniadosze zajadały owies w stajni, obok czterech niezłych koni roboczych; sześć młodych krów stało w oborze, koło stodół chodziło stadko drobiu. Nie chciał pan Michał, żeby żona pustki w nowonabytych dobrach zastała, więc pokupował co tylko było potrzeba i podobno nawet od pana Hilarego na ten cel trochę pieniędzy pożyczył. Przyjął do służby stangreta i dwóch fornali, pastuszka i dziewkę do krów, generalny ster gospodarstwa męzkiego oddał Walentemu a kobiecego Walentowej i gotów był zupełnie na przyjęcie żony i córki. Nie zaniedbał nawet zaopatrzeć śpi-

zarni w niezbędne prowianty, oraz sprowadził do piwnicy trochę szkła, ponieważ przewidywał, że przyjaciele z Warszawy mogą lada dzień nadjechać.

W trakcie tych czynności zamyślał się nieraz ciężko, bo mu pieniądze fatalnie uciekały z kieszeni, setka goniła setkę, a tu coraz to nowe, a niezbędne okazywały się potrzeby.

Nadszedł nareszcie dzień, w którym pani z córką do dóbr swych przybyć miała. Świeżo przyjęty stangret, Mikołaj, ogromny chłop, z wąsami jak miotły, z nosem zdradzającym skłonność do kieliszka, zaprzągł do powoziku i zajechał przed ganek z takim szykiem, że aż się szybki w małych oknach zatrzęsły. W nagrodę za to pan Michał wynieść mu kazał potężny kielich gorzały, która miała mu jeszcze animuszu dodać.

Jadąc na stacyę i kołysząc się w powozie, pan Michał rozmyślał i przyszedł do wniosku, że wieś ma swoje powaby i że, podczas pogody zwłaszcza, jest wcale przyjemna.

A pogoda była prześliczna, niebo bez chmur, słońce świeciło jasno, ogrzewając promieniami swemi zboża, łąki i żółty piasek gościńca.

— Nie forsuj koni, Mikołaju—rzekł pan Michał,—z powrotem zato zawieziemy panie po kawalersku.

— Słucham, jaśnie panie—odrzekł Mikołaj.

Pan Michał demokratycznych przekonań był, więc zaprotestował:

— Mówiłem ci już, Mikołaju, żebyś mnie tak nie tytułował, bo to wcale niepotrzebne.

— Słucham, jaśnie panie.

— Znowuż?

— A to bez przyzwyczajenie; służyłem u pięciu hrabiów i u dwóch żydów i takem oto do jasności przywykł, że już nie umiem inaczej.

Pociąg przywiózł z Warszawy panią Michałową z córką, siedmnaście pudełek i tłomoczków w wagonie, pięć wielkich koszów i kufer za kwitem.

Powóz ogromnie się pani podobał.

— Mężu, czy to nasz ekwipaż?—spytała.

— A nasz.

— Ale gdzież się tu rzeczy pomieszczą?

— Przyszła po nie osobna furmanka, wóz w drabinach.

— Także nasz?

— Spodziewam się!

— Ileż więc mamy tych koni, wozów, powozów?

— Na swoja potrzebę; ale siadajcie, rzeczy wasze odbierze i przywiezie Walenty.

Podał żonie rękę i cała rodzina ulokowała się w powozie.

— No, Mikołaju, jedź teraz.

Gniadosze szarpnęły z miejsca tak gwałtownie, że aż pani Michałowa krzyknęła przerażona.

— Nie bój się duszko — uspokajał pan Michał, — to są przecież nasze konie, nie dorożkarskie szkapy.

Swoją drogą, pani nie uspokoiła się, aż dopiero wtedy, gdy zaczęły się piaski, w których ciężko było spasionym szkapom ciągnąć powóz z czterema osobami.

— Jak-że ci się okolica podoba?—zapytał pan Michał żony.

— Bardzo ładna, zupełnie jak w Miłosny, piasek taki sam, tylko lasu niema.

— Ktoby tam się dziś bawił w wielkie lasy. Kolej blizko, węgiel kamienny nie drogi.

Panna Jadwiga zauważyła, że okolica jest dość przyjemna.

— To nic — odrzekł ojciec,—poczekaj, jak zobaczysz Marysin, to zachwycona nim będziesz z pewnością. Jaki dworek, jaki ogród! Szkoda—dodał z westchnieniem, — że nie długo cieszyć się tą posiadłością będziemy.

— Dlaczego?

— Bo sprzedamy Marysin, moje dziecko, już ogłosiłem w „kuryerach.“

— Już?—rzekła pani zdziwiona;—czyś się nie zanadto pośpieszył, mój mężu?

— Wymówię sobie letnie mieszkanie do Września; adwokat mówił, że najkorzystniej będzie sprzedać z wolnej ręki i radził, żeby ogłosić zaraz, nie odkładając. Palnąłem też ogłoszenie mniej więcej w tych słowach: „Jest do sprzedania folwark w blizkości Warszawy, niedaleko kolei żelaznej; gleba urodzajna, łąki, rzeka, rezydencya, ogród, inwentarz żywy i martwy, budynki. Cena przystępna, wiadomość u właściciela na miejscu. Stacya kolei X., wieś Marysin.“ Sypną się zaraz kupcy i w ciągu tygodnia rzecz ubiję. Sumę Jadwini wycofam, kapitalik włożony w folwark również i może nawet z pewnym zyskiem. Lato przepędzimy jak w raju i zostanie nam przyjemne wspomnienie sielanki.

Pani Michałowa uśmiechnęła się.

— Wiesz co, mój mężu,—rzekła,—że ten powóz jest jednak bardzo wygodny.

— Spodziewam się! Widzisz, duszko, doczekaliśmy się nareszcie własnego ekwipażu. Jest to rzecz przyjemna, ani słowa.

— Szczególniej w Warszawie, w Alejach Ujazdowskich—dodała panna Jadwiga.

Mikołaj przynaglał do biegu spasione szkapy; dyszały one ciężko i niecierpliwiły się, nieprzyzwyczajone do takiego pośpiechu. Jeden zaczął się wspinać, drugi wierzgać, a Mikołaj, którego grzała wewnątrz gorzałka, a z zewnątrz słońce, wpadł w gniew i okładał niesforne rumaki biczem. Panie przerażone krzyczały, pan Michał doznawał również pewnej obawy.

— No, Mikołaju — rzekł,—daj im pokój... wolno, wolno...

— Jaśnie pan kazał...

— Zmieniłem projekt. Wprost przeciwnie; jedź powoli, bo chcemy przypatrzeć się zbożu.

Udało się jakoś ułagodzić rozbrykane zwierzęta i powóz szczęśliwie zatoczył się przed dworek. Pani przedewszystkiem zaczęła oglądać mieszkanie: badać kuchnię, śpiżarkę, piwnicę; panna Jadwiga zaś ledwie rzuciła okiem na pokoje, pobiegła natychmiast do ogrodu. Tu zachwycało ją wszystko, drzewa, trawniki, kwiaty, altanka dzikiem winem ocieniona. Upajał ją zapach rezedy i róż kwitnących.

— Tu jest bardzo ładnie—rzekła do ojca, który za nią podążał, — nie spodziewałam się, że tu znajdę tak miłe ustronie.

— To nic — odrzekł rozentuzyazmowany pan Michał,—po obiedzie zobaczysz naszą rzekę i łąkę. Rzeka szczególniej godna jest widzenia; po obu jej brzegach krzewy rozmaite rosną, woda nie taka jak w Wiśle, lecz czysta, dno przez wodę widać, taka przezroczysta. Są w niej rybki i raki, kazałem Walentemu nałapać. Pyszna rzecz!

Nawet pani Michałowa niewiele znalazła do zganienia i wogóle zadowolona była z letniej siedziby. Obiad spożyto na werandzie, na świeżem powietrzu, poczem pan Michał rozparł się wygodnie w fotelu i drzemać zaczął. Miły wietrzyk chłodził mu łysinę i usposabiał do marzeń..

Nagle marzenia te zostały przerwane ujadaniem psa; na dziedziniec wtoczyła się bryczka żydowska i z niej wysiadł jegomość jakiś gruby, z krótką, przystrzyżoną brodą, ubrany niewykwintnie, w długich butach i pomiętym kapeluszu.

Wszedł wprost na ganek, w ręku trzymał gazetę.

— Pan właściciel?—zapytał przebudzonego nagle pana Michała.

— To jest... ja; no tak, ja jestem właściciel... Czem mogę panu służyć?

— Pan ogłaszał, że majątek tan na sprzedaż?

— Ja... ale z kimże mam honor?

— Jaki honor, na co honorować?! Dziwirejko się zowię, z pod Suwałk jestem, mająteczku szukam, w Warszawie bywszy, oto kuryera kupiłem, no i jestem. Mówili mi, że w Warszawie sama blaga, i prawda. No, panie kochany, nie godzi się tak ludzi tumanić!

— Czego pan odemnie chce?

— Ja wiem co ja chcę; pan ogłasza, że majątek sprzedaje.. a to nie majątek, a wydma!

— Jeszcze go pan nie obejrzał, panie...

— Dość i tego co widziałem, oglądać więcej nie trzeba. Po warszawsku, dalipan, po warszawsku. „Gleba urodzajna,“ jaka gleba? toż piasek, dziewanna tu rośnie, gdzież urodzajność?! Łąki, rzeka... pytałem żyda, powiada że łączki kawałek—„rezydencya,“ ha! ha! no już, panie, tego nie rozumiem... Podług pana to rezydencya, podług mnie chałupa.

Pan Michał zaczerwienił się, jak burak.

— Czy pan po to przyjechał, żeby mi impertynencye mówić.

— Nie, panie, ja jechał żeby majątek kupić, a przyjechawszy, widzę taki, że trzeba impertynencye mówić?

— Ja ich słuchać nie myślę; wolna wola kupić, wolna nie.

— A za pozwoleniem, paneczku... Jak się ma kota, to nie trzeba ogłaszać, że do sprzedania jest lew. Mała rzecz a w nosie kręci: jak pan sobie chcesz, a to nie ładnie... kot, to kot, ochota komu kupić, niech kupuje. Jeden lubi czarnoziem, drugi lubi piasek, a ja takoż padam do nóg za piasek, pisaniną się nie bawię, zasypywać atramentu nie potrzebuję.

— Więc nie kupuj pan, nie przymuszam.

— Pocóż ogłaszać? Ja koszt poniósł, ja wydatek zrobiłem.

— Panie! ja tysiączne wydatki ponoszę i nic nie

mówię. Zresztą o co mamy się sprzeczać? Nie podobało się, jedź pan z Bogiem.

— Jak raz! pocóż przyjechałem, szkoda kosztu... kupić nie kupić, a potargować można. Gałgaństwo to, widzę że gałgaństwo, ale obejrzę szczegółowo, o cenę zapytam. Drukowano, że przystępna. Ileż to naprzykład rubli?

Pan Michał wymienił sumę. Dziwirejko śmiechem wybuchnął.

— Komedya! ot komedya warszawska!

— Panie!

— No, no, w handlu niema gniewu, a ja człowiek szczery, co czuję powiadam. Nie krzyw się, panie dobrodzieju, a chodź, po polach oprowadź, pokaż tę całą biedę; krówki wasze, koniki, owieczki, budynki. Bułkę kto kupuje i to na wszystkie strony obejrzy.

— A no to chodźmy — rzekł pan Michał.—Każę Walentego zawołać.

— Cóż to za taki Walenty?

— Karbowy mój.

— Chłop?

— Zdaje mi się, że chłop.

— Mówią, że pod Warszawą i chłopi lubią blagować, powietrze takie snać.

— Przestań-że pan raz nareszcie z tą blagą!

— No ładnie, przestanę, chodźmy w pole, tylko ja szczerze panu powiem, głodny jestem. Przyjedź pan do nas pod Suwałki, obaczysz jak uczęstujem.

— Ależ z największą przyjemnością, najchętniej, bardzo proszę. W tej chwili każę podać.

Pan Michał poszedł wydać dyspozycyę, a gość na ganku pozostał. Bystrem okiem znawcy objął wszystkie budynki i ocenił je na poczekaniu, potem wodził wzrokiem po bliższych polach i patrzył na zboża, mrucząc coś pod szorstkiemi wąsami. Gdy podano jedzenie, był już mniej pesymistycznie usposobiony. Wypił jeden i drugi kielich wódki, zjadł kawał pieczeni, masę wędlin, a potem bez ceremonii krótką fajeczkę nałożył i zapalił.

— Bóg zapłać—rzekł;—najadłszy się, w pole teraz można.

Poszli z panem Michałem i Walenty się powlókł za nimi.

Dziwirejko coraz lepszy miał humor,

— Słuchaj-no ty, ciwunie, czy jak tam—rzekł do Walentego,—u was rola biała?

— Taka jak Bóg dał, wielmożny panie.

— A wiesz, że na czarnej roli chleb się rodzi, a po białej pies chodzi?

— Wiadomo, wielmożny panie, ale zawdy u nas ludzie chleb jedzą, a boćwiną i inszem zielskiem wieprze jeno karmią.

— Ty, ciwunie, pewno się ślepy urodził?

— Może i ślepy, ale zawdy dojrzę, czy kto ma rozum, czy głupi.

— A także gęba zębata, niech cię las trzaśnie!

— Wielmożny panie — odrzekł Walenty, — żeby wilk zębów nie miał, to by go dawno psi zjedli.

Dziwirejko chłopa po ramieniu uderzył.

— A ja takich lubię—rzekł,—co się zjeść w kaszy nie dadzą. Jak tobie imię, bracie?

— Walenty, wielmożny panie.

— Ładnie, ładnie. No, Walenty, a dla czego tu żyto lepsze, niż tam przy drodze?—zapytał.

— Bo na łubinie siane.

— Patrzaj go, na łubinie! Pod łubin uprawiać i pod żyto uprawiać, i łubin siać i żyto siać, a tylko żyto zbierać. Jakiż to u was rachunek?

— Żyta, panie, w dubelt.

— Aha! jak raz, policzyłeś może.

— Juści, rachowało się.

— Pszenicy wysiewać tu można po sto korcy? Prawda?—mówił dalej, śmiejąc się.

— Choćby cebulę sadzić, wielmożny panie, ziemia cierpliwa, nie wyrzuci.

— Marny folwark, panie dziedzicu — rzekł po chwili Dziwirejko, do pana Michała się zwracając,—figa suszona i tyle, a drogo, dalibóg obrzydliwie drogo! Wy tu, pod Warszawą, niedługo ziemię na funty sprzedawać zechcecie!

— Wielmożny panie—odezwał się Walenty,—ziemię jak ziemię, ale drzewo to w Warszawie już na funty sprzedają.

— Nie może być!

— W samej rzeczy — potwierdził pan Michał,— na funty.

— Komedya czysta! Tyle lat żyję, nie słyszałem, tylem lasu już sprzedał, nie słyszałem... Dawniej na morgi liczono, później na sztuki, na sążnie, Niemcy no-

wą miarę zaprowadzili: kubiki, a teraz patrzaj-że, na funty! Takoż miara! Herbata na funty, tabaka, rozumiem, a oni drzewo! Co kraj to obyczaj.

Dziwirejko ciągle mówił, a oka z zagonów nie spuszczał, coraz to przystanął, grudkę ziemi podniósł, w palcach ją rozkruszył, badał.

Kiedy się trochę naprzód wysunął, pan Michał szepnął do Walentego:

— Jak myślisz? Kupi, nie kupi?

— Chyba że nie—odrzekł, kręcąc głową, Walenty.

— Dla czego?

— Zna się, wielmożny panie.

— O! proszę!

Łąkę szczególniej pilnie Dziwirejko badał, a nad rzeczką długo stał, listki z olszyny obrywał i na wodę rzucał.

Walenty uśmiechał się nieznacznie; dostrzegł to szlachcic.

— Aha, śmiejesz się, ciwunie, myślisz sobie: zpod Suwałk ciarach przyjechał i bawi się nad wodą, jak dziecko... prawda?

— Ale zaś!

— A widzisz, Walenty, ty mądry niby chłop, a głupi. Listek pokazuje jak prędko woda bieży, a woda pokazuje, czy tu warto młynek postawić. Dużo u was w okolicy młynów?

— Wiatraków kilka jest.

— A wodnych?

— Nie; w blizkości niema.

— Ot widzisz, skoro niema, to tu byłby akurat. Młynek porządny, z pytlem, z kaszownikiem, co?

— A juści, może i dobrze. Ludziom mąki i kaszy zawsze potrzeba, na taki jenteres naród chciwy.

— A do miasteczek od was daleko?

— Nie bardzo, najbliższe pół mili drogi.

Dziwirejko czoło marszczył, kombinował. Wracali do dworku na około, granicą, pan Michał, zmęczony spacerem po zagonach i piasku, już ledwie nogi wlókł za sobą. Gdy przyszli do domu, został na werandzie, poleciwszy Michałowi, aby budynki i inwentarz pokazał.

Bardzo troskliwie i szczegółowo oglądał kandydat na nabywcę całą marysińską chudobę. Każdemu koniowi w zęby zajrzał, każdej krowie policzył pierścienie na rogach. Nareszcie skończywszy ten przegląd, powrócił na werandę, usiadł obok pana Michała i fajeczkę zapalił.

No, panie—rzekł,—spocząć trochę można?

— Ależ proszę, serdecznie.

— Pan gospodarz?—zapytał.

— Nie, panie.

— No, ochota była leźć w ten piasek? Co pan tu zrobi? Pieniędzy utopi coniemiara, a będzie z tego dudek na kościele. Kto pana do tego namówił?

— Wspomniałem już, że byłem zmuszony.

— Jabym się nie dał, choćby przymuszali; krzyczałbym gwałtu, a nie dał się!

Pan Michał uśmiechnął się kwaskowato, rad był już jaknajprędzej pozbyć się tego gościa, ten jednak

wcale do odjazdu nie myślał się zabierać. Pragnąc raz nareszcie kwestyę jasno postawić, zapytał wprost:

— Więc, według pańskiego zdania, o sprzedaży tego mająteczku niema co mówić?

— Dla czego nie; mówić to można.

— Ale sprzedać nie?

— Widzi pan i sprzedać można... ale... ot, posłuchaj pan dobrodziej, my pogadamy. Kto wie, może ja kupię, dla siebie nie, ale dla kogoś. Może kupię, tylko nie przepłacę; nie z takich ja co przepłacają. U mnie pieniądz dużo wart, rzucać go nie lubię napróżno. Ja tu przyjadę za tydzień.

— Więc decyduje się pan stanowczo?

— Nic ja nie decyduję, tylko przyjadę. Panu chodzi, wiem o co panu chodzi; może się inny kto trafi, podoba mu się, zapłacić zechce drożej; owszem, niech pan nie krępuje się, proszę sprzedać, no, a jeżeli się nie trafi, to ja kandydat.

Panie, zaciekawione o czem tak długo gość nieznany konferuje, wyszły na ganek; pan Michał im Dziwirejkę przedstawił. Wobec kobiet szlachcic ten całkiem się zmienił, już nie szydził z Marysina i na uprzejmość się silił. Z panny Jadwigi oka prawie nie spuszczał.

— Jakże się panu podobał nasz mająteczek? — zapytała pani.

— Niczego, niczego, pani dobrodziejko, jak pod Warszawą, wiadomo że nie stepy.

— Ja bardzo żałuję, że go sprzedać musimy.

— I ja również— dodała panna Jadwiga,— tu jest

bardzo ładnie. Czy pan, w razie nabycia Marysina tu zamieszka?

O nie... i prawdę powiedziawszy, gdybym go nabył, to także nie dla siebie. Mogę powiedzieć całą prawdę. Ja drugi raz żonaty. Pierwsza żona, dobra kobieta, umarła; zostałem sam, dzieci drobne, cóż było robić, ożeniłem się powtórnie. Trafiła się wdowa, młodziutka z jednym synkiem, znaczy prócz swoich dzieci i pasierb mi przybył. Ciecierski on, Stasio, w Warszawie urodzony. Chował się u nas, potem go do szkół oddałem, chodził do Warszawy, skończył pięknie, jak się należy, z patentem. Bardzo do gospodarstwa miał chęć, posłałem go na praktykę do dobrych gospodarzy. Cztery lata w kraju, dwa w Prusach, dosyć. Teraz chłopcu dwadzieścia cztery lata, czas na swój chleb. Fundusz on ma, po ojcu, tysięcy piętnaście. Niewiele, Zamojszczyzny za to nie kupi, Radziwiłłowszczyzny także, trzeba czego małego poszukać. On koniecznie uwziął się pod Warszawę, pod Warszawę koniecznie, mówi że to dla niego pole. Kiedy koniecznie, to koniecznie; pojechałem szukać, akurat kuryer wpadł mi do ręki, no i przyjechałem. Zobaczyłem ja, a teraz, jeżeli państwo pozwolą, niech on zobaczy.

— Ależ owszem, prosimy.

— U niego kombinacye swoje, wyrachowanie... Może mu się podoba... młody jest, niech pracuje, niech stara się.

Rozmowa zeszła na inne przedmioty, potem Dziwirejko do powrotu się zabierał. Pani Michałowa, zawsze gościnna, zatrzymała szlachcica.

— Czemu się pan śpieszy? Do ostatniego pociągu jeszcze kilka godzin, niech pan zostanie na herbacie, chyba, że pan chce wieczór w Warszawie przepędzić.

— A cóż mnie Warszawa!

— Może się pan do teatru wybiera?

— Nie amator ja.

— Czy być może?

— Komedya takoż... udanie. To dobre dla młodych. Staś naprzykład, on to amator.

— Któżby teatru nie lubił?

— I ja bywało zamłodu lubiłem, teraz nie, stary jestem, spracowany, nie ochota do zabawy. Trzydzieści parę lat przy roli, na dorobku, jak koń lub wół przy pługu. Dzieci dużo, samych córek pięć, posagi trzeba zbierać.

— Pięć córek?!

— Siedm było, pani dobrodziejko, dwie Pan Bóg zabrał, a synów czterech było i czterech jest. Pasierbek takoż się liczy jak za własne dziecko; on chłopiec dobry, wart tego...

— To ma pan dobrodziej o czem myśleć.

— A jakże... dziewczyny na wydaniu, Cecylia, Zofia, Michalina, Konstancya, tylko jedna Basia jeszcze podlotek...

— Pięć córek!

— Jak jedna, i niczego sobie dziewczęta; młodzież do nas przyjeżdża, czasem się bawią... Ha! ha... jest o czem pomyśleć, pięć wypraw, pięć posagów, pięć wesel, a najtwardszy orzech do zgryzienia pięć posagów.

— Proszę pana—wtrąciła pani Michałowa,—posagi nie są niezbędne.

— A jakże?

— Żenią się ludzie i bez posagów, z miłości.

— Z miłości! Chce pani wiedzieć jakie jest moje zdanie? Ja kombinuję poprostu: sama miłość, samo głupstwo, z posagiem miłość, inna rzecz.

— Pan twierdzi, że miłość głupstwo, ależ to herezya!

— Być może; ale ożenić się bez funduszów i niby to z wielkiej miłości unieszczęśliwić ukochaną kobietę, skazać ją na ciężkie życie, na brak wszystkiego, na zmartwienia, to, pani dobrodziejko, po mojemu nie herezya, ale także paskudztwo.

— Więc, podług pana, każdy młody człowiek powinien ubiegać się o posag?

— Dlaczego każdy? Który bogaty, to nacóż mu posag, a który biedny, na cóż mu jeszcze większa bieda? Tak mi się zdaje.

Dziwirejko pożegnał państwa Michałów bardzo serdecznie.

— Może ja tu jeszcze będę, a może i nie będę, to już od Stasia zależy; on przyjedzie mniej więcej za tydzień.

— Więc—spytał pan Michał, — przez ten czas ze sprzedażą mam się wstrzymać?

— A chowaj Boże, dlaczego? Trafi się kupiec, zechce dobrze zapłacić to i owszem, sprzedać. Dla mego Stasia piasku na świecie nie zbraknie.

Nazajutrz i przez kilka dni następnych pan Michał

nie miał ani chwili czasu. Ciągle ktoś był, amatorowie kupna folwarku w dobrej glebie wciąż się zgłaszali.

Jednym z pierwszych był pan Pinkus Leichtenluft, bardzo wspaniały obywatel, ubrany po europejsku, z ogromnym złotym łańcuchem od zegarka i z pierścieniami na wszystkich prawie palcach.

Ten wprost do rzeczy przystąpił.

— Ja panu dobrodziejowi co powiem, że wcale nie będę pola oglądał, dlatego że choćbym nawet oglądał, to byłoby to samo cobym i nie oglądał, bo ja nie jestem na taki interes znawca. Nie mogę się pochwalić.

— W takim razie na cóż panu folwark?

— Mnie? co mnie po folwarku, Bogu dzięki nie jestem ani szlachcic, ani kura, żebym miał w ziemi grzebać. Ja tylko przyjechałem obejrzeć, jaki to jest dom, jaki ogród, jakie letnie wygody.

— Więc chciałby pan tu zamieszkać?

— I to nie. Ja mam dwa mieszkania, zimowe na Dzikiej ulicy, bardzo ładne, i letnie w Sielcach, za Belwederską rogatką, też eleganckie. Ja mam dużo interesów, to nie mogę szukać świeżego powietrza o pięć mil drogi za Warszawą, kiedy je znaleźć można za rogatką. Czas to jest bardzo kosztowny towar dla nas, handlujących.

— Więc właściwie cóż pana tu sprowadziło?

— Ja panu chcę nastręczyć kupca, potrzebuję tylko wiedzieć jaka cena i jaki procent faktornego pan da? Hypotekę ja obejrzę w Warszawie.

— Wyraźnie napisałem w ogłoszeniu, że pośrednictwo jest wyłączone.

— Czytałem.

— Więc.

— To nic nie znaczy, a niepotrzebnie powiększa koszt ogłoszenia. Pan dobrodziej jest bardzo niepraktyczny i widać nigdy majątkami nie handłował. Żadna własność nieruchoma bez pośrednictwa nie da się sprzedać.

— Czy tak?

— Jak dwa a dwa cztery. Pan dobrodziej, jako właściciel kamienicy, powinien coś o tem wiedzieć.

— Zkąd pan wiesz, że ja jestem właścicielem domu?

— Wiem i znam ten dom doskonale, bardzo dobry dom, i to też wiem, że go pan nie ma chęci sprzedać, i to wiem, że w razie potrzeby miałbym na pański dom amatora, i to wiem jakim sposobem pan ma ten folwark, wszystko wiem.

— Mój panie, na cóż panu te wiadomości?

— Łaskawy panie, każdy musi z czegoś żyć; pan dobrodziej żyje z tego co ma, ja żyję z tego co wiem. To jest mój proceder. Ja panu radzę, niech się pan pośrednictwa nie wyrzeka, o procent dla mnie się nie targuje, a przekona się pan, że znajdę takiego amatora, co się wpichnie w pański folwark po sam nos i będzie siedział, dopóki go nie wyrzucą. Mam właśnie takiego. Sprzykrzyło mu się odcinać kupony od listów, chce się teraz bawić kapustą, kartoflami i innem zielem, chce być gospodarz! Bardzo dobrze, niech on sobie będzie gospodarz, my oba nie dołożymy do tego interesu, owszem, możemy dobrze zarobić. Niech my zarobimy.

— Nie mam nic przeciwko temu — rzekł pan Michał.

Leichtenluft spojrzał na zegarek.

— Aj... czas na pociąg... pan dobrodziej potrzebuje mi powiedzieć dwa słowa i interes gotów. Ja tego amatora za parę dni sprowadzę.

Gdy już był za bramą, zsiadł z bryczki i śpiesznie na ganek do pana Michała przybiegł.

— Co się stało? czy pan co zostawił?

— Nie... tylko zapomniałem powiedzieć jedno słowo.

— Słucham pana.

— Jak się interes załatwi, to prócz wszystkiego, pan mi zwróci za cztery bilety kolejowe i za dwie furmanki.

— Za jakie cztery?

— Jeden co przyjechałem, jeden co odjadę, a dwa za to, co znów przyjadę i odjadę.

— Tylko o to się pan z drogi wrócił?

— Każdy interes, panie, potrzebuje być dobrze obgadany, żeby przy rachunku nie było żadnej kwestyi.

W parę godzin po odjeździe Leichtenlufta przybyli dwaj panowie, elegancko ubrani, nadzwyczaj pewni siebie, przedstawili się jako bracia Kolerowie, kapitaliści, poszukujący majątku.

Starszy z nich, łysy z ogromnemi wąsami jegomość, odrazu do rzeczy przystąpił.

— Obejrzeć pragnę — rzekł,—zabudowania, pola łąki, słowem wszystko, bo nie lubię kota w worku targować. Pan łaskawy może nam raczy dać człowieka.

— Owszem, bardzo chętnie, sam nawet pójdę z panami.

Pan Michał posłał po Walentego i udał się z gośćmi na pole; szli granicami.

— Ziemia tu wcale niezła—rzekł starszy brat, — dużo też pszenicy pan wysiewa?

Pan Michał chciał odpowiedzieć, ale Walenty go uprzedził.

— Jaśnie panie—rzekł, kłaniając się aż do ziemi, —grunt u nas dorodny, wszystko na nim będzie, zresztą nie mam co dużo gadać, bo widzę, że jaśnie pan znawca.

Wąsacz głową kiwnął.

— Jakbyś wiedział, mój człowieku, żem znawca, gospodarowało się tu i owdzie, ale jakże z tą pszenicą?

— Dziedzic ten, co niby przed teraźniejszym panem był, okrutnie zbiedniał i nie miał czem pola obsiać, dlatego, jaśnie panie, pszenicy tak jak nie ma...

— Aha, rozumiem. To trudno i gdybym ja ten folwark kupił, tobym zaraz zasiał ze sto korcy pszenicy.

Walenty uśmiechnął się nieznacznie, ale nie przeczył, szedł granicą i pokazywał drogę. Starszy pan Koler przyglądał mu się bacznie.

— Słuchaj-no, człowieku, — rzekł po chwili,—kto u dyabła uszył ci taką szkaradną kapotę?.

— Kapotę—zapytał zdumiony Walenty,—niby jaką kapotę?

— Tę, którą masz na sobie. Kto ci ją uszył?

— A dyć, jaśnie panie, żyd.

— Zaraz się tego domyśliłem.

Pan Michał spojrzał zdziwiony. Co krój kapoty Walentego mógł obchodzić tego pana?

Po obejrzeniu pól, łąki i całego folwarku, pan Michał zaprosił obu braci do dworku, żeby odpoczęli trochę i posilili się po długim spacerze. Bracia bardzo chętnie zaproszenie przyjęli, ale zachowywali się dość dziwacznie; starszy wpatrywał się nader bacznie w marynarkę pana Michała, młodszy, wszedłszy do pokoju, dotknął ręką kanapy i poprawił firankę w oknie, która fałdowała się niedobrze. Dopiero przed samym wyjazdem tych panów, dowiedział się pan Michał, że jeden z nich jest krawcem, a drugi tapicerem.

Dowiedział się też, że panowie ci, dorobiwszy się na garderobie i meblach kapitaliku, postanowili jednozgodnie zabawić się w dziedziców i użyć sielanki na starość.

Nęciło ich niezmiernie kwaśne mleko, świeże powietrze i kurczęta ze śmietaną. O cenę Marysina nie sprzeczali się wiele i byliby kupili ten folwarczek, gdyby nie ogród. Wydał im się za mały i niedość ładny. Krawiec chciał mieć park w rodzaju Łazienkowskiego z pałacykiem, mostem, stawami, łabędziami; tapicer, mniej wymagający, życzył sobie, żeby w jego dobrach ogród był przynajmniej tak duży, jak Saski w Warszawie. Ogródek marysiński ani pierwszemu, ani drugiemu życzeniu nie odpowiadał, przeto tranzakcya do skutku nie przyszła.

W przeciągu trzech dni zgłosiło się z piętnastu conajmniej interesantów, a byli między nimi ludzie różnych stanów i zawodów, byli faktorzy, żydzi w kapo-

tach dłuższych i krótszych, i chrześcianie, faktorzy z tego gatunku, co to niegdyś coś mieli, a teraz myślą tylko o tem, jakby coś od kogoś wyłudzić.

Panu Michałowi te ciągłe wizyty zaczynały się przykrzeć. Dla pierwszego lepszego chodzić kilka godzin po polach, łące, budynkach, ogrodzie, powtarzać ciągle w kółko jedno i to samo, nie jest to przyjemność wielka, tem bardziej, że ani w jednym wypadku tranzakcya nie doszła do skutku. Każdy mówił, że namyśli i zastanowi się, że przywiezie jeszcze kogoś, znawcę, który obejrzy pola, doradzi, a nikt nie decydował się stanowczo.

Nareszcie jednego dnia trafił się nabywca solidny, który odrazu zrobił dobre wrażenie. Znać było po nim, że jest to człowiek czynny, energiczny, który czasu napróżno tracić nie lubi.

Ubrany był porządnie, nawet elegancko, w płaszczu letnim, ogromnie fałdzistym i szerokim.

Zaraz na wstępie rzekł do pana Michała:

— Możemy skończyć natychmiast, jeżeli tylko folwark odpowiada moim wymaganiom.

— Niech więc pan obejrzy.

— Naturalnie, szanowny panie, to czasu wiele nie zabierze. Tak, albo nie. Zadatek mógłbym dać zaraz, a resztę u regenta... choćby jutro... Wolałbym zrobić to dziś, ale czuję się trochę znużony. Dwadzieścia cztery godzin przepędziłem w wagonie.

— W wagonie? zkądże pan przyjeżdża?

— Z pod Kijowa; w Warszawie byłem tylko dwie

godziny; wogóle podróżuję dużo; mam majątki w różnych stronach.

— A stałe pańskie zamieszkanie?

— Warszawa. Najprzyjemniejsze to miasto, słowo daję... Pan nie podziela tego zdania?

— Jestem dzieckiem Warszawy... mam tam dom własny.

— I ja muszę kiedyś dojść do tego, bo mieszkanie w hotelu przykrzy mi się.

— W którym-że pan hotelu rezyduje?

— Stale w Europejskim; ile razy przyjeżdżam do Warszawy na czas dłuższy, zawsze biorę tam mały apartamencik. Ale nie traćmy czasu, szanowny panie.

— Jestem na usługi, a może, żeby pana zbytecznie nie trudzić, objedziemy granice majątku?

— Owszem, bardzo panu dziękuję.

Za chwilę Mikołaj zaprzągł do powozu i pan Michał z gościem swym pojechał. Wrócili niespełna w pół godziny.

— Interes skończony—rzekł gość,—jeżeli pan opuści z sumy pięć procent.

— Czy pan płaci gotówką?

— Gotówką, panie, co do grosza; nie cierpię wszelkich długów, a do hypotecznych mam szczególny wstręt.

— Tem lepiej dla mnie, bo mi teraz gotówka potrzebna.

— Zatem zgadza się pan?

— Dobrze.

— Więc interes skończony. Wie pan, możebyśmy, nie zwłócząc, pojechali do Warszawy?

— Dziś na żaden sposób.

— Dlaczego?

— Bo, widzi pan, moja żona z córką są w Warszawie i dziś przed wieczorem mają powrócić, zminąłbym się więc z niemi w drodze, a zresztą obiecało się do nas kilka osób z Warszawy.

— W takim razie trudno, zostawimy rzecz tę do jutra—rzekł gość, tłumiąc ziewanie.

Pan Michał dostrzegł to.

— Widzę — rzekł,—jak pan jest bardzo znużony, należy się panu chociaż kilka godzin wypoczynku.

— Nie przeczę, ale Warszawa niedaleko.

— Spocznij pan u nas, obiad zaraz będzie.

— Nie śmiałbym robić tak wiele kłopotu.

— Ależ panie, poco ta ceremonia! Kobiet w domu niema, zjemy obiadek po kawalersku. Ostatecznie, zrobiliśmy interes, który warto oblać buteleczką wina.

Gość nie oponował. Pan Michał zaprowadził go do stołowego pokoju, a sam poszedł wybrać wino i wydać dyspozycye służącej. Gościowi, gdy został sam, zupełnie odechciało się spać. Bystrym wzrokiem obrzucił pokój dokoła, potem usiadł przy oknie i ze szczególną uwagą przypatrywał się służącej, gdy nakrywała do stołu.

Pan Michał był w wybornym humorze. Ostatecznie pozbywał się folwarku, z którymby rady sobie dać nie mógł, ratował sumę córki i wyłożone koszta i nakłady. Postanowił też, że wymówi sobie przy sprzedaży mieszkanie w Marysinie do jesieni. Nabywca bardz chętnie na to się zgodził.

— To bagatela, mieszkajcie sobie państwo — mówił,—choćby do zimy; ja się tu nie wprowadzę prędzej, jak w końcu listopada, tylko zarząd ustanowię swój. Owszem; będzie mi nawet bardzo przyjemnie, gdy państwo zechcą tu zamieszkać.

Zasiedli do stołu. Nabywca Marysina z takim apetytem zajadał, że możnaby myśleć, że nietylko nie spał przez całą dobę, ale i nic w ustach przez ten czas nie miał. Pan Michał zachwycony był takim gościem. Znać że to człowiek, który zna się na kuchni i wie co dobre.

— Pyszny obiad!

— O, pan zbyt łaskaw; zwyczajny, domowy obiadek.

— Właśnie. . taki najlepszy! Żadne jedzenie, w pierwszorzędnym nawet zakładzie, domowego obiadu nie zastąpi; ma się rozumieć, jeśli gospodarz dba o to, żeby obiad był dobry.

— Nie powiem — rzekł pan Michał,—że istotnie, dbam, bo to należy do gospodyni domu, ale nie taję, że lubię życie porządne.

— Ma pan słuszność, to podstawa i grunt wszystkiego, ja zupełnie podzielam pańskie przekonanie pod tym względem.

Pan Michał poczęstował gościa winem, jakie miał najlepsze w swej piwniczce, obaj wychylali kielichy, to za powodzenie na nowem dziedzictwie, to in gratiam miłej znajomości, to za zdrowie nieobecnej gospodyni domu i jej nadobnej córeczki.

Przy czarnej kawie gościowi znów się oczy kleić zaczęły.

— Widzę, że pana sen morzy—rzekł pan Michał.

— Istotnie... teraz dopiero zaczynam uczuwać znużenie.

— Poradzimy na to. W moim pokoju jest wygodna sofa.

— Zawstydza mnie pan swoją uprzejmością, doprawdy.

— Ależ bez ceremonii, panie dobrodzieju, proszę serdecznie, chciej pan być jak w domu, jak u siebie.

— A więc dobrze, zapalę sobie cygarko. Czy pan dobrodziej amator cygar?

— Rzadko palę, ale lubię.

— Mam coś, czem się mogę pochwalić. Oryginalne hawańskie, dostałem setkę wypadkowo. Może pan dobrodziej spróbuje... pyszne jest.

Pan Michał zapalił, ale po kilku pociągnięciach uczuł się sennym.

— Dziwna rzecz—rzekł—spać mi się chce szczególnie.

— Jak zwykle po obiedzie; zapewne sypia pan o tej porze?

— Drzemię cokolwiek.

— A więc o cóż idzie?

— Masz pan słuszność, położę się i ja. Oto miejsce dla pana, ja pójdę na drugą stronę.

Pan Michał spał tak twardo, że go zaledwie żona mogła obudzić.

Dopiero po długiem budzeniu, oczy otworzył zdumiony.

— Ah, już jesteś? Czy podobna, żebym spał tak

twardo? Wiesz co, duszko, sprzedałem już folwark... i bardzo dobrze sprzedałem, prawie bez straty... ale co ty jesteś taka pomieszana?

— Mój drogi... mniejsza o folwark; proszę cię wstań zaraz. Nas okradli!

Pan Michał zerwał się na równe nogi i spojrzał szeroko otwartemi oczami. Szalenie go głowa bolała i narazie nie mógł się zoryentować, o co chodzi. Powtarzał tylko:

— Okradli... nas okradli? ale jakim sposobem? Ja nie odchodziłem z domu ani na krok.

— Jednak... jesteśmy okradzeni... i to grubo.

— Cóż nam ukradziono?

— Srebra... wszystkie srebra z kredensu, żeby chociaż parę łyżeczek zostawił... o, doprawdy, miałam złe przeczucie, wyjeżdżając na tę szkaradną wieś.

— Ależ moje dziecko!

— Nie, nie, kochany mężu. Odrazu przerażona byłam na samą myśl zamieszkania w tej pustyni. Dobrze, że nas jeszcze nie zamordowano... Wyrzucone pieniądze i niebezpieczeństwo utraty życia!

— Moja droga! Pozwól przedewszystkiem myśli zebrać... Skoro jesteśmy okradzeni, to trzeba wyśledzić przez kogo, dojść, zbadać, złodzieja gonić, dać znać policyi.

Pan Michał nie słuchał już lamentu żony. Oblał sobie głowę zimną wodą i zaczął wypytywać służbę, czy kto obcy nie wchodził do dworku.

— Ano, juści że wchodził—rzekła kucharka.

— Jaki, kto, kiedy? Czemuście go nie przytrzymali?

— O la Boga, a dyć jadł z panem obiad, jakżeśmy go mieli przytrzymywać!

— Kto? ten pan? przecież on Marysin kupił i pewnie śpi w drugim pokoju.

— A juści, śpi! zaraz po obiedzie zabrał się i poszedł. Gadał coś z Walentym na dziedzińcu, a potem poszli oba razem. Ja zaraz zmiarkowałam, że to złodziej; takie miał ślepie świdrowate, a z podełba patrzył, jak zbójca.

— Wołać mi tu Walentego.

Za chwilę Walenty już stał na ganku, miętosząc czapkę w ręku, swoim zwyczajem.

— Bój się Boga, Walenty, jak mogłeś wypuścić ztąd tego człowieka?

— A dyć to przecie nowy dziedzic!

— Złodziej, ale nie dziedzic.

— A zkąd ja to mogłem wiedzieć, wielmożny panie?

— Okradł nas!

— O la Boga!.. a żeby ja to był mógł duchem świętym przeniknąć, to nie wypuściłbym go z garści, ale...

— Opowiadaj porządnie, jak to było, pokolei, nic nie opuszczając, rzetelnie.

— Wielmożny panie, jak przed sądem, jak na świętej spowiedzi, nic nie zełżę, jeno prawdę sprawiedliwą powiem, tak mi Panie Boże we zdrowem skonaniu dopomóż.

— Gadajże raz!

— Ano... jakeśmy z pola przyszli, panowie poszli sobie do dworu na obiad, a ja zaś do chałupy, też według pożywienia. Dała mi moja barszczu z kartoflami; siadłem sobie na stołku, jem. Jem, jem, zjadłem, kobieta mówi: naści jeszcze... a ja powiadam: nie... markotno mi, nasz pan, dobry pan już nie będzie, a nowy dziedzic nastaje, właśnie ten grubaśny. A kobieta też położyła łyżkę i powiada: żeby go, niby tamtego, kolka sparła... i już nam obojgu odechciało się jadła ..

— Proszę, mój Walenty, mów do rzeczy...

— Po porządku, wielmożny panie. Zapaliłem sobie fajczysko, siadłem na przyźbie, siedzę... aliści patrzę, wyłazi ten grubaśny ze dwora, płaszczysko na nim wisi wielkie... wychodzi i kiwa, niby na mnie.

— Na ciebie?

— A juści.

— Cóż chciał?

— A no, powiada: folwark kupiłem, ciebie tymczasowo w służbie zostawiam, a na znajomość naści. Wetknął mi w garść dwa złote dziesiątkami, miedzią, i powiada: Wiesz ty, Walusiu, ja sobie do kolei piechotą pójdę... łeb, powiada, boli mnie kaducznie, twój pan mi tego narobił.

— Ja?

— A jeno... twój pan, powiada, bo takie wińsko dał, żeby je psu wlać w gardziel, toby, powiada, wył od Wielkanocy do Zielonych świątek, i bez to mnie, powiada, tak strasznie głowa rozbolała...

— A to łajdak!—zawołał do żywego tknięty pan Michał,—a jam go najlepszem winem utraktował!

— Pewnie że łajdak... Powiada: wyprowadź mnie jako ścieżkami aby pod stacyę, dalej sam już trafię. Wyprowadziłem... No, powiada, jakeśmy przyszli już do samej szosy, teraz idź z Bogiem, panu się pokłoń, a o winie nie wspominaj... Lura była bo była, ale że ze szczerości serca, to niech go tam!

— Lura!?

— Tak rzekł,—pokłoniłem mu się nizko i poszedłem ku chałupie.

— I już?

— Ale... nie już... jeszcze jedno. Kiedym uszedł z jakie trzysta kroków, obejrzałem się.., Patrzę, a tu na szosie, ni ztąd ni zowąd, jakaś bryczuszka. On się na nią zaraz wgramolił, ale nie pojechał do stacyi, tylko gdzie się szosa rozdziela, na lewo wykręcił ku lasowi.

— Wołaj Mikołaja krzyknął pan Michał,—Mikołaja, parobków, siadajcie na konie i gońcie; który mi tego łotra przyprowadzi, dwadzieścia pięć rubli dostanie. Ja pójdę na stacyę, telegram poszlę do Warszawy... albo nie, ty, Walenty, pójdziesz na stacyę, zaraz ci depeszę dam. Żywo tylko, ruszać się...

— Ale jakże takiego miniastego pana brać?

— Poprostu za kark... jak złodzieja, brać i prowadzić do wójta, czy do sołtysa.

Zachęceni obietnicą nagrody, parobcy i Mikołaj rzucili się do koni i popędzili jak wiatr.

Pan Michał zamknął się w swoim pokoju i zawzięcie pisał, ale nie szło mu. Podarł jeden arkusz, drugi i zabrał się do zapisywania trzeciego. W trakcie tego weszła żona.

— Co ty robisz, mężu? — spytała. — W takiem zmartwieniu możesz pisać?

— Mogę—odrzekł opryskliwie,

— I cóż piszesz?

— Ogłoszenie do wszystkich kuryerów i gazet: że niema folwarku do sprzedania; że niema wiadomości u właściciela na miejscu; że nie można nic oglądać na gruncie. Niech ich dyabli porwą! Dość już mam tego łażenia po polach, oprowadzania, pokazywania, częstowania lada przybłędy... i poco? poto żebym folwarku nie sprzedał, żeby mnie taki łotr okradł i w dodatku obmówił, żem go struł mojem winem. Dość, dość, moja kochana, wolę to zmarnować, w dzierżawę oddać, cokolwiek zrobić, ale tak jak teraz nie mogę. Nie, na żaden sposób!

— Mój kochany, to do celu nie prowadzi. Owszem, sprzedać trzeba, chodzi bowiem o posag naszej Jadwini.

— Prawda, masz słuszność, ale daj mi myśli zebrać... jestem tak rozstrojony.

— Odłóż więc pisanie na teraz i pomyśl o naszem bezpieczeństwie.

— Bezpieczeństwie? pod jakim względem?

— Mogli nas w dzień okraść, mogą w nocy napaść i zamordować. Czytujesz przecie w gazetach, że na wsi wypadki tego rodzaju są nawet dość częste.

— Przecież dotychczas nikt na nas nie napadał.

— To nic nie znaczy. Dzisiejszy wypadek świadczy, że już się o nas złodzieje zwiedzieli i mają nas na oku. Przysięgłabym, że jesteśmy śledzeni i szpiegowani przez łotrów. W domu dziś niema ani jednego mężczyzny.

— Jakto... a ja?

— A przepraszam, mój drogi, ale ty się nie liczysz. Wysłałeś Walentego, Mikołaja, parobków, zostały w domu same kobiety i ty. Złodzieje byliby bardzo naiwni, gdyby nie skorzystali z tego wyjątkowego położenia.

Pan Michał szeroko oczy otworzył; argumentacya małżonki trafiła mu do przekonania. W rzeczy samej, niebezpieczeństwo może zagrażać i to nawet poważne.

Na razie postanowiono, aby przedewszystkiem zamknąć bramę i straż przy niej powierzyć Walentowej, pozamykać okiennice w dworku i drzwi wchodowe, nie kłaść się spać, palić całą noc światło i czekać powrotu parobków.

Wieczór się zbliżał, mrok zapadał coraz większy, wietrzyk poruszał listkami drzew, które, drżąc, szumiały łagodnie.

Na drodze prowadzącej do Marysina dał się słyszeć turkot. Walentowa pomimo zmroku dostrzegła, że jedzie dwóch mężczyzn—i pobiegła dać o tem wiedzieć do dworku.

— Wpuścić czy nie wpuścić?—spytała, w okiennicę przedtem stuknąwszy.

— Na miłość Bozką, nie wpuszczajcie nikogo!

— Ale choć pójdę, obaczę, kto to jest?

— Nie chodź, nie waż się, kobieto—dał się słyszeć z za okna głos pani Michałowej,—jeszcze cię nożem żgnie.

— Niech-by spróbował, żgnęłabym ja go pięścią między oczy, ażby się nogami nakrył!.. Niech się pani nie boi, pies go w bramie zatrzyma, a ja mu zajrzę w ślepie, co za jeden jest.

To rzekłszy, Walentowa do bramy pobiegła i wróciła niebawem.

— Pani, proszę wielmożnej pani—mówiła do okna, stukając, — niechże się pani nie boi, nie zbójca to żaden, jeno pan, porządny pan, młodziutki.

— Wszyscy oni są porządni, i ten co nas okradł także był porządny. Powiedzcie mu, że jak ma interes, to niech przyjeżdża w dzień.

— Ech, proszę pani, nie wypada. Po pierwsze noc to jeszcze nie jest, dopiero późny wieczór, a powtóre że ten pan ma jakiści znak, papier, czy praśport.

— Co za znak?

— A no... niechże mnie pani wpuści do stancyi, to rozpowiem dokumentnie i znak pokażę.

Klucz w zardzewiałym zamku zgrzytnął, drzwi uchyliły się, Walentowa została wpuszczona.

— Próżno się wielmożna pani boi—rzekła,—to jakiś bardzo grzeczny panicz, a i ładny. Co prawda to prawda.

— Zkąd możecie o tem wiedzieć, kiedy teraz jest noc?

— Dyć chodziłam do bramy z latarnią i zaświeciłam mu w same oczy.

— Dawajcież te papiery prędzej!

Baba podała bilet wizytowy i list, zaadresowany do własnych rąk pana Michała; na bilecie wydrukowane było nazwisko: „Stanisław Ciecierski.“

— Nie znamy takiego pana—rzekła pani Michałowa. — Ciecierski, cóż to za Ciecierski? może to kto z twoich znajomych, mężu?

Pan Michał, włożywszy okulary, szybko odczytywał list.

— Ach! — zawołał, jak gdyby mu kamień spadł z serca,—Dziwirejko!.. Dziwirejko dotrzymał słowa, przysyła swego pasierba. Jeden, jedyny prawdziwy kupiec na majątek. Szorstki bo szorstki, istny niedźwiedź z puszczy, ale słowny. Wiesz co, kochaneczko, zdaje się, że palnęliśmy kapitalne głupstwo z tem barykadowaniem się dzisiejszem. Co ten młody człowiek o nas sobie pomyśli!

— Pomyśli, że każdemu życie miłe. Wielka rzecz! Zamykamy się, ponieważ nie chcemy mieć wizyty opryszków, boimy się, gdyż mamy coś do stracenia. Tylko zupełnie goli, jak słusznie powiada przysłowie, nie obawiają się rozboju.

— Bądź co bądź, pozycya dość niewyraźna; nie wiem jak się mam tłómaczyć.

— Jaknajprościej, mów prawdę.

— Wypada przyjąć go jaknajgościnniej; mam albowiem przeczucie, że on nas z tego kochanego folwarku wyswobodzi. Powtarzam ci, duszko, że z całej tej czeredy, która się w ostatnich chwilach przewinęła, jeden Dziwirejko wydał mi się człowiekiem traktującym tę sprawę na seryo. Idę sam do bramy, zaproszę pana Ciecierskiego, ty, kochaneczko zaś, staraj się przyjąć go jaknajlepiej.

— Ach, mój drogi, jabym samego Lucypera przyjęła najgościnniej, pod warunkiem, żeby mi zaręczył, że jestem na tę noc bezpieczna.

— Dlaczegóż tylko na tę — zapytał pan Michał z uśmiechem.

— Bo jutro rano wyjeżdżam i już mnie oko ludzkie w tej jaskini zbójeckiej nie zobaczy.

Pan Michał wzruszył ramionami i wyszedł ku bramie, aby młodego człowieka zaprosić.

Tłómaczył mu, że w ciągu dnia zaszły pewne okoliczności nadzwyczajne, że cała służba męzka rozesłana jest na poszukiwanie, że okolica niepewna, więc wobec pogłosek o napadach i rozbojach trzeba było chociaż do pewnego stopnia... zabezpieczyć się.

— Ale niech się pan dobrodziej nie usprawiedliwia —przerwał młody cztowiek,—ja to raczej powinienem się wytłómaczyć, dlaczego przybywam o tak spóźnionej porze... Zaskoczyła mnie także pewna okoliczność nieprzewidziana.

— Czy aby nie jakie nieszczęście? — zapytał pan Michał.

— O, nieszczęście nie, ale przypadek. W Warszawie spotkałem jednego z moich kolegów szkolnych, przyjaciela z lat dziecinnych, zagawędziłem się z nim i pociąg, którym miałem przyjechać do państwa, odszedł. Trzeba było czekać na drugi. Przyjechawszy na stacyę, nie mogłem dostać furmanki. Zazwyczaj w podobnym wypadku radzę sobie doskonale, idę pieszo; w tym razie jednak wolałem poczekać na furmankę. Okolica zupełnie mi nieznana; czekałem godzinę, nareszcie znalazły się konie. Już był mrok, gdy wyjechałem ze stacyi i stanąłbym u państwa przynajmniej z półtorej godziny temu, ale bryczka zepsuła się na drodze.

Oto powód, dla którego stawiam się w porze cokolwiek spóźnionej.

— No, proszę pod dach, bardzo proszę—odezwał się pan Michał — jakże zdrowie szanownego pana Dziwirejki?

— Ojczym mój ma się doskonale, jak zwykle. Praca przy gospodarstwie służy zdrowiu.

Gdy weszli do pokoju, znaleźli już stół zastawiony; pani Michałowa z wielką powagą siedziała przy samowarze, panna Jadwiga również znajdowała się przy stole.

— Przedstawiam ci, żono: pan Stanisław Ciecierski. Moja żona i moja córka Jadwiga.

Stanisław usprawiedliwiać się zaczął, że o tak spóźnionej porze się zjawia.

— Gość zawsze jest mile widziany w naszym domu—odrzekła pani—a dziś stokroć bardziej niż kiedykolwiek, bo jesteśmy jakby w oblężeniu i wszelką pomoc witamy z wielką radością. Pan zapewne nie lęka się opryszków?

— Żeby się kogoś bać, przedewszystkiem trzeba go widzieć.

— Cicho, na Boga... nie mów pan tak... można w złą godzinę wymówić. Czy ma pan jaką broń przy sobie?

— Mam rewolwer...

— Ach, co za cudowne zrządzenie losu! Teraz jestem znacznie spokojniejsza... A czy człowiek, który pana przywiózł już odjechał?

— Zdaje mi się, że nie...

— Jadwiniu, proszę cię, poślij kogo z kuchni, żeby go zatrzymali, przynajmniej do czasu, dopóki nasi ludzie nie powrócą.

— Czy istotnie okolica jest tak niebezpieczna? — zapytał młody człowiek.

— Wobec tego co przechodzę — rzekła pani Michałowa—straciłam zupełnie pojęcie co tu jest bezpieczne, a co nie.

Pan Michał odezwał się:

— Moja pani trochę przesadza. Mieszkamy tu już kilka tygodni...

— I dopiero nas raz okradli—rzekła pani domu.— Brakuje tylko, żeby nas raz zabili i wszystko będzie w porządku.

— Niema co, kochana żono, ślicznie zachęcasz pana Stanisława do kupna Marysina.

— Przepraszam pana — rzekł młody człowiek,— dla mnie zachętą zbyteczna, z opowiadania mego ojczyma folwark ten znam już wybornie i, szczerze mówiąc, przyjechałem ze stanowczym zamiarem nabycia go. Jeżeli pan dobrodziej zechce cokolwiek warunki złagodzić, możemy jutro rzecz skończyć. Raniutko obejrzę pola; długo to nie potrwa, bo przestrzeń nieduża.

— Czy pan Dziwirejko nie zniechęcał pana do kupna?

— Przeciwnie, zachęcał mnie bardzo.

— Tego nie rozumiem; bo gdy tu był i oglądał folwark, wyrażał się o nim bardzo niepochlebnie, wprost mówił, że jest to najszkaradniejszy kawałek ziemi, jaki widział w swem życiu.

— Ojczym mój jest zacności człowiek, ale trochę dziwak. Zamiar kupna dla mnie takiego mająteczku jak Marysin jest przedewszystkiem jego własnym pomysłem, na który ja się zgodziłem, dopiero po pewnej dyskusyi, gdy przekonał mnie, że ma słuszność.

— Jaka tu może być słuszność, albo nie? Podoba mi się majątek, to go nabywam, nie, to nie nabywam i po wszystkiem.

— A jednak było o czem dyskutować. Ja, ukończywszy praktykę gospodarską, postanowiłem wyjechać po Ameryki i tam dorobić się. Nęciły mnie łasy ręką ludzką nietknięte, życie trudne, praca wielka, karczunki. Z zamiarami mojemi zwierzyłem się matce i ojczymowi. Matka, jak matka, zalała się łzami i wprost powiedziała, że mnie z domu za żadne skarby nie puści. Ojciec uznał, że projekt godzien jest zastanowienia i namysłu. Młody człowiek powinien, według jego zdania, przejść twardą szkołę życia i im trudniejsze ma początki, tem lepiej dla niego w przyszłości. Bardzo mu byłem wdzięczny za poparcie i nie traciłem nadziei, że we dwóch potrafimy matkę przekonać. Rozmawialiśmy często o tym przedmiocie, sprowadziłem książki opisujące świat nowy, zbierałem wszelkie potrzebne informacye i byłem najmocniej przekonany, że zanim upłynie pół roku, będę za oceanem.

— Cóż stanęło na przeszkodzie? — spytała panna Jadwiga.

— Ojczym.

— Przecież zgadzał się?

— Zapewne, tylko zrobił mi bardzo słuszną uwa-

gę, że u nas, na miejscu, jest jeszcze dużo pól zaniedbanych, dużo nieużytecznych przestrzeni, wymagających kultury i że kto czuje siłę, powinien ją przedewszestkiem tu na miejscu zużytkować. Po co masz szukać Ameryki, mówił, gospodaruj tu, na piaskach, na bagnach, siej i sadź lasy.

— Dobrze powiedział, bardzo dobrze!—rzekł pan Michał.

— Naturalnie, takim argumentom nie mogłem odmówić słuszności. Ojczym, nic nie mówiąc dokąd się udaje, odjechał na jakiś czas z domu. Powróciwszy, zawołał mnie do siebie i rzekł; No, winszuję! Znalazłem ci taką Amerykę, o jakiej nie marzyłeś zapewne. Jedź i Marysin kupuj, roboty ci tam nie zabraknie na długie lata. Powtarzam własne jego słowa. Panu Michałowi dobrodziejowi załącz moje uszanowanie, pani dobrodziejki rączki ucałuj, pannie Jadwidze pokłoń się, a proś niech nie wspominają źle starego niedźwiedzia Dziwirejkę.

— Wspominać go zawsze będziemy jaknajlepiej—rzekł pan Michał. — Pan Dziwirejko na to zasługuje, szorstki trochę, ale szczery człowiek.

— Jeszcze na odjezdnem mówił do mnie, żeby państwu zostawić mieszkanie i ogród do jesieni, czy dokąd państwo zechcą.

— A gdzieżby pan się pomieścił w takim razie?—spytała pani Michałowa.

— Mówił mi ojczym, że są dwa bardzo dobre pokoiki w czworaku.

— W jakim czworaku?—spytała pani.

— To widzisz duszko — pośpieszył objaśnić pan Michał,—w tym budynku, w którym mieszka Walenty.

— I pan by tam chciał mieszkać?

— Jeżeli tylko są cztery ściany i dach, to już mieszkanie możliwe. Zresztą gospodarz w porze letniej gościem tylko jest w domu.

— Ależ my takiej ofiary przyjąć od pana nie możemy.

— Bardzo mi przykro, lecz w takim razie musiałbym odstąpić od kupna Marysina.

— A to dlaczego?

— Ojczym wyraźnie mi powiedział, jakie są warunki kupna; zobowiązał mnie, abym wszystkie najpunktualniej wypełnił. Muszę się do tego zastosować.

— Pan Dziwirejko jest dziwny człowiek.

— Podzielam najzupełniej to zdanie, jest dziwak, ale ma bardzo zacny charakter, a jego słowność weszła w okolicy w przysłowie.

Rozmowa potoczyła się żwawo o rozmaitych przedmiotach, czas biegł jak na skrzydłach, pani Michałowa była bardzo kontenta, że ma w tej chwili obronę i już nie lękała się napadu złoczyńców, panna Jadwiga zaś obserwując bacznie młodego człowieka, spostrzegła, że jest ładny i robi bardzo sympatyczne wrażenie. Walenty powrócił, niezadługo się też zjawili Mikołaj i parobcy. Poszukiwania ich były bezowocne, złodziej przepadł bez śladu

Był już jasny dzień, kiedy pan Stanisław powiedział „dobranoc“ uprzejmym gospodarzom. Nie zajął pokoiku, który przygotowano dla niego, i nie kładł

się spać, lecz wraz z Walentym udał się w pole, aby je obejrzeć; po powrocie wydał dyspozycyę, rozdzielił robotę i małą tę maszynkę gospodarską puścił w ruch właściwy.

Walenty przypatrywał się młodemu człowiekowi uważnie, a przyszedłszy do domu na śniadanie, rzekł do żony;

— Ten pan zdaje się nienajgorszy, ale spać nie da; będzie swego pilnował jak oka w głowie. Nie dorobisz się przy nim.

Po śniadaniu pan Michał z panem Stanisławem pojechali do Warszawy, zrobili kontrakt i wieczorem wrócili do Marysina.

. . . . , ...

Upłynęło dwa lata. Był dzień pogodny, upalny, rozpoczynano żniwo żyta. Pani Michałowa z Jadwinią siedziały na ganku, pod obszerną werandą; właśnie nakrywano do obiadu.

— Dziwna rzecz—odezwała się pani Michałowa,— jak ojciec twój nabrał zamiłowania do gospodarstwa; ani chwili nie posiedzi w domu, tylko, gdy przyjdzie lato, odkąd w Marysinie mieszkamy, włóczy się po polach jak Walenty.

— Obchodzi widać ojczulka nasze gospodarstwo.

— Nie przeczę, bo i mnie ono obchodzi, ale zdaje mi się, że ojciec się zakochał na starość.

— Co też mama mówi? w kim?

— A w twoim Stasiu, moja kochana.

— Nic dziwnego, mamo, ktoby mego męża nie kochał?

Tegoż dnia po południu przyjechał Dziwirejko. Zwiedził szczegółowo gospodarstwo, pochwalił pasierba za energią, za pracę, za ulepszenia, jakie porobił.

— Panie Michale dobrodzieju—rzekł, gdy się cała rodzina zgromadziła na ganku, — możemy być o swoje dzieci spokojni. Staś gospodarz dobry, on nie zginie, dorobi się. Ha! ha! mądry chłopak z niego. Marysin kupił, pieniądze napowrót odebrał i jeszcze taką śliczną żoneczkę dostał. Ha! ha! ja stary gospodarz, na majątkach się znam, kupno każde przeprowadzę porządnie, ale takiej tranzakcyi nie potrafiłbym dokonać.

SPEKULACYE PANI MILSKIEJ.

W częstych wędrówkach po twardym bruku warszawskim, po poddaszach, suterynach i piętrach, poznałem panią Milską.

Będzie temu lat może dziesięć, może dwadzieścia, trudno spamiętać; bo lata wogóle tę mają właściwość szczególną, że pojedynczo wloką się ciężko jak żółwie, a razem wzięte, lecą jak ptaki... Czas jak chłop: sześć skib ciężkich odorze, a z tego jeden lichy zagonek się robi, z dziesięciu takich zagonków jedno poletko małe, że prawie nie ma na co spojrzeć, a przecie na nie sześćdziesiąt skib się złożyło, wyoranych z trudem, w pocie czoła. Któż liczy te skiby, te zagony, te pólka?... I życie to orka ciężka, dzień się wlecze, dłuży, końca zdaje się nie ma, a obejrzysz się po za siebie w przeszłość... to aż się przerazisz, na coś tyle tych długich dni zmarnował i gdzie się one podziały?

Więc poco łata rachować? Dziesięć, piętnaście, czy dwadzieścia, to taka drobna różnica!...

Spotkałem panią Milską na schodach, dążąc na poddasze, gdzie pewien mój przyjaciel, młody malarz, miał wspaniałą pracownię, z górnem ożwietleniem... przez dymnik.

Młody mistrz — uboga pracownia, ale że artyście przypadała do gustu, więc mieszkał w niej, malował, śpiewał, pijał herbatę, jadał suche bułki, a niekiedy serdelki, wogóle żył jak pan, uśmiechając się ciągle.

Pracownię można znaleźć w najbogatszej dzielnicy miasta, ale to będzie tylko pracownia, ta zaś była pracownią z modelami.

Skakały po dachu wróble, łaziły koty, co trzy tygodnie, rankiem, zjawiał się kominiarz. Pyszne modele!... Ptaki, koty, człowiek w charakterystycznym stroju.

A jaki widok z dymnika! Dachy, dachy i dachy! Płaszczyzny w różnych stosunkach, pod rozmaitemi kątami nachylenia; z holenderskiej dachówki, żłobkowane, gładkie, blaszane, czerwone, zrudziałe, czarne, brunatne, smołowcowe, zapleśniałe, porosłe mchem, bardziej spadziste, mniej spadziste, podlepiane wapnem, bielone, malowane świeżo na kolor krwi.

Istny taniec płaszczyzn, symfonia dachów!

Gdzieniegdzie wyskakiwało z nich okienko w drewnianej budce, dymnik, gdzieniegdzie bieliła się nowa drabina, lub deska dla kominiarzów.

A jaka rozmaitość! Dachy bywały czasem mokre, czasem suche, niekiedy ubielone śniegiem, gdy zaś śnieg dłużej poleżał, a przy ciężkiem powietrzu dym z kominów tułał się po ich powierzchni, to pozostawiał po sobie na śniegu pasy brudne, w najrozmaitszych odcieniach. Inaczej te płaszczyzny dachowe wyglądały dniem, inaczej nocą; w oślepiającem świetle słonecznem, przy łagodnym blasku księżycowym, przy złoto-różowym wschodzie, przy krwawym zachodzie słonecznym, przy

oślepiającem świetle błyskawic burzy nocnej. I jeszcze tej rozmaitości nie koniec; bo nad dachami sterczały kominy, wysokie, nizkie, dnowione, odrapane, czyste, brudne, z blaszanemi przystawkami, bez przystawek, istne muzeum kominów. Gdy księżyc w nocy zajaśniał, gdy blaski swoje na dachach porozkładał, to rysowały się na płaszczyznach cienie fantastyczne, dziwaczne, niekiedy bardzo osobliwe.

A koty! Co tam było kotów i jakich kotów, jakie one wyprawiały harce, jakie wrzaski, jęki, płacze... jakie bitwy z sobą staczały!..

Śliczna pracownia, a jaka tania! Artysta płacił za nią tylko trzy ruble miesięcznie. Za wszystko: za mieszkanie, za widok na dachy, za kocie symfonie, za świergotanie wróbli, za dymu zapach, co się z kominów dobywał... Żadnych za to dodatkowych opłat nie ściągał gospodarz i wszystkiego pozwalał używać darmo, ile dusza zapragnie.

Szedłem do szczęśliwego lokatora pracowni przez schody drewniane, wydeptane, wązkie, bo dom był staroświecki, stawiany wówczas jeszcze, kiedy ludzie nie grymasili jak dziś i nie pragnęli marmurów.

Na tych schodach, chociaż była dziesiąta rano, panował mrok, jakby o szarej godzinie. Przeszedłem szczęśliwie pierwsze piętro, ale na drugiem natrafiłem na przeszkodę.

Całe przejście zastawione było gratami. Kanapa zielona, białemi obita ćwieczkami, takież fotele, krzesła, sofa, szeslong, wszystko to, mocno sfatygowane i dotknięte zębem czasu, tamowało przejście.

Wśród gratów uwijała się istota rozczochrana, bosa, wątła, niby dziewczyna już, niby dziecko jeszcze i ze wszystkich sił grzmociła kijem szacowną kanapę, na której zapewne kilka pokoleń ludzkich odsiedziało swój czas. Z kanapy, oprócz łoskotu i metalicznego jęku sprężyn, wydobywał się tuman kurzu. Przez niego to, niby przez obłok, w otwartych drzwiach mieszkania dojrzałem postać niewieścią.

Twarzy nie mogłem widzieć dobrze, ale po wzroście, po tuszy, po powłóczystym szlafroku, różowym, o ile mogę pamiętać, po białym czepeczku, mogłem się domyśleć, że mam przed sobą osobę poważną i wspaniałą.

Ujrzawszy moje zakłopotanie, odezwała się pierwsza:

— Proszę bardzo, niech pan przejdzie... Józiu, postaw dwa krzesełka z pod ściany na szeslongu, to się zrobi miejsce dla pana.

Bosy kopciuszek rzucił kij, czy trzepaczkę, kocim susem wskoczył na sofę, z sofy na szeslong i wykonał rozkaz w mgnieniu oka.

— Teraz niech pan przechodzi — rzekła dama;— przepraszam za ten nieporządek, ale cóż robić? Meble są na to, żeby je od czasu do czasu trzepano.

W milczeniu ukłoniłem się i chciałem przejść, i prawdopodobnie byłbym przeszedł i wspaniałej damy nigdy w życiu więcej nie widział, gdyby nie ta drobna okoliczność, że kopciuszek, a właściwiej kocmołuszek, postawił przy samej ścianie szczotkę do zamiatania. Nie dostrzegłem tego w półzmroku, jaki na schodach panował, nastąpiłem na szczotkę i kijem od niej zostałem

uderzony w kość policzkową tak silnie, żem aż krzyknął z bólu.

— Ach, mój Boże! — zawołała dama—co za wypadek!... Widzi pan, jakie to teraz sługi niegodziwe!... Bardzo pan cierpi?

— Trochę.

— Ach, mój Boże! jakżeż mam pana przeprosić za tę niezdarę?

— Stało się. Pójdę na górę i przyłożę zimnej wody na twarz.

— U tego malarza?

— Tak.

Ruszyła ramionami z wyrazem politowania.

— Alboż on może mieć wodę? Zresztą woda na nic, najlepszy jest w takim razie nóż.

— Nóż?

— Spodziewam się.. ja zawsze tak leczę stłuczenia. Proszę pana do pokoju... Bez ceremonii... Z mojej winy wypadek, ja powinnam pana ratować.

— Poradzę sobie sam.

— Eh, mój panie — rzekła z pewnem zniecierpliwieniem,—ja wiem, co mówię. Jestem kobieta doświadczona i mam dorosłe dzieci... Proszę pana.

Wszedłem do pokoju pustego prawie. Stał w nim tylko fortepian, stół z przed kanapy i parę małych stolików. Szczęśliwe graty drewniane, których nikt nie trzepie.

— Proszę do okna, do światła... Jezus Marya! — zawołała—śliczne rzeczy, guz jak kartofel!... będzie i siniak, jeżeli się zawczasu nie zaradzi. W tej chwili...

w tym momencie... Józia, utrapieńcze ty jeden... ślamazarności wcielona... dawaj tu krzesełko!... Ktoby się spodziewał, ktoby się spodziewał!

Wybiegła do drugiego pokoju i po chwili przyniosła koszyczek z nożami.

— Pod samem okiem! Ależ ta waryatka mogła pana kalectwa nabawić.

Ośmieliłem się zwrócić uwagę, że waryatka nie jest winna w tym razie.

— To moja własna nieostrożność.

— Pańska?! a dlaczego ta idyotka postawiła szczotkę na tem miejscu?

Narzekając ciągle na niegodziwość Józi, poczciwa dama przykładała mi nóż po nożu do twarzy. Miałem sposobność przypatrzeć się jej. Była to kobieta niemłoda, niegdyś zapewne bardzo przystojna. Twarz nie pomarszczona, dość pełna, włosy cokolwieczek dopiero siwiejące, oczy ciemne, pełne życia, ręka dość delikatna, składały się na całość, robiącą sympatyczne wrażenie.

— Nie, panie, — odezwała się po krótkiej chwili milczenia — nóż nie pomoże... to jest duże stłuczenie, trzeba przyłożyć arnikę.

— Posłucham pani rady i jak tylko wrócę do domu...

— Ależ nie, to pomaga na razie... ja mam arnikę u siebie.

— Dziękuję pani dobrodziejce...

— Przepraszam; nie mam przyjemności znać pana, ale widzę, żeś dzieciak... Ostatecznie nie zjem pana przecie... Stała się krzywda z mojej przyczyny,

a raczej z winy tego roztrzepańca... więc powinnam się panem na razie przynajmniej zająć...

Cóż było robić? Poddałem się i trzymając na twarzy gałganek umoczony w zbawczej arnice, siedziałem przy oknie; na drugiem krześle usiadła dama, a kocmołuszek akompaniował naszej rozmowie szalonem staccatem na nieszczęsnej kanapie.

— Pan szedł na górę?

— Tak, pani.

— Do malarza?

— To mój przyjaciel... znamy się oddawna...

— Ach... czy w pańskim wieku można mieć pojęcie, co to znaczy dawno?

— Przynajmniej względne:

— Chyba... I ja tego malarza znam.

— Poczciwy chłopak.

— Skończony łobuz!

— Artysta...

— Podobno wszyscy oni tacy... ale i nieprzyjaciel przyzna, że ma talent. Panie, jak on maluje koty! jakie koty!... co za koty!... jak żywe, tyle tylko, że nie miauczą.

— Z kotami mieszka... Dawno go pani zna?

— Już dwa lata. Nie mówił panu o tem?

— Nie.

— Ja zawsze powiadam, że on musi z Wilna pochodzić. Skryty jest. On daje mojej starszej córce lekcye rysunków... Dziewczyna ma talent, a jaka pracowita! Czy pan da wiarę, że wyrysowała już chyba ze trzy tysiące kotów! Ołówkiem nie ołówkiem, kredką nie

kredką, pastelami nie pastelami; teraz robi wielką kocicę z kociętami i niech pan sobie wyobrazi, na olejno! Podobno będzie to coś cudownego... I co za szczególny zbieg okoliczności, bo na imię ma też Kocia!

— Konstancya?

— A tak, zdrobniale Kocia... Lepiej panu?

— Lepiej, dziękuję pani, pójdę już...

— Jeszcze trochę pan potrzymaj ten kompres... ale poznajmyż się; z kim mam przyjemność?

— Jestem... ***.

— A to osobliwsza historya! Moja serdeczna przyjaciółka, koleżanka z pensyi, Zofia ***, wyszła była zamąż za człowieka tego samego nazwiska...

— To właśnie moja matka.

— Więc pan jesteś synem mojej serdecznej, kochanej Zosi?

— Tak, pani.

— No, przynajmniej raz w życiu to czupiradło, Józka, zrobiło coś rozumnego, postawiwszy na pańskiej drodze szczotkę. Siniak będzie, bo będzie, ale ja mam przyjemność poznać syna Zosi... mojej drogiej Zosi. Jakże imię?

— Ludwik.

— Śliczne imię! Mój Boże, co za szczęśliwe zdarzenie. Pan musiałeś o mnie coś słyszeć od matki; pewnie mnie wspominała niekiedy. Ja jestem Milska... Łucya Milska.

— O! bardzo często słyszałem...

— Mam wielką ochotę nie puścić pana ztąd, dopóki nie opowiesz mi wszystkiego o twojej matce. Tyle

lat, mój Boże, gdzież ona teraz mieszka? jak się miewa? co robi?

Zasypała mnie gradem pytań, tak, że nie zdążyłem nawet odpowiadać. Gdym wychodził, jeszcze zatrzymała mnie w przedpokoju, w sieni, gdzie znów o mało co nie nastąpiłem na ową nieszczęsną szczotkę, w tem samem miejscu postawioną przez Józię.

Przyrzekłem, że przyjdę w niedzielę wieczorem.

. . . .

Wprost od pani Milskiej poszedłem do malarza, na poddasze. Wejście do jego pracowni było dość niewygodne, ze schodów frontowych trzeba było iść przez korytarzyk nizki, prawie ciemny, załamujący się kilkakrotnie, gdyż pracownia znajdowała się w tylnej części domu i dlatego miała taki cudowny widok na dachy.

Zastałem artystę przy pracy; malował... kota.

Usłyszawszy o mojej przygodzie i zawarciu znajomości z panią Milską, zawołał:

— Pyszna kobieta... winszuję ci.

— Czego?

— Znajomości. Spotkamy się tam nieraz, ale słuchaj, ponieważ masz bywać u pani Milskiej, zastrzegam sobie jeden warunek...

— Jaki?

— Są tam dwie panny. Obie śliczne dziewczyny, młodsza Mania i starsza Kocia. Otóż racz przyjąć do wiadomości i pamiętać o tem raz na zawsze, że ja Koci daję lekcye rysunków...

— Mówiła mi to już pani Milska, ale cóż ztąd?

— Nic; idzie mi tylko o to, żebyś ty jej lekcyj nie dawał.

— Ależ, człowieku! ja nietylko kota, ale nawet kociego ucha nie umiem wyrysować!

— To ci się chwali. Mani możesz dawać lekcye geometryi wykreślnej, gry na flecie, gramatyki porównawczej, sanskrytu, kroju paryzkiego, buchalteryi włoskiej, czego ci się podoba; tamtej nic... Zgoda?

— Ależ ja wcale nie mam intencyi...

— No, to dobrze; nie ma o czem mówić.

— Jednak, wiesz co, Julku? skryty jesteś.

— Ja?!

— Nie wspominałeś mi nigdy, że masz uczennicę, że...

— Alboż pytałeś mnie o to?

— Trudno miałem pytać, nie wiedząc.

— Trudno miałem odpowiadać nie pytany. Jak uważasz tego burego kota? — zapytał, wskazując na stalugi.

— Solidny—odrzekłem.

— To mało. On nie jest solidny, on jest uroczysty, majestatyczny, wspaniały. Co najmniej, to koci hrabia, lub baron,

— Zapewne; ale, mój kochany, powiedzże mi, kto jest właściwie ta pani Milska?...

— Jak to kto? Przecież ją widziałeś...

— I słyszałem często jej nazwisko u nas, w domu, ale swoją drogą nie znam jej.

— Jest kobieta uczciwa.

— Nie wątpię. Zapewne kapitalistka...

Julek rzucił pendzel i zaczął się śmiać głośno.

— Masz racyę! Pani Milska, Kocia, panna Mania, ich brat Piotrek, pucołowaty bąk z czwartej klasy, rozczochrana Józka, co podstawiła ci szczotkę pod nogi, ty, ja i wreszcie ten kot malowany—to wszystko kapitaliści. Wiesz, przyszła mi genialna myśl! Połączmy nasze majątki i budujmy koleje żelazne. Gotów jestem zrobić wam ten honor i zostać prezesem rady zarządzającej, ma się rozumieć ciebie forytuję na wiceprezesa.

— A Kocię na prezesową?

— Nie dotrzymujesz słowa... Kocia jest z naszych gawęd wyłączona. Kocia jest Kocią...

— Bardzo dobrze; więc pani Milska jest wdową?

— O tyle, o ile nią może być kobieta, która męża straciła i powtórnie za mąż nie wyszła.

— Jakie stanowisko zajmował nieboszczyk pan Milski?

— Niewysokie, ale za to niepewne. Dzierżawił folwarczek koło Rawy; wojował z deszczem, z gradem, z pomorkiem, z ratą dzierżawną, z żydami, i to mu tak ślicznie robiło na zdrowie, że umarł naturalną śmiercią, mając czterdzieści pięć lat życia i zostawił wdowę z trojgiem dzieci wprawdzie, ale bez żadnego funduszu. Bo, widzisz, na świecie idzie jedno za drugie, tak, ale—bez tamtego, owak—ale z tem... Taka to kapitalistka jest pani Milska.

— Jednak, o ile uważam, zajmuje dość obszerne mieszkanie.

— Zajmowała ona już i obszerniejsze. Panienki otrzymały edukacyę przyzwoitą, a bąk chodzi do szkoły.

— I czyimże to kosztem? Czy mają bogatych krewnych?

— Owszem, mają aż dwa gatunki.

— Dwa?

— No, tak; bo wogóle krewni dzielą się na dwa gatunki: takich, co chcą dopomagać wdowie i sierotom, ale nie mogą, i takich, którzy mogą, ale nie chcą. Wobec tego nietrudno odgadnąć, że pani Milska utrzymuje się własnym kosztem.

— Wydaje mi się to zagadkowem, jeżeli nie podejrzanem.

Malarz zarumienił się.

— Słuchaj — rzekł — to dom uczciwy... jeżeli ja daję pannie lekcye rysunków, to już dosyć!

— A cóż to ma za związek jedno z drugiem?

— Daję ci słowo uczciwe, że ma. Milska jest taka kobieta, że ją najsurowszy Katon mógłby na środku forum w rękę pocałować. Jeżeli nie chcesz mi robić przykrości, to, proszę cię, nie wspominaj o żadnych wątpliwościach, bo nie ma ich i być nie może.

— Wierzę ci najzupełniej... ale ciekawy jestem, w jaki sposób, mówię to bez żadnej złej myśli, w jaki sposób można porządnie mieszkać, żyć, kształcić dzieci, nie mając ani majątku, ani żadnych stałych dochodów?

— Widać, że można...

— Dziwna rzecz...

— Pani Milska ma swoje spekulacye.

— Chyba nie gra na giełdzie i nie bawi się w antrepryzy.

— No nie; a przecież ręki nie wyciąga i łaski ni-

czyjej nie potrzebuje. Słuchaj, ona mi płaci za lekcye rysunków. Uważasz, mnie! a doprawdy, jabym wszystkie podłogi, ściany, piece, sufity w jej mieszkaniu najpiękniejszemi kotami zamalował. Przykro mi pieniądze od niej brać, ale muszę, bo inaczej nie pozwoliłaby mi dawać tych lekcyj, bez których (tobie to mogę powiedzieć, tobie jednemu) trudno mi byłoby żyć.

— Tak daleko zaszedłeś, koci malarzu?

— Tak. Albo się idzie, albo się nie idzie; ja jestem z takich, co idą.

— I zajdziesz?

— Spodziewam się! Ale wracając do pieniędzy, chciałem w delikatny sposób zwrócić honoraryum... i raz kupiłem bilety do teatru dla całej rodziny. Miałem się spyszna!

— Nie przyjęła?

— Przyjęła, ale zapowiedziała mi, że jeżeli raz jeszcze coś podobnego zrobię, to zerwie ze mną wszelkie stosunki. Zanadto mi ta Kocia w głowę zajechała, żebym się miał na to narażać... Z panią Milską, widzisz, nie ma żartów.

— Czemuż się nie oświadczysz? jako narzeczony miałbyś prawo...

— Zapewne, ale jeszcze trzeba poczekać.., wiesz, że finansowość moja obecna nie jest bardzo ciekawa...

— I nie zmieni się prędko.

— Wprost przeciwnie, zmieni się gruntownie, ale dopiero za rok.

— Jak sprzedaż ze stu kotów?

— Przedewszystkiem nie żartuj z kotów; pochle-

biam sobie, że są to koty malowane sumiennie. W każdym moim kocie jest tyle prawdy, ile się jej w kocie zmieścić może.

— Rzeczywiście i to każdy przyzna.

— Więc skoro przyznajesz, to nie drwij. Co do położenia mojego... ja mam majątek ziemski.

— Nie może być! Gdzie?

— W zastawie. W naszych stronach, widzisz, można majątek zastawić tak dobrze, jak w Warszawie zegarek; jest tylko ta różnica, że żyd, jako żywo, nigdy nie siedzi w zegarku, a zastawnik w moim majątku siedzi i ciągnie z niego dochody do czasu amortyzacyi długu. W przyszłym roku termin się kończy, majątek wypuszczę w dzierżawę i mieć będę dochód wystarczający na życie. Ma się rozumieć, natenczas pomówimy z panią Milską.

— Ona nie wie o twoich dobrach?

— Na co? Ja nigdy o tem nie wspominałem nikomu, a jeżeli zwierzyłem się tobie, to w nadziei, że będziesz dyskretnym... Mam w tem swoje wyrachowanie.

— Rozumiem... No, ale... gdyby przez ten rok, który sobie na czekanie wyznaczyłeś, trafił się kto inny i zabrał ci twój ideał?

— To być nie może...

— Ale, gdyby...

— Ha!—rzekł, uśmiechając się smutnie—malowałbym koty... ale tylko wściekłe!

. . . .

W najbliższą niedzielę dzwoniłem do mieszkania pani Milskiej. Nie otworzono mi zaraz, a z przedpokoju dobiegł uszu moich szmer przyciszonej sprzeczki: — Otwórz, Piotruś! — Aha, otwórz, sama otwórz, to „kociarz.“—No, Piotruś, otwórz, proszę cię. — A pomożesz mi z francuzkiego?—Pomogę.—Pamiętaj...

Po tej pertraktacyi, odbytej, jak się domyśliłem, pomiędzy bratem i siostrą, drzwi otworzono i ujrzałem pucołowatego chłopaka, w uczniowskiem ubraniu. Włosy ostrzyżone miał przy samej skórze, z oczu patrzył mu łobuz.

Ujrzawszy mnie, chłopak się cofnął, z pewnem zdumieniem.

— Zapewne pan do państwa Kowalskich?—zapytał.

— Nie—odrzekłem—do pani Milskiej.

— Proszę tędy.

— Zaprowadził mnie do maleńkiego pokoju, umeblowanego bardzo skromnie. Pani Milska powitała mnie serdecznie.

— Rozgość się pan—rzekła.—U nas ogromna ciasnota, całe mieszkanie dwa pokoiki, pasażyk i kuchnia. ale żyje się jakoś...

— Zdawało mi się jednak — rzekłem—że pokój, w którym byłem u pani po raz pierwszy, był znacznie większy...

— Masz pan słuszność, ale od dwóch dni mieszkają państwo Kowalscy. Bardzo mili ludzie, z pod Sandomierza, przybyli do Warszawy dla edukacyi dzieci.

— Krewni pani?

— Ale zkąd! znam ich od trzech dni, to jest od-

kąd tu zamieszkali. Widzi pan, ja mam różne swojo spekulacye: trzeba przecież z czegoś żyć.. A oto i moje córeczki. Pan ***, syn mojej serdecznej przyjaciółki, moje panny. Konstancya, artystka w wolnych chwilach, Marya... Mam i syna, Piotruś mu na imię, uczy się w szkołach. Bądźże pan u nas jak u przyjaciół.

Panienki prezentowały się bardzo dobrze: średniego wzrostu, szczupłe, o bardzo białej cerze i dość regularnych rysach, zgrabne, kształtne, ubrane skromnie, lecz gustownie, mogły się każdemu podobac. Obie były blondynki, starsza miała włosy nieco ciemniejsze, młodsza ze złotawym odcieniem. Musiałem przyznać w duchu, że malarz kotów miał gust. W mieszkaniu było wszystko urządzone skromnie, ale każdy sprzęt jaśniał dokładną, pedantycznie utrzymywaną czystością. Zielony garnitur, tak niemiłosiernie łomotany przez kocmołuszka-Józię, nie znajdował się w pokoju bawialnym pani Milskiej; natomiast stała tam kozetka i kilka napoleonek, krytych jaskrawym, ale dość gustownym kretonem. Przed kozetką był stolik, na nim duża lampa z abażurem, na scianie wisiało duże lustro w mahoniowych ramach z bronzami, widocznie antyk, z lepszych czasów pamiątka. Przy oknie, w kąciku, osłonięte serwetą, stały małe stalugi malarskie; domyślałem się, że pod serwetą jest bleitram, a na nim niedokończona zapewne olejna kocica z kociętami. Tak też naturalnie było; gdyż później, gdym częściej u pani Milskiej bywał, gdy poznałem bliżej tę, ze wszech miar godną szacunku kobietę i byłem zaszczycony przez nią zaufaniem, pokazano mi to arcydzieło.

W godzinę może po mojem przyjściu nadszedł Jurek; panny wzięły go zaraz w obroty, jak dobrego znajomego lub kuzynka, wyprowadziły go do drugiego pokoju, opowiadały mu coś, żartowały, słyszałem tylko wybuchy śmiechu, tego młodego, zdrowego śmiechu, w którym dźwięczy czysta jak kryształ nuta prawdziwej wesołości, nie zatrutej jadem sarkazmu, nie skąpanej w łzach, nuta wesołości młodej, szczerej, serdecznej.

Ja tymczasem gwarzyłem z panią Milską, a w miarę, jak się przeciągała ta gawędka, wyjaśniały się wątpliwości moje i urosło uwielbienie dla tej kobiety osieroconej i sierotami obarczonej, co rzucona w świat szeroki, musiała się w nim ruszać o sile własnej i pełćin obowiązki swe skromnie, cicho, bez deklamacyi, bez jęku na ów wiatr przeciwny, co biednym ludziom wieje prosto w oczy. Dopóki mąż żył, trzymała się ściśle w zakresie obowiązków żony, matki, gospodyni domu. Robiła co do niej należało. Gdy umarł, wzięła po nim ciężką sukcesyę, bo jego obowiązki. Za życia męża była dzieciom tylko matką; z chwilą jego śmierci stała się dla nich ojcem - żywicielem, kierownikiem, torującym ścieżki przyszłości. I wydawało jej się to tak naturalnem, tak prostem; nie złorzeczyła losom, nie pozowała na ofiarę, chociaż rzeczywiście nią była.

— Widzi pan—mówiła z pełną prostoty szczerością—mój mąż nieboszczyk, poczciwa, najzacniejsza dusza na świecie, zostawił mnie w trochę trudnem położeniu. Nie miałam do niego żalu za to i mieć nie mogłam, bo cóż on biedak winien? Ja miałam bardzo niewielki posag, on także bogaty nie był. Pobraliśmy

się. On dzierżawił mająteczek pod Rawą; kochaliśmy się, był dla mnie jaknajlepszy, przykrego słowa nie usłyszałam od niego — ale nie szło nam... To jest—dodała, poprawiając się—źle mówię, szło i nie szło. W domu dobrze, cicho, spokojnie; dzieci się chowały zdrowo... tylko interesa. Mój Boże, co on się nacierpiał! Nieraz, bywało, mówię: — Oleś, co ci jest? czemuś taki smutny? On odpowiada: — Nic moja droga, tylko interesa. Ciągle miał jakieś... Żydzi przyjeżdżali prawie codzień, targował się z nimi, układał, procesował... Co to pomoże, panie! Nieboszczyk uczciwy był, płacił najrzetelniej gdy mógł, a mógł nie zawsze... Bo, proszę pana, niech pan sam osądzi: folwarczek mały, ziemia licha, dzierżawa wyciągnięta, a tu jeszcze i nieszczęścia różne, to nieurodzaj, na suche lata zawsze nieurodzaj był, to grad, to pożar... Mój mąż w tych kłopotach podupadać zaczął na zdrowiu, aż jednego dnia przeziębił się, zachorował ciężko — i po kilku dniach umarł. Spadło to nieszczęście na mnie jak grom... myślałam, że nie przeżyję, ale Bóg łaskaw. Opąmiętałam się, bo przecież troje dzieci... któż się drobiazgiem tym miał zająć, jak nie matka? Ciężko było, panie. Pogrzeb, a zaraz po pogrzebie żydzi, żydzi i żydzi, bez końca. Na szczęście, zmiłowali się sąsiedzi, przyjechało ich trzech, targowali się z wierzycielami kilka dni, no i jakoś skończyło się wszystko pomyślnie, tak, że po sprzedaży inwentarza, ruchomości, mebli, nie wyszliśmy bez grosza. Dzięki poczciwym sąsiadom, ocalony został przyzwoity fundusik.

— Dużo?—zapytałem.

— Jednak całe sześćset rubli, a miałam też w skarbonce groszakami, uzbieranych dla dzieci, kilkadziesiąt, było trochę świecideł... broszka, kolczyki, dwa zegarki, dość, że policzywszy jedno z drugiem, miałam z górą dziewięćset rubli funduszu.

— I to na całe życie?

— A naturalnie; nie trzeba grzeszyć, panie, i narzekać, kiedy nie ma czego. Nie obrażać Boga, ale dziękować Mu raczej za to co dał...

— Prawda, jednak trudno chyba pani było utrzywać się z procentu od takiej sumy. Gdzieżby to mogło wystarczyć na utrzymanie rodziny?

— Widzi pan, miałam ja zawsze swoje spekulacye.

— Wspominał mi o tem pan Ludwik.

— A, nasz malarz. Tak, on wie, bo jest u nas prawie domowym.

— Jednak, jeżeli moje niedyskretne pytanie..

— A, proszę. Nie mam żadnych sekretów przed nikim, a tembardziej przed synem najlepszej mojej przyjaciółki. Zapewne pan dziwi się, jakie spekulacye może mieć kobieta swego chowu, nieuczona... Zwyczajne babskie spekulacye groszowe, ale spekulacye. Zaraz po tem, jak się to nieszczęście z moim mężem stało i trzeba się było ze wsi wyprowadzić, zaczęli mi ludzie doradzać, jak mam się urządzić, ale ja szłam za swojem zdaniem, wprost przeciwnie temu co mówiono. Radzono: osiądź pani w Rawie, albo w Skierniewicach, albo w Łowiczu, gdzie życie tańsze—ja osiadłam w Warszawie. Namawiano mnie, żebym kupiła sklepik; po co? nie znam się na tem, straciłabym co posiadam. Mówio-

no: weź pani małe mieszkanko, jeden pokoik, ja nie słuchałam, wzięłam sześć...

— Sześć?

— Taka moja spekulacya. Odnajmowałam cztery umeblowane, a dla siebie miałam dwa darmo, albo prawie darmo — to, widzi pan, już jest mieszkanie. Oto i teraz, mam też duży lokal, przez trzy dni stał pusty, a teraz są państwo Kowalscy i płacą... Mieszkanie, widzi pan, to pierwsza rzecz, a potem idzie życie. Nie wiele ja umiem, ale gospodyni jestem dobra, nie chwaląc się, gotuję jak kucharz. Ogłosiłam więc, że przyjmuję stołowników. Brałam za obiady pieniądze, przychodzili stołownicy, dogadzałam im jak mogłam; jeden sprowadził drugiego, drugi trzeciego, dziesiątego i tak to, Bogu dziękować, mieliśmy co jeść i jeszcze jakiś grosik z tego. I tak to jakoś w tryb weszło... Pracuję przytem dosyć, trochę mi córki pomagają, ale żyje się przecież i dość sobie porządnie. Puszczałam się też i puszczam na małe handelki; mam dawne znajomości po wsiach, sprowadzam ztamtąd różne produkty, masło, zwierzynę, drób, konfitury i to też dobrze idzie. Żeby pan zajrzał tu kiedy rano we wtorek, albo w piątek— zobaczyłby pan, jaki tu jarmark. Nie mogę narzekać, ludzie mnie znają, przyzwyczaili się. Zarabiam, ale nie obdzieram. Spekuluję potroszku. Najgorzej martwiły mnie dzieci, że słabowite.

— Ależ wyglądają doskonale...

— Naturalnie, ale i to musiałam wyspekulować. Co rok woziłam je na dwa sezony do Ciechocinka.

— To panią drogo kosztowało.

— E, nie, owszem przychodziło prawie darmo. Zabierałam z sobą garnki, rondle, patelnie i stołowałam chorych. I wie pan, tak to weszło w zwyczaj, że rok rocznie to robię. Poczciwi doktorzy znają mnie i przysyłają chorych. Naturalnie, biorę za obiady trochę drożej niż w Warszawie, ale nie obdzieram... No—i widzi pan, Bóg łaskaw na sieroty, dziewczęta pokończyły pensye, Piotruś jest w czwartej klasie... Byle on szkoły skończył, a panny zamąż poszły, to już będę zupełnie spokojna.

— Takie panienki długo w domu nie posiedzą — rzekłem.

— A, no, zapewne. Kocia ma się jakoś ku panu Julianowi, ja to widzę. Biedny to chłopak, ale cóż, przecież nie z samych bogaczów świat się składa. Niechże i biedny się żeni i biedna za mąż wychodzi... Więc jeżeli będą trwali w chęciach, to niech się biorą, pobłogosławię, chłopiec dobry.

— Nie myli się pani, doskonały chłopiec, ja go znam.

— I talent piękny ma... Jakie on maluje koty, jakie koty, co za koty... zdaje się, że z ramek taki za myszą wyskoczy...

Rozbawiona, śmiejąca się trójka, przyszła do nas. Piotrek wsunął się także do pokoju, rozmowa ogólną się stała. Gawędziliśmy o różnych przedmiotach. Potem podano herbatę. Mania grała rolę wicegospodyni, kocmołuszek-Józia, tym razem przy niedzieli nie podobna do siebie, uczesana, czysto ubrana, umyta i obuta, coraz, jak huragan spadała po schodach, aby przynieść jaki smakołyk z miasta.

Bo pani Milska wystąpiła ze wspaniałem przyjęciem. Była cytryna do herbaty, świeże bułki, serdelki i „rozmaitości.“ Było i piwo doskonałe, przyniesione przez kocmołuszka w dużym szklannym dzbanku. I czas leciał jak na skrzydłach w tym pokoiku szczupłym, w siedzibie owej biedy, cichej, pracowitej, zaradnej, a takiej sympatycznej i poczciwej.

Malarz kotów był w doskonałym humorze, opowiadał wesołe anegdotki i dowcipkował, wywołując wybuchy śmiechu. Przekomarzał się z Piotrusiem i wziąwszy ołówek, naszkicował kota w gimnazyalnym uniformie, w czapce, z tornistrem na plecach, i kot ten był zupełnie do Piotrka z fizyognomii podobny, chociaż miał kocie uszy, kocie wąsy i łapy kocie z pazurami. Chłopak niby się gniewał, ale karykaturę schował, chcąc ją zapewne kolegom pokazać.

Aniśmy się obejrzeli kiedy dwunasta wybiła i trzeba było gościnną rodzinę pożegnać. Zapraszała nas obu pani Milska, żebyśmy częściej bywali. Pożegnawszy się, wyszliśmy z malarzem na ulicę.

— Noc śliczna — rzekł — spać mi się nie chce, chodźmy się przejść. I poszliśmy obadwaj nad Wisłę. Księżyc świecił pełnią całą, woda się srebrzyła, miasto uśpione migotało rzędami światełek gazowych.

Milczeliśmy obaj, zachwyceni urokiem nocy wiosennej, nareszcie towarzysz mój zawołał:

— Jacy oni głupi! jacy idyotycznie głupi!

— Kto?—zapytałem.

— A któżby jak nie oni, te koty i kocice dwunożne—ludzie!..

— W czem?

— Ach, mój kochany, we wszystkiem. Zawsze im mało, zawsze czegoś pragną: blasku, użycia, nadużycia, rozkoszy—i doznają zawodów, rozpaczają, trują się, palą sobie we łby, albo też patrzą z podełbów jak zbójcy i powtarzają:—marne, podłe życie...

— Cóż ty właściwie od nich chcesz?

— Nic nie chcę, żałuję ich tylko i ubolewam nad ich głupotą... Sami są krawcami swego losu, biorą sobie miarę na szczęście i zawsze tak, że im materyału zabraknie...

— Alboż jest jakie szczęście?

— Może nie; ale jest spokój, zadowolenie wewnętrzne, sumienie czyste. Ot, weź za przykład choćby tę panią Milską. Nie jęknęła pod ciężarem, jaki na nią spadł, nia załamała rąk w rozpaczy, robiła co mogła, pełniąc obowiązki, kontentując się skromnemi okruchami bytu, jaki sobie zdobyła. Otóż widzisz, jej zawsze dobrze... ona umrze nawet bez jęku, z uśmiechem na ustach... Może to nie jest szczęście, według twego zdania, ale coś bardzo szczęściu pokrewnego i blizkiego... to prawie szczęście... Co do mnie, innego nie pragnę. Mogą się moje koty komu podobać albo nie podobać, ale ja wiem, że to są dobre, prawdziwe koty; może się moje zdanie komuś wydać marnem, drobnem, głupiem nawet, ale ono z głębi mego przekonania wypływa... Mówiliśmy już z Kocią o naszej przyszłości, uprojektowaliśmy sobie szczęście małe, malutkie, mikroskopijne — i, chcesz wierz, nie chcesz nie wierz, nie lękamy się zawodów...

. . . .

Często bywałem u pani Milskiej; malarz kotów coraz bardziej zbliżał się do celu, o Manię starał się młody człowiek, rozpoczynający karyerę w jakimś banku. Los rzucił mnie gdzieindziej, przez pięć lat nie byłem w Warszawie. Powróciwszy, spotkałem na ulicy panią Milską; nie zestarzała się wcale, twarz miała pogodną, uśmiechniętą jak zawsze. Na zapytania moje odpowiedziała:

— Bogu dzięki, wszystko dobrze, nie mogę narzekać.

— Czy pani Konstancya maluje jeszcze koty?

— Ale panie, zkąd? ma dwa własne, takie śliczne koteczki, jak malowane. Mania też za mąż poszła. Dobrze trafiły, obie dobrych chłopców dostały.

— A pani dobrodziejka przy której z córek zapewne?

— Nie, panie, nie zmieniłam trybu życia, prowadzę swoje spekulacye jak dawniej.

— Jeszcze? a dla kogóż teraz?...

— Dla wnuków...

ICEK PODWÓJNY.

I.

Dziwna rzecz stała się we wsi Trzęsidłach i osobliwa niesłychanie.

Icek skwaśniał.

Obywatel bardzo przyjemny, dla wszystkich zawsze uprzejmy, uśmiechnięty, gotów do wszelkich drobnych usług i do małych tranzakcyj, przygodnych handelków, jedyny człowiek do załatwiania sprawunków, wyszukiwania kapitalistów, chodzący informator, kolporter najświeższych wiadomości, wcielona idea pośrednictwa, chodząca uczciwość starozakonna, a przytem pachciarz—skwaśniał!

Ni ztąd ni zowąd, nie wiadomo z jakiego powodu.

Taka osoba! taki człowiek!

Dziwili się ludzie, boć kwaśnieje niekiedy piwo, mleko, wino rodzynkowe, miód, ale Icek—i jeszcze taki nadzwyczajny Icek!

Rano był najweselszy, rozmawiał z ludźmi, śmiał się, koło dziesiątej rano pojechał na jarmark i wieczorem wrócił jakby nie ten sam.

Wyprzągł kobyłę z biedki i puścił ją na trawę, a sam usiadł na kamieniu przy płocie, oparł łokcie na

kolanach, głowę ujął w dłonie i myślał... Tak myślał, tak twardo i ciężko myślał, że nie słyszał nawet jak go Ruchla na kolacyę wołała, nie odpowiedział ani słowa Wojtkowi, który mu nowy kożuch przyniósł na zastaw.

Widać coś mu weszło w głowę pod samą jarmułkę i utkwiło tam jak gwóźdź w desce.

Jakiś bardzo ciężki interes.

Nazajutrz rano wcale nie był w oborze, nie obchodził chałup, nie wstąpił do dworu, nie odzywał się do ludzi, tylko poszedł za wieś, między olszynę nad rzeczkę i tam chodził, deptał, od drzewa do drzewa, od krzaka do krzaka, potykając się co parę kroków. Mówił sam do siebie, pluł, gładził się po brodzie, uderzał rękami po bokach, stukał palcami w czoło, podskakiwał, siadał, znów wstawał; dziwne rzeczy wyrabiał.

Trwało to może godzinę, może dwie — a potem wrócił do swojej stancyi, usiadł przy stole i wypisywał kredą rachunki.

Na żonę, na dzieci, które odzywały się do niego, krzyczał przeraźliwym głosem:—gaj weg! i znowuż dalej rachował. Potem wziął maźnicę pełną smoły i poszedł smarować biedkę. Właśnie przy tej czynności zastała go Magda.

— Icku! Icku!—zawołała.

Ani się obejrzał.

— Ogłuchliśta, czy co? Icku! dziedzic was woła.

— Dziedzic?

— A no dyć, idźta duchem, bo pilno.

Icek ramionami wzruszył.

— Aj waj.., pilno; niech panu będzie pilno, mnie

się nie śpieszy. Co mi dziedzic, wielka fanaberya dziedzic, nie widział kto dziedzica!

— Idźta-że.

— Idźta? co to jest idźta? Co ty głupia dziewka, głupia Magda, mnie rozkazujesz..? Mnie?! Ty idź na konfidencye do krowy, lub do chlewa, tam twoja kompania jest.

Magda była to dziewica szanująca swoją godność. Powiedziała mu więc na poczekaniu kilkaset słów, w których nie było ani jednego poczciwego i wytrzęsła ze swego bogatego repertuaru wszystkie psie nogi, psie kości, psie dusze, psie familie, psie portrety i wszystko co tylko miała psiego w pamięci.

Icek, co mu się nigdy w życiu nie zdarzyło, wpadł w taką wściekłość, że rzucił na Madgę kwaczem umoczonym w smole, ona natychmiast odpowiedziała kamieniem i całe szczęście, że oboje chybili, bo mogłaby się stać całkiem nieprzyjemna awantura.

Dziewka pobiegła na folwark, miotając wciąż przekleństwa. Icek uspokoił się jakoś, kwacz podniósł z ziemi i dalej biedkę smarował.

Dziwna rzecz, co się z tym człowiekiem zrobiło. On, taki uprzejmy, taki zawsze grzeczny, zrobił awanturę i z kim? z dziewką folwarczną, z istotą, która niegodna jest z nim rozmawiać, z prostą, zwyczajną dziewką.

To jest pfe!

Icek sam sobie to w myśli powiedział i było mu bardzo przykro, że musiał sobie to powiedzieć—ale cóż? bywają takie stany duszy, że najrozumniejszy człowiek traci panowanie nad sobą i staje się zapalczywym, jak

za pozwoleniem, indyk albo kogut. Robi się niekiedy z człowiekiem coś dziwnego; wszystkie bóle, jakie kiedykolwiek go trapiły, zlewają się w jeden wielki ból; wszystkie złości, jakie nagromadziły się w sercu, stają się jedną wielką złością; wszystkie żale jednym wielkim żalem—i wówczas człowiek robi się taki, jak, uchowaj Boże, nabita dubeltówka. Małe dziecko poruszy go palcem i jest taki strzał, taki łomot, taki gwałt, że może przestraszyć wszystkie zające w okolicy, wszystką dziką zwierzynę i, nie przymierzając, ludzi. Właśnie Icek był tak nabity; z powodu różnych okoliczności i interesów, gromadził się w nim ciągle proch i śrut, kule, bomby, cała artylerya. Przyszła Magda, dotknęła nieostrożnie i już jest wybuch, jest pfe, wstyd dla człowieka poważnego, rozumnego, dla obywatela, handlującego, pachciarza... Jest zupełnie pfe! Ale co Icek temu winien, że go nabito, że musiał wybuchnąć, a gdy się awantura stała, gdy już wybuchnął, to jeszcze został w nim dym od strzału, czarne sadze od prochu, cała gorycz. Wszystko to weszło, wpakowało mu się w delikatne serce, w wątrobę, w krew, w głowę. Rozpłynęło się po wszystkich żyłach, po nerwach, po kościach. Co dziwnego? W prochu jest podobno saletra i siarka; w zmartwieniu zaś żółć, paskudna jak zły rok, zielona jak samo nieszczęście. Ona się wyrabiała w nim potrochu, a wybuchnęła na jeden raz, jak suma, co jest cała wymagalna w razie uchybienia jednej raty.

Icek musiał wybuchnąć, a potem musiał się napełnić goryczą. On był nabijany, on był nabity.

Maciek, stary pijak, umarł, długu Ickowi nie od-

dawszy, poszukiwać nie było na czem, czy to nie jest odrobina prochu? Szlachcic podwyższył opłatę za pacht po całe trzy ruble od krowy, czy to nie jest garść prochu? Żyto, które Icek kupił z wiosną na zielono po cztery ruble, na jesieni stało po trzy i kopiejek ośmdziesiąt pięć, loco stacya—czy to nie jest garniec prochu? Akcyźniki złapali Icka jak sprzedawał wódkę chłopom, była sprawa, był wyrok, była koza — czy to nie jest beczka prochu? czy nie jest cała artylerya?

Ktoby nie wybuchnął? Icek wybuchnął, on musiał wybuchnąć—a potem zgorzknieć.

On zgorzkniał, a ludzie powiedzieli, że skwaśniał.

Sąd ludzki zawsze jest omylny i niedokładny.

Ciężko zadumany poszedł Icek do dworu do dziedzica.

Czego on od niego chce?

Dziedzic? czego chce dziedzic, co mu potrzeba, czy ma to być nowe nabijanie? Nie, już tego dość!

Icek pójdzie, ale będzie twardy, będzie jak mur. Icek ma swoje kombinacye, obmyślił je we własnej głowie tak dokładnie, tak akuratnie, tak jedna drugiej pasuje, jak klucz do zamka, okno do futryny, drzwiczki do pieca.

Trzeba raz zrobić skutek i, na prawo albo na lewo, naprzód albo w tył, bo tak jak jest, źle jest, a co źle jest, to dobrze nie jest.

Niech mózg idzie w ruch i niech pokaże rękom co mają brać, nogom, gdzie mają iść, gębie, co ma mówić.

Wszedł Icek na ganek; psy nie szczekały na nie-

go wcale, bo znany był im, jeden tylko Bryś warknął i to nie ze złości, ale z przyzwyczajenia. Od tego jest pies; ale i to głuche warknięcie przykro dotknęło Icka, Kiedyindziej byłby nie uważał wcale, dziś mu przykro. Człowiek, nabity prochem zmartwienia, mając pełne serce żółci, o byle głupstwo się obraża, wszystko go boli.

I to go bolało, że dziedzic fajkę palił, że nie płakał nad swoją hypoteką, że nawet uśmiechnięty był.

Czego on uśmiechnięty?

— Jak się masz Icku?

Icek zwyczajem swoim chciał powiedzieć: dziękuję wielmożnemu panu, już miał nawet te słowa na języku, ale cofnął je i pewnym, nawet cokolwiek podniesionym głosem rzekł:

— Ja, proszę pana, ja się wcale nie mam.

— To źle...

— Może być źle, może być dobrze.

— Lewą nogą musiałeś dziś z łóżka wstać.

— Ja ich obydwóch nie czuję.

— Więc choryś?

— Nie gadałem jeszcze z doktorem.

Dziedzic popatrzył na Icka uważnie i po chwili rzekł:

— Ja cię nie poznaję dziś.

— To lepiej, ja już nie jestem ten sam Icek, co byłem wczoraj.

— Odmienili cię?

— Nie jestem ten sam.

— A jakiż u licha jesteś?

— Inakszy; ja panu co powiem, na co ma być

długie klektanie. Szkoda czasu. Ten kontrakt na krowy, co ja miałem podpisać, to ja nie podpiszę.

— To bardzo dobrze. Berek weźmie.

— On też nie weźmie.

— No, to Mosiek.

— Ani on nie weźmie, ani żaden; dość już tego pachciarstwa.

— Piękna myśl, będziemy tedy trzymali sami.

— Właśnie, właśnie, w inszym kraju to każda krowa ma rogi i ogon, u państwa każda prócz ogona i rogów potrzebuje mieć jeszcze kawałek żydka.

— Jakto, u państwa? co to znaczy?

— Znaczy tutaj, na tym paskudnym piasku i tych bagnach i tych wyskubanych lasach. To jest bardzo felerowaty i paskudny ten kawałek ziemi. Na folwarki to nie wiele warto, a w kupie tyle co nic.

— A gdzieżeś ty się Icku rodził?

— Gdzie się miałem rodzić? to jest ładne pytanie. Ja się rodziłem w porządnem mieście, w Kocku.

— Niedaleko.

— Aj, proszę pana, można sobie urodzić nie daleko, a żyć daleko, czy to człowiek jest, za pozwoleniem, wrona, żeby lubił zawsze na jednem drzewie nocować. Jak komu dobrze, to siedzi, jak komu źle, idzie dalej.

— Więc idziesz?

— Ja jeszcze nie powiedziałem, że już idę, tylko mówiłem, że mi tu źle.

— Cóż ci złego, w czem? Czy krowy mleka nie dają, czy koszerne masło staniało? Czy straciłeś na gęsiach?

— Jest pfe!

— Tłomacz się jaśniej.

— Co się mam tłómaczyć? Jak człowiek dostanie, niech Bóg broni, słabość, to krzyczy, że go boli. Jak boli, jakim sposobem, to wszystko jedno, dość że boli. Ja nie potrzebuję dużo powiadać, ani mało nie potrzebuję powiadać, dość, że mam cierpienie, a przez to, że mam cierpienie, chcę otrząsnąć błoto z moich butów i iść tam gdzie dobrze.

— Aha, emigrować chcesz?

— Dla czego zaraz emigrować? Ja chcę tylko jechać, chcę jechać do takiego kraju, gdzie mi będzie dobrze, gdzie nie jest żadna Magda, co może człowiekowi paskudne słowo powiedzieć; gdzie nie są takie ordynaryjne chamy, takie chłopy, takie niedźwiedzie, co wypiją wódki za dziesiątkę, a zrobią przekleństwa za rubla; gdzie nie są takie panowie, co „jak bieda to do żyda, a po biedzie idź do dyabła żydzie“—ja chcę iść do takiego kraju, do takiego miasta, co jest w nim ruch, handel, dobrych interesów, zarobków, gdzie jest tyle banków, co tutaj szynków; a tyle szynków ile tutaj tych much, co około obory latają. Ja chcę iść sobie do takiego kraju, co w nim same murowane chałupy, same bogate chłopy i taka porządna szlachta, jak najpierwsze hrabiowie.

— Gdzież masz taki kraj?

— Już ja wiem; ja słyszałem od ludzi. Tam jest wcale inny porządek, inna procedura. Tam są ludzie kolorowe, wszystkie jak malowane. Szlachcic jest na gębie ani czarny, ani biały, tylko taki sobie jak tutejszy cy-

gan, a jak on trzyma bydło, albo konie, to ma więcej w swoim stadzie, niż tu wszyscy panowie w całej gubernii. Chłopi są całkiem czarne i dzikie. Wódkę oni bardzo lubią, a na pieniądzach wcale się nie znają. Bywały zdarzenia—pisał do mnie o tem jeden żydek—że taki dziki chłop, ten czarny, potrafi dać dwa brylanty za kieliszek araku i jeszcze się cieszy, że zrobił bardzo dobry interes. Z takim narodem można handlować! Zboża jest bardzo dużo, handel! aj jaki tam handel, jakie życie. Ja biorę sobie w jedną kieszeń flaszkę araku, w drugą całe sto papierków i idę na miasto, między robotników, między dzikich chłopów, handluję, zarabiam. Niech ja bym tu spróbował taki proceder...

— Przecież próbowałeś.

— Pfe! niech moje wrogi mają taką próbę. Mnie złapali, mnie oddali do sądu, ja siedziałem w kozie, zapłaciłem karę, więcej niż moja żona przez ten czas utargowała. Czy to można żyć, czy to podobne do czego? Co to jest? to jest całkiem pfe.

— Zapewne.

— Niech pan sam powie, czy ja nie mam racyi? Co tu jest? Tu jest pieprz i oset, tam miód i cukier.

— Ale widzisz, Icku, tam jeszcze nie byłeś.

— Byli tacy co byli, oni widzieli, oni to opisali. Tam jest smak i honor. Co do smaku, to pierwszy smak w tem, że nikt nie pyta, czem kto handluje. To jest, panie, duży smak. Jeden lubi sprzedawać mąkę, inny wódkę, jest taki, co handluje zapałkami i taki, co ma na zbycie koronki. Owszem, niech sobie handluje podług swego upodobania. Od tego jest kupiec. Tam nikt

nie słyszał o żadnych kontrabandach, o żadnych przykrościach. Nikt nie pyta, co człowiek ma i zkąd ma—niech sobie ma, bo skoro ma, to widać jego. Tymczasem tu... Czy pan pamięta tego włogawego konia, co ja z nim miałem tyle kramu.

— Pamiętam.

— No, niechże pan sam przyzna, czy mnie był potrzebny cały ten ambaras, to chodzenie po sądach, koszta, przykrości.

— Któż ci kazał kupować od złodzieja.

— Pfe, od jakiego złodzieja? To był porządny obywatel starozakonny, mój dobry znajomy, nawet krewny.

— To swoją drogą—ale złodziej. Niech cię to nie obraża, Icku, lecz w najporządniejszej famili trafia się czasem wyrodek.

— Trafia się; wszystko się trafia, ale w tym wypadku było nieszczęście; tylko nieszczęście, dla tego, że wójt ma złość do żydów, a sołtys jest ptaszek, co tak samo śpiewa jak wójt. Ja kupiłem konia od Mośka, chłop się przyczepił, że to jego koń. Jak może być jego, kiedym ja zapłacił? Chłopu ukradli konia gniadego i zdrowego na oczy, ja kupiłem konia czarnego i ślepego na jedno oko? No? jak się to panu podoba?

— Ale nie gadaj, Icusiu, przecież się w sądzie wszystko wykryło.

— Wykrył się fałsz... Zli ludzie powiedzieli, że koń jest pomalowany farbą i że mu oko przypadkiem, a może naumyślnie, złodziej wybił. Proszę pana, czy

Mosiek jest farbiarz, żeby konie malował. Pfe. Ja straciłem, Mosiek stracił.

— No, stało się i już nie wróci,

— Prawda i niech Bóg broni, żeby się taka sprawa miała kiedy wrócić — niech moje wrogi to mają— tylko widzi pan, ja do tego prowadzę, że tu nie można żyć. Na moje sumienie, nie można żyć. Ja cierpiałem, za co? za głupie pół kwarty wódki, Mosiek cierpiał za konia, Boruch jeszcze cierpi za stary połamany srebrny lichtarz, co mu się trafił tanio do kupienia, a teraz, słyszał pan co się w miasteczku stało?

— Cóż?

— Taki kupiec, taka osoba, taki bogacz, Mendel, dostał wyrok do kryminału... Już siedzi. No?

— Ależ człowieku, przecież on sfałszował dokument, podpis obywatela.

— Wiem, ale to nie jest prawda.

— Przecież mu dowiedli...

— Wszystko można dowodzić, Mówią, że on sfałszował, a on się tylko omylił, zamiast co miał podpisać swoje nazwisko, podpisał cudze. Każdy człowiek może zrobić omyłkę.

— Taka omyłka zawsze kryminałem pachnie.

— Ładny zapach, śliczna perfumerya! ja już mam tego pełen nos! Niech pan na to nie rachuje, że będziemy odnawiali kontrakt. Ja nie mam ani trochę chęci.

— To bardzo dobrze, jak ci się podoba.

— Wcale mi się nie podoba.

— Cóż będziesz robił—wyjedziesz?

— Zobaczę, może wyjadę.

— Do tego kraju co w nim sam smak, prawda? No, dla czegóż sekret przedemną. Krzywdy nie miałeś, zarobiłeś tu w Trzęsidłach trochę grosza.

— Tyle co nic.

— Zawsze przecież coś,

— Nie wielki interes, insi więcej zarobili i też nie mają się z czem chwalić. Kto co zarobi teraz, na ten czas? Po co mnie pan kazał wołać.

— Chciałem, żebyś pojechał do miasta i załatwił mi tam pewien sprawunek; ale ponieważ masz co innego na głowie; nie mogę cię już tem obarczać.

Icek chciał koniecznie wiedzieć, co to za sprawunek i co mógłby przy tem zarobić, ale dziedzic powiedzieć nie chciał.

— Nic, już nic—rzekł—nie chcę ci, Icku, w ostatnich chwilach twego pobytu w Trzęsidłach, komisów żadnych dawać, masz i bez tego dość zatrudnienia; musisz przecież graty wyprzedać, interesa pozałatwiać, pieniądze wycofać z obrotu.

Icek jeszcze bardziej skwaśniał, bo gdzie to stoi napisane, że przed wyjazdem zarobek nie jest potrzebny?

II.

Siedzieliśmy w Trzęsidłach na ganku podczas pięknego letniego wieczoru. Wiatr przynosił zapach skoszonego siana i miłem, orzeźwiającem tchnieniem chłodził skronie. Ludzie powrócili od roboty; we wsi, w chatach, co się ciągnęły szeregiem, światła błyszczały. Walenty, karbowy, chłop przysadzisty i krępy, z twarzą kwadratową prawie, wąsami przystrzyżonemi nad wargą i włosami długiemi, co mu na ramiona na koszulę zgrzebną spadały, wyliczał ile kopic siana zgrabiono i piękną pogodę chwalił, a gdy już ten raport swój ukończył, uśmiechnął się i rzekł:

— Nowina we wsi wielka.

— Cóż?

— Nasz Icek pono aż za trzecie morze wędruje. Dziś taki gwałt był jak na jarmarku, żydziska pozlatywały się jak wrony i okrutnie radziły, już tak radziły i radziły...

— Ale nad czem?

— A kto ich tam rozumie, ale dość, że rajcowanie było między nimi ogromne, jeden drugiemu do oczu

skakał, a wszystko według Icka. On sam zhardział teraz, że ani przystąpić, a jak go zapytałem, czy będzie dalej krowy trzymał, to przeklął, żeby mnie licho wzięło i z krowami i ze wszystkiem co tylko jeszcze jest. Splunąłem i poszedłem swoją drogą...

— Nie wiadomo kiedy wyjeżdża?

— Ponoć niedługo, po Świętym Janie. Het wszystko przedaje, statki, graty, a konia i krowę onegdaj sprzedał. Wynosi się od nas za morza.

— Widać mu tu źle, więc szuka lepszego losu gdzieindziej.

Walenty głową pokręcił i uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie zdaje się wam to?—zapytałem.

— Ha, podług mego chłopskiego rozumienia, Ickowi tu źle nie było, tak jak i wszystkim źle nie jest. Po lekkości sobie taki chodzi, roboty ciężkiej nie zna, a pieniądze ma. Ze wszystkiego profit ciągnie. Kłaniają mu się nawet, nie przymawiając, inni panowie... i każdy jemu dziesięcinę daje. Może-ć mu tam będzie cieplej, bo gadali żydzi, że za onemi morzami zimy nie ma, ale lepiej mu nie będzie, według tego, że u nas naród dobroduszny i że taki czy z pana, czy z chłopa co chce wyciągnie. At, wielmożny panie, co tu dużo gadać—chce jechać, niech sobie jedzie, toć się nie będziemy rozpadali z żałości—baba z wozu, koniom lżej.

— A gdyby tak wszyscy oni nas opuścili, coby było?

— Albo ja wiem?

— No, przecież podług waszego pomiarkowania?

— Proszę pana, cebulaby dużo staniała i czosnek— odrzekł chłop, śmiejąc się.

— Cebula cebulą, ale handel?

— Juści prawda; czy dziś człowiekowi śledzia, na to mówiąc, przy świętym poście, albo soli, albo choć kawałka żelaza potrzeba, to się do żyda idzie, ale gdyby żydów nie było, to może by się inni ludzie handlujący znaleźli, albo możeby nowe, inaksze żydy nastały... Ja tam zmiarkować tego sobie nie potrafię, tylko widz mi się...

— Cóż się wam widzi?

— Ano, że zawdy u nas we wsi, choćby i w Trzęsidłach, byłaby odmiana. Wojtekby się nie upijał, boby gorzałki bez pieniędzy nie dostał. Marcinby się nie odłużył bez potrzeby, baby nie wynosiłyby z chałup przędziwa, a młodziaki nie lataliby po jarmarkach i po weselach, jak, nie przymierzając, psi, i takiejby obrazy Boskiej nie było i do roboty ludzieby się znaleźli i robiliby porządniej. Tak podług mojego pomiarkowania, ale co gadać po próżnicy, albo oni ztąd wyjadą...

— Kto to wie?

— Nie, panie, wiadomo, że nie wyjadą. Jeden może się ułakomi na owe zamorskie dobra, a trzeci, dziesiąty zostanie.

— Zkądże Walenty może o tem wiedzieć?

— Juścić jest już takie założenie i pewnie nie ludzie to wymyślili, jeno chyba sam Pan Bóg miłosierny.

— O jakiem wy założeniu mówicie?

— Zawdy koło obory są muchy, koło zboża wróble i myszy, a koło gospodarzy żydy. Tak oddawna było

i tak pono i będzie do samego końca świata. Żaden doktór na to nie poradzi, proszę pana... choćby na to mówiąc, najczystszem ziarnem pole zasiać, żeby jaknajlepiej zawlec, zawdy zielę się pokaże.

Rzekłszy to, Walenty pokłonił się i pochwaliwszy Boga, poszedł do swojej chałupy.

W tym samym czasie Icek podwójny jechał do miasteczka, żeby jeszcze różne interesa pozałatwiać. Wybrał się na całą noc furmanką, wynajętą od chłopa. Chłop drzemał na przodzie wozu i Icek chciał spać ale nie mógł. Zapalił fajkę i myślał. Z początku o interesach, o wyjeździe, a potem puścił się na pole różnych dociekań ogólniejszej natury.

Icek pochodził z rodu myślicieli, z takiej pięknej familii, w której byli mężowie nabożni, uczeni i myślący. Dość im było spojrzeć na cokolwiek, na najmniejszy przedmiot, aby wysnuć z niego całe pasmo bardzo wspaniałych i zawiłych kombinacyj.

Ziarnko piasku, kropla wody drgająca na listku, zdźbło trawy, dziurka w orzechu, bywały dla tych filozofów punktem wyjścia do bardzo dalekich wycieczek, nawet do wielkich wypraw w krainę myśli i dociekań. Icek nie odróżnił się od swoich przodków (w liczbie których był nawet jeden wspaniały) i jak tylko miał czas, wnet puszczał głowę w ruch i medytował.

Podczas tej jazdy nocnej, powolnej, bo szkapa z trudnością ciągnęła wóz po piasku, pod sklepieniem nieba usianego złotemi gwiazdami, w ciszy nocy pogodnej i ciepłej, myśl przyszłego emigranta pracowała żwawo i swobodnie.

Icek miał przed oczami duży, bardzo duży punkt wyjścia do medytacyi: chłopskie plecy. Wcale ładny kawałek pleców, szerokie, mocne, cokolwiek wygięte na zewnątrz, ale cokolwiek tylko; nad temi plecami, nad tym grzbietem zdrowym jak u konia, osadzona na szyi, kiwała się senna, drzemiąca głowa chłopska.

Wzrok Icka spoczął naprzód na tej głowie, ale nie zatrzymał się na niej długo, bo nie było na czem. Według obliczenia Icka, cała ta głowa wraz z czapką równała się wartości czapki, a wartość czapki mocno już podartej i przechodzonej, dla wielkiego ryzykanta, była dwanaście, maksimum piętnaście groszy!

Czy warto się zastanawiać nad przedmiotem, który tyle znaczy co nic?

Szyja chłopska warta więcej niż głowa, ale ma tylko znaczenie pośrednie, wartość kanału albo rowu odpływowego, bo w szyi jest gardło, a przez gardło rozchodzi się okowita z gorzelni i szynków.

Jest to poprostu rura, zwyczajna rura do przelewania gorzałki; z tej rury wychodzi niekiedy głos, jak z rury, a tyle ma wagi i znaczenia co głos sam, jako głos, dźwięk pusty, nie wart nawet tyle, co nieokraszony kartofel.

Plecy...

To jest wcale co innego! Pokrywa je sukmana warta rubla, i pod sukmaną koszula nic nie warta, ale same plecy to jest interes!

Chłopskie plecy, przedmiot, nad którym warto pomyśleć. Icka wujaszek, wielce szanowny Gedalreb, Gedala, jest po dzień dzisiejszy pełnym mądrości koszernym zarzynaczem bydła, owiec, gęsi i wszelkiego stworzenia,

którego mięso może spożywać prawy izraelita. Icek za młodu chował się trochę przy wujaszku, ztąd też posiada pewne wiadomości z anatomii.

Puścił w ruch całą mechanikę swej wyobraźni i zaczął w myśli ro bierać chłopskie plecy. Zaprawdę, to jest ciekawy interes.

Ostrym nożem delikatnej myśli zaczął Icek robić sekcyę na chłopie.

Naprzód bardzo zgrabnie, a zawsze tylko myślą, ściągnął z niego sukmanę starą, co była warta może rubla, i zgrzebną koszulę, która nie miała żadnej wartości; następnie zaczął ściągać skórę. Twarda, chłopska skóra, istna podeszew; wymoczona na deszczach, wysuszona na skwarze słonecznym, wyziębiona nieraz na mrozie. Doskonały kawał skóry! Końska odparza się od chomonta, a tej nic nie szkodzą ciężary, kloce drzewa, wory zboża. Pod tą skórą wyobraźnia Icka nie może znaleźć wcale tłuszczu, nie ma nawet małej warstewki, ale są natomiast muskuły... Doskonałe muskuły, żeby takie dobre szczęście do handlu mieć, jak one dobre są...

Icek kiwa głową z zadowoleniem i podziwia jak świat jest mądrze urządzony: chłop ma plecy, a żyd głowę i to się ślicznie kombinuje.

Takie plecy!

Muskuły w nich potężne, wyglądają jak bardzo grube i bardzo mocne postronki; rozłożone symetrycznie na grzbiecie, łopatkach, żebrach i ramionach. Icek wie, jak to wygląda, bo widział nieraz wołu w negliżu, zeźnicy skórę z niego zdjęli. W chłopie tak sa-

mo jest, bo to jedna kompania. Odsunął wielki myśliciel muskuły, żyły, arterye, nerwy i dobrał się do kości. Żeby takie mocne zdrowie mieć, jak te chłopskie kości są mocne!

Jaki grzbiet, jakie łopatki, co za ramiona, jakie żebra! Grubiańskie, ale twarde; bez żadnej delikatności, ale zdrowe; grube, ale siła w nich jest, końska, wołowa siła. Odbywszy w duchu tę sekcyę, Icek również w duchu odział swego woźnicę w muskuły, żyły, nerwy, przykrył to wszystko skórą, skórę koszulą, koszulę sukmaną i objął wzrokiem całość. I w szczegółach i razem wielkie plecy, nie można powiedzieć inaczej, tylko wielkie plecy!!

Icek wytrząsnął popiół z fajki, napchał w nią tytuniu, zapalił i jednocześnie wypuścił z głowy dwie myśli, z których jedna była niby gołębiem, druga wężem. Gołąk pofrunął pod obłoki, wąż popełznął cicho po ziemi. Jak dubeltówka może z jednej lufy wyrzucać śrut a z drugiej kule, tak głowa ludzka może tworzyć poezyę i prozę. Biały gołąb poezyi pofrunął daleko i wysoko i zaprowadził myśl Ickową do tego kamienia, co leżał przy drodze z Beerseba do Haranu, o który była oparta drabina Jakubowa. Napawał się Icek tem pięknem wspomnieniem, aż przypełznęła myśl druga, wąż niby, i ściągnęła ducha Ickowego do chłopskich pleców z powrotem i już się myślicielowi naszemu całkiem rozjaśniło w mózgu i przyszedł do wniosku, że jednak ta drabina z plecami chłopskiemi ma związek.

Rzecz prosta, że musiała ona mieć mocne szczeble, a jakiż materyał od chłopskich pleców mocniejszy?

Drabina stoi po dziś dzień, dzieci Jakubowe wspinają się po niej coraz wyżej a szczeble nic a nic nie słabną, są one mocne, bardzo mocne. Fajn szczebelki!

Icek postanowił, że przy pierwszej sposobności rozwinie szeroko tę myśl w pewnej krawieckiej szkole i że zjedna sobie słusznie należny poklask i już zaczął układać początek mądrego przemówienia, gdy nagle koło wozu stuknęło o kamień, a chłop się przebudził i ziewnął tak donośnie, aż się w poblizkim lesie echo odezwało.

Biały gołąb się spłoszył, wąż się spłoszył, Icek drgnął, a myśl jego przerwała się nagle, niby nitka pod dotknięciem noża.

— Paskudne ziewanie macie, Marcinie — rzekł prawie z gniewem.

— A dyć—odrzekł chłop — spać mi się chce, to i ziewam krzynkę.

To rzekłszy, ziewnął powtórnie jeszcze głośniej.

— No, no, wilk chyba głośniej nie wyje.

— Pewnie... Każdemu stworzeniowi, jak jest śpiące, gęba się drze.

— Dziwna, że wam się do tej pory nie rozdarła.

— Toć nie żydowska kapota, żeby się miała drzeć jeno ludzka gęba, gospodarska ..

— Dla czego kapota i dla czego żydowska?... Wasza gęba nieprzyjemna jest, Marcinie.

— Nie dał mi jej Pan Bóg miłosierny dla Ickowej przyjemności, jeno żebym miał czem chleb jeść.

— Mnie się zdaje, że wy bardzo dużo chleba zjadacie.

— Jak Bóg da dużo, to się je dużo, a jak mało to mało, ale zawsze się je swój, nie cudzy...

I znowu ziewnął głośno.

— Słuchajcie-no Marcinie, ja was proszę, nie ziewajcie wy tak brzydko.

— Albo co?

— Bo mnie od tego zimno jest.

— Patrzajcie! a cóż mam robić?

— Rozmawiajcie; powiedzcie co, to wam się spać odechce.

— A cóż wam powiedzieć? Nie mam ja do powiedzenia dużo. Ot, wy prędzej; ponoś gdzieś do zamorskich krajów macie jechać.

— No, mam, to prawda jest... ja pojadę.

— To niech Icek jedzie.

— I wiecie, że ja tu już do waszych paskudnych Trzęsidłów wcale nie powrócę.

— A to niech Icek nie wraca.

— No, i wy mnie nie będziecie żałowali? Nic, ani trochę?

— A czego?

— Jak to czego? Mnie, Icka? Co wy tu będziecie bezemnie robili?

— To co i zawsze, będziemy orali, siali, żęli, kosili, młócili, sprzedawali zboże.

— A kto je od was kupi, jak mnie nie będzie.

— Insze żydy; urodzaj na nich wielki co roku, nie zabraknie. Czy rok mokry, czy suchy, zawsze przybywają Gradu na nich nie masz, ani powodzi.

— Marcinie, wy jesteście wszyscy paskudny na-

ród; wy nie znacie co to wdzięczność, nie rozumiecie jak wam kto dobrze robi, dobrze radzi, jak was kto żałuje w kłopocie, jak wam przychylny jest.

— A gdzież to taki dobrodziej?

— Jakto gdzie? siedzi koło was!

— Icek?

— Może nie?

— Nie miałem od was nijakiej dobroci.

— A nie pożyczyłem-to wam kiedyś trzy ćwiarki jęczmienia na wiosnę?

— A nie oddałem wam za to półtora korca na jesieni?

— A pieniędzy też wam pożyczałem.

— Braliście duży procent.

— Jaki wy głupi, chcecie, żeby kto pieniądze darmo dawał?

— A wy chcecie, żeby was kto darmo żałował.

— Darmo? tfy! wy Marcinie sami nie wiecie co gadacie.

— A juści.

— No, że ja wam pieniędzy nie dawałem darmo, to prosta rzecz, pieniądze kosztują; że wy mnie nie chcecie żałować darmo, to jesteście zły człowiek. Żal idzie z serca, a przecież serce nic nie kosztuje. Czy zapłaciliście za nie chociaż jeden grosz? Co wy jesteście bezemnie? co wy znaczycie?... Jaką wy sobie radę możecie dać... aj, aj, my jesteśmy dla was tem, co głowa dla człowieka, my za was myślimy. No, czy nie tak?

Chłop nic nie odrzekł, a Icek nalegał.

— No, jak wam się zdaje, czy nie jest tak jak ja mówię?

— Albo ja wiem.

— Chłopskie gadanie! drapać się w głowę i mówić: albo ja wiem.

— A no, Icku, skoro powiadasz, że jesteś moja głowa, to powinieneś wiedzieć co ja myślę o tobie.

— Co wy możecie myśleć?! dużo warto wasze myślenie jest!—rzekł z pogardą.

— Ja myślę, że Icek jest cygan...

— Tfy! tfy! jak to można powiedzieć na porządnego żydka, że jest cygan?! Tylko z głupiej głowy może wyjść takie myślenie, a z grubiańskiej gęby takie słowo. Wy wszyscy nic nie warci, wszyscy co tu jesteście na tym piasku, na tych bagnach. Szlachcic z wielką fanaberyą siedzi na swoim folwarku, jak pies na płocie. Sto razyby z płota zleciał, żeby go jaki porządny żydek w porę nie złapał i nie przytrzymał! A jaka fanaberya! jaka pycha! Chłop taki paskudny, ordynarny chłop, ten ma także swoją fanaberyę, a przecie żeby nie miał żydka. toby całkiem zmarniał; nie wiedziałby nawet, u kogo kupić kwartę gorzałki do przepłukania swojej grzdyki. A jaka fanaberya! jaka pycha!.. Chłop pyszny jak szlachcic, szlachcic jak hrabia, a hrabiemu to zdaje się... albo ja wiem, co się jemu zdaje?! Coś dziwnego!? Wszyscy oni razem tyle warci co nic, wszystkich dawnoby dyabli wzięli, gdyby nie nasze żydki, co ich cokolwiek trzymają!

— W garści i w kieszeni—dorzucił chłop.

— W jakiej garści? w jakiej kieszeni? Czy my

na was majątki porobili? Niech nasze wrogi to wychorują, niech im cały nasz zysk bokiem wylezie, niech ich oczy zabolą, paskudników. Pfe! Patrzcie na moją garść — w niej figa jest, patrzcie na moją kieszeń — same dziury. A my z wami mamy smak, mamy interes za naszą dobroć, za to, co my was żałujemy, co dajemy wam pieniędzy w potrzebie.—Bez nas jużby was dawno nie było; my pójdziemy i was nie będzie—a wiecie, dla czego was nie będzie? Oto dla tego, że was dyabli wezmą,..

Chłop jakoś dziwnie ramieniem poruszył i nawet obejrzał się trochę, ale milczał jeszcze; dopiero po dłuższej chwili, zapytał bardzo spokojnie:

— Icku, jedliście wy kiedy chleb?

— To jest bardzo głupie pytanie; dla czego ja nie miałbym chleba jeść?

— I dobry był—co?

— Chleb zawsze dobry, nie wiecie o tem?

— Ja bo tylko jeden gatunek chleba jadam, zwyczajnie jak chłop.

— Razowy? ja też czasem jadam razowy; nawet lubię taki chleb, trochę on gruby, ale idzie na zdrowie. Wy zawsze jadacie czarny chleb?

— Nie, nigdy.

— Pi! Pi! ja powiadam, że teraz chłopi porobili się wielkimi panami, on nigdy czarnego chleba nie jada! A czem się żywił wasz dziadek, wasz ojciec? Może jadł białe kluski z miodem, albo pęcak z pomarańczami? Ha! ha! Wy, Marcinie, wy pan, delikatny chleb jadacie; podsitkowy, albo pytlowany?

— I takiego nie jadam.

— Aj! aj! perłowe ząbki! jedwabne podniebienie, safianowy język, aksamitna gęba! Biały, całkiem biały chleb jada wielmożny pan Marcin! Taki biały jak szabasowa chała, jak bułeczki. Nie wiedziałem, że jesteście taki grymaśny magnat.

— Ja tam i białego chleba nie jadam.

— Też nie? No, no, czarnego nie, pytlowego nie, białego też nie, ja nie znam więcej gatunków chleba.

— Jest jeden jeszcze i ja na takim zęby zjadłem.

— Cóż to za chleb!? co za taki specyał jest? jak jak on się nazywa?

— Własny...

Icek aż podskoczył na furze.

— No, własny, ja wiem, że on wasz własny; a może wy chcecie powiedzieć, że ja jadam chleb kradziony? Ja was proszę, wy nie gadajcie takie dyfamacye. Mój chleb jest mój własny, tak samo jak wasz.

— Nie tak samo.

— Tak samo!

— Niepodobna!

— Dla czego?

— Ha, mój Icku, ja się cudzemi interesami nie trudnię. Spałem sobie na furze—wyście mnie zbudzili; nie chciało mi się gadaś, ciągnęliście mnie gwałtem za język; trajkotaliście jak on pytel, co się we młynie telepie, słuchałem; ale kiedy już koniecznie chcecie, żebym przemowił, to przemówię i nie żydowskim przebiegiem i wykrętem, ale poprostu, po chłopsku, jak łopatą włożę wam w waszą okrutnie mądrą głowę słowa

prawdy, żebyście wiedzieli i żebyście to sobie w kominie zapisali, że wasz chleb jest tak podobny do mojego chleba, jak na to mówiący, węgorz do krowy, albo ziarnko pszenicy do biedki żydowskiej.

— No? no?

— A tak, mój panie Icku, podobieństwa tu żadnego nie może być. Ja na mój kawałek chleba muszę ziemię zaorać, czy Icek wie jak to ciężko?

— No, orać, wielka rzecz orać, to przecież każdy chłop potrafi.

— Ale nie każdy żyd. Dobrze w krzyżu zaboli, jak się człowiek sochy nadźwiga, dobrze nogi zabolą jak się za broną nabiega, a przy żniwie grzbiet trzeszczy, przy zwózce oczy na wierzch wyłażą, a potem trzeba cepem machać, to też nie lekka zabawka: trzeba ziarno wywiać, oczyścić, do młyna zawieźć—i tu dopiero jest mąka, z której baba chleb piecze. Aj, Icku, nie tak się ten chleb w piecu piecze, jak człowiek co musi koło niego robić, od samego początku; ale też wiedzcie o tem Icku, że w moim chlebie jest tylko czysta mąka, woda, trochę kwasu i sól—no i kawałek liścia kapuścianego na podkładkę... więcej nic...

— A co więcej może w moim chlebie być?

— Inna całkiem mąka i wszystko inne. W waszym chlebie zdybie się i przekleństwo i żal i płacz i krzywda ludzka i szachrajstwo.

— Tfy!

— Ciągnęliście chłopa za język, chłop tedy przemówił.

— Wiecie wy Marcinie, dajcie wy spokój, ja was proszę!

— To nie równać waszego chleba z moim, bo mó co innego, a wasz co innego.

— Kto równa, co równać! chleb jest chlebem, wasz, mój, wszystko jedno.

— A, nie jedno.

— Niech będzie i tak, co ja z wami mam się sprzeczać? Wy swoje, ja swoje... ja wcale nie mam chęci do gadania, mnie się chce spać, pozwólcie mi spać.

— Alboż ja wam bronię? Śpijcie sobie, skoro wasza wola; a chcecie nie spać, to nie śpijcie; tylko według onego chleba, to wam powiadam, że ja mam chleb mój, a wy macie... nasz.

— Wielka szkoda Marcinie, że wy jesteście taki mądry—wy się nie uchowacie.

— Was na doktora prosić nie będę.

Rzekłszy to, Marcin znowuż ziewnął, aż się echo po lesie rozległo i zaczął głową kiwać. Po chwili spał jak zabity, w postawie siedzącej; szkapa powoli wlokła ciężki wasąg po piasku.

Icek zapiął kapotę na wszystkie guziki, kołnierz podniósł do góry, ręce w rękawy wtulił, bo nad ranem chłodny wietrzyk się zerwał.

Wielki myśliciel nie mógł usnąć; było mu bowiem zimno i przykro.

Taki Marcin, taki chłop, cham, grubijanin, bez żadnej oświaty i edukacyi, nie umiejący ani czytać, ani pisać, ośmiela się mówić przykre słowa i komu? Uczonemu, nabożnemu Ickowi, prawemu dziecku Jakuba,

osobie, której z samego prawa należy się dziedzictwo świata. I kto? on, taki parobek, towarzysz wołu i konia; robak grzebiący w ziemi... fe!

I jak tu nie emigrować, jak nie uciekać z takiej paskudnej ziemi, na której godny człowiek nie ma godności, honorowemu nie oddają honorów, gdzie nawet chłop chce być mądrym i mieć swoje zdanie.

Uciec, uciec na koniec świata, za dziesiątą granicę, porzucić to gniazdo niewdzięczników, nie znających się na rzeczy, na ludziach, na niczem!...

Niech ich dyabli wezmą!

Ickowi pilno do miasteczka, radby tam stanąć lotem ptaka, ale Marcinowa kobyła ptakiem nie jest; wlecze się noga za nogą i gdyby nie Marcin, który choć przez sen, macha jednak biczem od czasu do czasu, stanęłaby niezawodnie.

Icek trąca chłopa w ramię.

— Marcinie—woła—Marcinie!

— A co?

— Czy my dziś zajedziemy nareszcie?!

— Jak Bóg da, to zajedziemy.

— Ale mnie jest bardzo pilno...

— Do woli waszej...

— Kiedy ja mówię, że mnie się bardzo śpieszy, a chcę zaraz być w mieście.

— A to sobie bądźcie, któż wam broni?

— Daleko jeszcze?

— Nie widać i nie mam kocich ślepiów, żebym dojrzał po nocy miasto o milę drogi.

— Mila drogi, to jeszcze cała mila; ja was proszę, Marcinie, wy jedźcie prędzej.

— A niech Icek pogada o tym interesie z moją kobyłą, ja przecie wozu nie ciągnę...

— Zawsze, wy Marcinie, jesteście grubijanin.

— Jeszcze nie jestem, ale jak mi dogadywać zaczniecie, to mogę być.

Zaczęło świtać, na horyzoncie zarysowała się królująca nad miasteczkiem wieża kościelna.

III.

Już Icek był zupełnie gotowy do drogi, wyprzedał swoje ruchomości, spakował niezbędną garderobę i pościel, wyekwipował na drogę żonę i dzieci. Wszystko słowem, było przygotowane, tylko siadać na furę, z fury do wagonu, z wagonu na okręt, przebyć morze i znów kawałek lądu w wagonie i na furze i znaleźć się w kraju innym, gdzie wszystko jest dobrze, doskonałe, gdzie całkiem inny smak życia, inny honor i inny handel.

Zacznie się nowa egzystencya, ani podobna do dzisiejszej; piękna, wspaniała. Icek wyobraża już sobie w myśli ten kraj obiecany, złożony z samych szynkarzy, kupców, faktorów... Śliczny kraj, każdy będzie w wielkiem poszanowaniu i honorze. W jedwabnych szatach, w sobolowych szubach, damy zaś w klejnotach i perłach. Każdy będzie wygodnie siedział sobie na kanapie w salonie, lub przed chałupą na progu, palił fajkę, rozmawiał o najnowszych nowościach, lub też, jeżeli jest uczony, będzie się zagłębiał w starych, nabożnych księgach.

Wszyscy tam będą swoi, sędziowie, wojownicy,

administratorowie, finansiści. Icek myśli, że będzie senatorem, ten urząd bardzo mu się uśmiecha. Icek lubi sprawy, zna kodeks, on by potrafił odwrócić kota ogonem, wykręcić każdy interes mądrze i jak się należy. Od tego ma przecież głowę, a głowie tej może ufać. Jest wypróbowana. Zdarzało się, bo chodzą po świecie paskudne wydarzenia, że się jakiś żydek rozminął z kodeksem i że mu na drodze stanął sąd, a za sądem kawałek kryminału, wymyślonego na to, żeby porządni ludzie nie mogli podług swego własnego upodobania handlować. W takich wypadkach zwykle odbywały się narady i sesye nad pytaniem: w jaki sposób biedaka prześladowanego przez los i złych ludzi ratować? Icek brał zawsze udział w takich naradach i bardzo sobie psuł głowę, ale tę miał pociechę, że nie psuł jej napróżno. Nieraz zdarzało się, że nikt nic nie wymyśli, nie poradzi, nie wynajdzie żadnej kombinacyi, tymczasem Icek poradził; w jego głowie wymarzyła się taka kombinacya, tacy świadkowie, takie *alibi*, że tylko zachwycać się i podziwiać!

Bywało; różne rzeczy bywały, różne sprawy, różne interesa. Kiedyś, kiedyś, tam za morzami, kiedy Icek będzie już trochę stary i ogromnie bogaty, kiedy sobie usiądzie w swoim salonie wspaniałym, albo latem przed chałupą na progu, kiedy go otoczą wnuczki i prawnuczki, to on im dopiero będzie opowiadał o dawnych czasach, o miasteczku swojem rodzinnem, o Trzęsidłach, o tej szlachcie, co hałasuje i daje się skubać, o tych głupich chłopach, z których można dużo pożytku wyciągnąć, o przedziwnych kombinacyach z okowitą, wodą

mąką, piaskiem, zbożem, że śmieciami, o dziwnych sprawach, bardzo tanich kupnach drogich rzeczy, o takich koniach co ginęły i znajdowały się i znowu ginęły, o takich sprawach co zdawało się, że nic nie warte, a były dużo warte, o dziwnych licytacyach, o takim kraju, w którym można budować pałace z zajęczych skórek i przerabiać starą garderobę i łachmany na wielkie kapitały!

Icek będzie opowiadał, a delikatne wnuczki, otworzywszy usta, podziwiać będą mądrość dziadka i jego doświadczenie życiowe. On im powie też trochę o dzikim czarnym ptaku, co się nazywa wrona, o dzikiem zwierzęciu zwanem pies, o różnych chłopach co pokapcanieli, co umieli doskonale pić gorzałkę i robić awantury w szynku.

Czuje już Icek smak tej starości rozkosznej, tej pociechy z wnuczków, tego honoru, jakiego będzie zażywał... Czuje, cieszy się i już wyjeżdża... wprawdzie nie za morze, ale o trzy mile drogi, do swego familianta w innem miasteczku. Trzeba się pożegnać; nie można wyjechać tak niegrzecznie, nie powiedziawszy krewnym i przyjaciołom: bądźcie zdrowi...

Familiant siedział na progu i fajkę palił, kiedy Icek przed dom jego zajechał. Przywitali się przystojnie, bez gwałtownych uniesień radości, jak wypada mężom poważnym i bogobojnym.

Icek zlazł z fury, familiant wcale się nie ruszył z progu.

— Dzień dobry wam, Mojsie—rzekł Icek.

— Dobry rok wam, Icku—odrzekł Mojsie.

— Ja przyjechałem.

— Ja to widzę.

— Dla czego ja nie miałem przyjechać?

— Dla czego ja nie mam tego widzieć?

— Ja przyjechałem za interesem.

— Kto jeździ bez interesu?

— Usiadłbym trochę, poszedłbym do izby.

— Dla czego nie? idźcie sobie do izby.

— A wy, Mojsie?

— Ja mam chęć siedzieć tutaj.

— To i ja siądę tutaj.

— Siadajcie Icku, to was posili po podróży.

— Dziękuję. Wam wiadomo zapewne, że ja mam chęć pojechać za morze. Gadają tak, gadają owak, ja wiem, że tu jest całkiem pfe. Chcę jechać. Co wy myślicie o tem? Mam jechać?

— Dla czego nie macie jechać?

— Ale czy to będzie dobrze?

— Zobaczycie na miejscu. Co to komu szkodzi, że zobaczycie jak tam jest. Owszem, piszcie ztamtąd list, ja wam zwrócę za markę, a jak ja go dam innym do przeczytania, to oni mi zwrócą za markę. Znacie moje położenie, jestem człowiek niezamożny, nie chciałbym do tego interesu dokładać.

— A wy nie wybieracie się w drogę?

— Tymczasem nie.

— Dla czego?

— Wolę czekać.

— Na co wy macie czekać?

— Niech kto wpierw sprobuje. Oto wy jedziecie naprzykład, wy sprobujecie. Kiedy odjeżdżacie, Icku?

— W tych dniach.

— To szkoda jest.

— Dla czego ma być szkoda?

— Miałem dla was dobry, bardzo dobry interes.

— Weźcie go sami.

— Nie mam tyle pieniędzy, trzeba mi wspólnika. Myślałem o was, nie chcąc takiego geszeftu z familii wypuścić.

— Cóż to za interes?

— Na co mam gadać, przecież za morzem nie możecie być moim wspólnikiem.

— Dla czego nie mogę?

— Z dalekiego świata nikt interesu nie może prowadzić, a chcąc z bliższego prowadzić, to trzeba blizko być. Ja się bardzo dziwię, że wam, Icku, taką prostą rzecz trzeba tłómaczyć.

— Wy się bardzo mylicie, Mojsie; wasze słowo tymczasem jest tylko puste słowo, o interesie ja jeszcze nic nie słyszałem.

— Na co?

— Jakto na co? Niechbym wiedział, czy mój świat od niego blizki, czy daleki?

— Ej, ej!

— Ja chcę słyszeć.

— Chcecie słyszeć? słuchajcie. Wy znacie dobrze Wywłokę?

— Dla czego nie mam znać?

— Tam jest ładny kawałek młyna.

— Prawda... żebyśmy tak ładne zdrowie mieli. Ja ten młyn znam. On jest na cztery ganki, sprawiedliwy młyn. Można przy nim zrobić i tartak.

— Sprawiedliwe jest wasze słowo; ja sam myślałem, że tam pasuje zrobić tartak. Wyście dobrze powiedzieli, Icku.

— Jabym tam jeszcze założył przy młynie maleńką, bardzo maleńką karczmę. Tylko nie wiem, czy można?

— Ja już to wywąchałem.

— No i co?

— Bnrdzo można. Widzicie Icku, teraz uważajcie tylko, tylko dobrze uważajcie.

— Uważam.

— W tej Wywłoce siedzi szlachcic. On siedzi, niech nasze wrogi tak mocno siedzą! On ma wcale nie mocne siedzenie. Był u mnie temu dwa tygodnie, chciał mi puścić ten młyn na sześć lat, bardzo tanio, aby tylko dostał pieniądze z góry. Kontrakt hypoteczny.

— Co wyście powiedzieli?

— Jak pasuje w takim interesie. Powiedziałem naprzód, że jabym wolał wziąć propinacyę, po drugie, że do młyna mam obrzydliwość, a po trzecie, że wcale nie mam pieniędzy.

— To wyście bardzo mądrze powiedzieli.

— Ja zawsze tak mówię.

— A on?

— On piszczał, okrutnie piszczał... a że ja nie mogę słuchać jak kto piszczy—więc powiedziałem mu, że się namyślę i że będę szukał pieniędzy. Chciałem do

was pisać, żebyście zemną mieli współkę, ale wy chcecie jechać za morze, to już jest inny interes.

Icek zaczął gładzić brodę.

— Słuchajcie, Mojsie — rzekł—ile szlachcic chce rocznej dzierżawy z tego młyna?

— On dużo chce, on chce tysiąc rubli...

— Ja wiem, że niemiec płacił półtora.

— Ale nie dawał za sześć lat z góry! Ja powiedziałem, w takich warunkach to jest bardzo wyciągnięta dzierżawa; można dać najwyżej siedmset i to więcej przez życzliwość, aniżeli dla zysku. Czy ja miałem racyę?

— Sprawiedliwe wasze słowo.

Nastało długie milczenie. Obaj kuzynowie palili fajki z wielką rozwagą i spokojem, patrząc na wróble skaczące po ulicy. Icek doznawał rzewnego wrażenia, zdawało mu się, że ten młyn w Wywłoce, właściwie nie jest w Wywłoce, lecz w owym błogosławionym kraju za morzem, że tam właśnie, w tym młynie jest owo piękne życie, spokój, majątek, poszanowanie, honor. Czy za morzami trafi się taki doskonały interes?

— Mojsie!—rzekł Icek.

— No?

— Ja myślę, że ten młyn trzeba obejrzeć...

— Jak chcecie.

— Co to zaszkodzi, jak ja go zobaczę?

— Myślę, że ani młynowi, ani wam.

— To jedźmy.

— Oba?

— Tak, wy i ja.

— Więc chcielibyście wejść do spółki zemną?

— Niechno ja widzę interes.

— Dobrze, obaczcie. Czy pojedziecie sami, czy ja mam też z wami jechać?

— We dwóch lepiej. Pojedziemy obadwaj.

Kuzynowie wcale nie bałamucili; wybrali się w podróż bardzo prędko i stanęli w Wywłoce zaraz, bo odległość była bardzo niewielka. Icek znał trochę tę Wywłokę, ale teraz przyglądal się jej uważniej. Bardzo mu się miejscowość podobała. Wioska i dwór był trochę wyżej, na niewielkiem wzgórzu; młyn niżej, w kotlinie pod lasem. Gościniec ciągnął się koło samego młyna. Dwa stawy łączyła niezbyt szeroka rzeczka, ujęta w szluzę. W szluzie zbierało się dużo wody, która, gdy otworzono stawidła, z wielkim szumem i łoskotem spadała na koła. Kół było trzy, wszystkie jeszcze w dobrym stanie, mocne, porządne koła. Niemiec nie dał im się psuć, reparował zawczasu; dom, w którym się młyn mieścił, był taki sobie, ani za duży, ani za mały, w samą miarę, trochę okurzony od mąki, jak zwykle młyn.

Kiedy kuzynowie przybyli do Wywłoki, już słońce było na zachodzie, woda świeciła się jak złoto, czasem rzuciła się duża ryba.

Mojsie trącił Icka w ramię.

— Widzisz? — zapytał — jakie się tu szczupaki rzucają?

— Szczupaki?

— Na moje sumienie, Mojsie, szczupak to jest doskonała ryba...

— Obyśmy ją we współce spożywali i oby nam poszła na zdrowie.

— Daj Boże... daj Boże... czy ja tego nie chcę? Owszem, ja bardzo pragnę, Jabym wolał nie pragnąć, wolałbym wziąć cały ten interes sam na siebie; ale eni mam kapitału tyle co potrzeba.

Obejrzeli całe terytoryum, porozumieli się co do warunków współki, potem poszli do dworu. Tam siedzieli kilka godzin, bo przeprawa była ciężka. Szlachcic wcale nie miał ochoty dać się zarznąć, dwaj kuzynowie zaś uparli się, aby mu koniecznie zrobić tę przyjemność. Było z tego powodu małe nieporozumienie, bo tamten jegomość miał temperament gwałtowny, a Mojsie i Icek odznaczali się łagodną słodyczą i stałością, która zawsze zwycięża.

Doprawdy, jeżeli się komu zdaje, że łatwo jest wziąć w dzierżawę młyn na dogodnych warunkach z niejaką bonifikacyą za opłacenie czynszu z góry, jeżeli się komu zdaje, że to bagatela—to mu się źle zdaje. To jest ciężka praca, niezmiernie ciężka.

Z początku było cicho i spokojnie, szło wszystko, delikatnie; potem szlachcic zaczął hałasować, jak zwyczajnie w handlu, nawet puścił ręce w ruch. Oni są tacy gwałtowni. Z początku Icek wyleciał za drzwi, potem wyleciał Mojsie. Potem obaj wrócili i znowu wylecieli obaj. Następnie Icek tłomaczył się szlachcicowi, że wszystkiemu jest winien Mojsie, a po chwili Mojsie tłomaczył, że takiego paskudnego żyda jak Icek w życiu swojem nie widział i nie zobaczy. Hardy, skąpy i gwałtownik niesłychany. Onby chciał odrazu człowie-

ka zjeść, zamiast gryść go po kawałeczku, powoli... Szlachcic już nie krzyczał, tylko sapał, Mojsie i Icek mieli mocne poty, a twarze ich stały się całkiem czerwone, jak gotowane raki. To jest praca, bardzo ciężka praca, kto tego nie zna, ten nie rozumie, a kto nie rozumie, to nie zna.

Taki interes ma dwie części: jedna jest gadana, druga pisana, ale przy pisanej bywa także duże, bardzo duże gadanie. Pióro z ręki leci pod stół, z pod stołu znowu do ręki, zadatek co się pokazuje, to się chowa, zupełnie tak samo jak słońce, i wtenczas dopiero człowiek doznaje pewnej ulgi, wtedy dopiero czuje cokolwiek powietrza w piersi, gdy może powiedzieć: „Siojn, niech ja stracę“! Wówczas z głowy jego spada wielki kamień, z pleców cała góra się zwala... Jest mu lekko, oddycha zupełnie jak człowiek ciężko chory, po powrocie do zdrowia.

Kiedy Icek i Mojsie powiedzieli siojn, to im góry z pleców pospadały, ale zarazem uczuli taką czczość, takie ściskanie w dołku, że postanowili zaraz pójść do karczmy i napić się wódki—tylko wyniknęła pomiędzy nimi kwestya, kto za nią zapłaci? Icek wcale nie chciał ponosić na to wydatku, a Mojsie zupełnie nie miał chęci; wprawdzie jako wspólnicy mogliby kupić sobie gorzałki do współki i to byłoby sprawiedliwie, ale po wielkim namyśle uznali, że będzie dużo sprawiedliwiej jeżeli wódki da szlachcic. Zrobił doskonały interes, dostanie pieniądze za sześć lat z góry, dla czego więc nie ma poczęstować dwóch poczciwych ludzi? Pokrzepił

się tedy Icek i Mojsie tanim kosztem, kosztem delikatnej przymówki—i obaj dopiero uczuli, że im dobrze jest.

Powracając do miasteczka, rozmawiali o młynie i zyskach, jakie osiągną; tworzyli całe góry kombinacyj, morza obliczeń, a potem gawędzili sobie o rzeczach ogólnych. Mojsie robił Ickowi delikatną wymówkę za zamiar wyjazdu.

— Dalibóg, Icuniu — mówił—mogę ci to szczerze powiedzieć, że ów wyjazd nie robił wielkiego honoru twojej głowie.

— Co chcesz od mojej głowy?

— Jakto co? Czego człowiek chce od kozy? Trochę mleka. Czego żąda od głowy? Cokolwiek rozumu.

— Chcecie powiedzieć, że ja jestem głupiec?

— Nie chcę tego mówić, broń Boże, ale myślę sobie, że w tym interesie wasz rozum był chyba wypuszczony w dzierżawę, jak ten młyn w Wywłoce.

— Pfe! co to za gadanie!

— Wleźcie-no, Icku, sam w siebie i pogadajcie ze swoją duszą; jeżeli ona wam powie, że mieliście recht, to ja się będę bardzo dziwił, a jeżeli wam powie co innego, to wy się będziecie dziwili, jakim sposobem takie głupstwo mogło wam wejść do głowy...

— Posłuchajcie Mojsie, co ja wam powiem.

— Dla czego ja nie mam posłuchać co wy powiecie? Owszem, możemy sobie o tym interesie pogadać całkiem porządnie.

— Wiadomo wam pewnie, a jeżeli nie wiadomo, to się odemnie, bez żadnej dopłaty, możecie dowiedzieć,

że nię ma na świecie takiej maszyny, takiej dziwnej mechaniki, takiej kupy kombinacyj, jak jest człowiek.

— Co to za gadanie? człowiek jest człowiek.

— Mojsie! wam się tylko tak zdaje.

— Co to jest „zdaje?“ Fe! Icku fe! jeszczeście nie dojechali do Ameryki—a już zaczynacie gadać jak jaki paskudny apikores. Co jest człowiek? Alboż w piśmie nie stoi, że człowiek jest człowiek — a nie tak jak wy powiądacie: mechanika.

— To prawda, ale i to, co ja mówię, to też jest prawda.

Mosiek ramionami wzruszył.

— Nie wiem, co chcecie powiedzieć.

— Czy naprzykład Mendel jest człowiek?

— Pytanie!

— A żyd on jest? A pachciarz on jest? A nabożnik on jest?

— Jest, jest, co chcesz?

— Chcę pokazać, że Mendel jako człowiek, prócz tego, że jest człowiek, jest także żyd, jest pachciarz i jest nabożnik. Jeżelim powiedział, że człowiek jest to kupa kombinacyj, to nie znaczy, że wszystkie kombinacye miały iść z tego człowieka, co o nim w piśmie stoi. One mogą sobie wychodzić trochę z żyda, trochę z pachciarza, trochę z nabożnika i tak też one wychodzą. Ja się dziwię, że taki prosty interes trzeba wam wpychać do głowy z wielką forsą, jak klin w sękaty kawał drewna...

— Mówcie wy trochę delikatniej, Icku.

— Niech to was nie obraża, ja powiedziałem tylko dla przykładu.

— Wybierajcie trochę porządniejsze przykłady, ja was bardzo proszę, mój Icku.

— Nie, Mojsie, tu nie potrzeba się ani gniewać, ani mieć pretensyi, bo interes jest prosty. Powtarzam wam, że człowiek jest człowiek. Jego Pan Bóg stworzył, on taki jest, ale prócz tego on jest żyd—a czy żyd mało ma kombinacyj? On jest nabożnik, a czy wiecie jak wielkie są kombinacye nabożnika? One idą szeroko, po całym świecie i idą wysoko, do samego nieba—a teraz weźcie na uwagę kombinacye pachciarza! Sami byliście pachciarzem, ja byłem też pachciarzem, w naszej familii było ilu? stu, może tysiąc pachciarzów. Wiadomo wam, kochany Mojsie, że mało ludzi na świecie ma tyle interesów co pachciarze; od krowy do szlachcica, od skórki zajęczej do okowity, do wełny, do zboża, pachciarz wszystko umysłem swoim obejmować musi. Z tego powodu z jego głowy wychodzą kombinacye wielkie, a jeżeli dodacie do tego kombinacye żyda i kombinacye uczonego nabożnika, to przekonacie się, że człowiek jest cała mechanika i wielka kupa kombinacyj. Może nie prawda?

— Może i prawda.

— Ja wam powiadam, że prawda.

— Ale do czego, Icku, wy prowadzicie tę rozmowę? Którędy idzie bieg naszych myśli? Dla czego on wykręca na prawo, na lewo, a nie idzie tam dokąd iść powinien, dla czego nie idzie wprost do interesu?

— On idzie, on idzie niekoniecznie prostą drogą, bo nigdzie nie stoi napisane, żeby wszystkie drogi były

proste. On idzie naokoło, ale zawsze tam przyjdzie, gdzie potrzeba.

— Ciekawym!

— Ja chcę prowadzić do tego. Ja jestem Icek, podług waszego rozumienia taki sobie Icek, zwyczajny Icek Grünbaum, pachciarz z Trzęsideł, a to jest wcale nieprawda.

— Nieprawda? To z kim ja zrobiłem współkę na młyn?

— Wy zrobiliście współkę z Ickiem Grünbaum, z tym co był pachciarzem w Trzęsidłach—ale jeżeli wam się zdaje, że ja jestem tylko ten Icek Grünbaum, to się mylicie grubo.

— A co Icek jest?—zawołał przestraszony już na dobre Mojsie.—Co Icek jest? Z kim ja zrobiłem kontrakt? Z kim ja mam współkę do młyna?

— Ja jestem Icek podwójny.

— A ja was bardzo, ja was bardzo proszę, Icku, nie róbcie wy żadnej symulacyi. Spółka to spółka, a między porządnymi ludźmi nie powinno być żadne szachrajstwo.

— Pfe, Mośku, wy macie drewnianą głowę. Ja wam już powiedziałem. że do współki jestem Icek Grünbaum; ale prócz współki, do zwyczajnych interesów ja mogę być Icek podwójny.

— Podwójny? co wy powiadacie?! Czy człowiek może być podwójny?

— Bardziej, aniżeli dubeltówka! Kombinacya interesów, o której mówiłem wam przedtem, robi człowieka nietylko podwójnym, ale potrójnym, nawet poczwórnym.

Wy się nie dziwcie temu. Wy do tej pory handlowaliście jednym tylko towarem.

— Ja? niech mi Pan Bóg da tyle zdrowia, iloma ja różnemi towarami handlowałem!

— Ja wiem, głównie jednym, handlowaliście mlekiem. To nie jest towar który wyrabia głębokość umysłu, to nie jest, źródło w któremby rozum mógł się wykąpać, jak żyd w mikwie i wyjść ztamtąd całkiem orzeźwiony. Daję wam na to słowo.

— A czem wy handlowaliście, Icku, że taki rozum wielki obrał sobie mieszkanie w waszej, bardzo zwyczajnej głowie? Co wy macie być lepszego odemnie? Ja żyd i wy żyd, ja pachciarz i wy pachciarz, ja wspólnik i wy wspólnik. Zkąd w was taka pycha, że chcecie być najmądrzejszy?

— Nie rozumiecie mnie wcale; przezemnie nie mówi pycha, tylko prawda. Wy jesteście Mojsie pojedyńczy, ja jestem Icek podwójny—a to znaczy tyle co dwóch Icków. Wam się to w głowie nie mieści, a to prosta rzecz. Wczoraj byłem Icek tamten, dziś jestem Icek ten. Wczoraj byłem tu jak gość, byłem obywatel amerykański, jedną nogą stałem już na morzu, a drugą podnosiłem do góry, żeby ją wziąć precz z Trzęsideł; dziś wcale nie podnoszę nogi, wcale nie jestem na morzu i jestem sobie obywatel tutejszy, dzierżawca młyna w Wywłoce.

— Przepraszam was, Icku, wy nie jesteście dzierżawca.

— A co jestem?

— Współdzierżawca.

— Aj Mojsie, Mojsie, ciężka wasza głowa! Jeżeli rozerznąć jabłko na dwie połowy, to ani jedna połowa nie będzie kotem, ani druga, za pozwoleniem, psem — ale obie będą tylko jabłkiem.

— No, no.

— To też ja do tego prowadzę, że dziś jestem dzierżawca. Sam, czy we współce, do rzeczy nie należy, dość, że dzierżawię młyn w Wywłoce i niech to moje wrogi wychorują, co ja na tej dzierżawie jeszcze nie zarobiłem. Ja jestem dzierżawca, obywatel tutejszy i nawet nie myślę wyjeżdżać do żadnej paskudnej Ameryki, pomiędzy kolorową szlachtę i dzikich czarnych chłopów, o których słyszałem dużo brzydkich rzeczy.

— Co wyście mogli o nich słyszeć?

— Słyszałem, że oni jedzą żywe małpy i żywe węże.

— Tfy!

— Ja to samo powiadam, a z tego co powiadam, możecie się sami przekonać, że jestem podwójny, bo wczoraj byłem inny i mówiłem wcale co innego. Mnie się zdawało, że dziki chłop jest lepszy od naszego chłopa — a dziki szlachcic od naszego szlachcica. Dziś widzę, że Ameryka nie jest taki kawałek złota, jak się zdawało. Dziś widzę zupełnie inaczej. Nie chcę w złą godzinę wymówić, Mojsie i pluję trzy razy, żeby się co złego do mego słowa nie przyczepiło, ale podług mego zdania, zrobiliśmy doskonały interes.

— Na młynie?

— Tak.

— Daj Boże.

— Ja wam mówię—a ja znawca jestem i wiem, że z pewnością w Ameryce nie może się taki interes przytrafić. Tam szlachta jest chytra, wyrachowana, a nasza komisya żydowska, ta co od samego Hirsza, chciałaby porządnych żydków zapędzić do grubej i niedelikatnej roboty, to jest fe!

— Dalibóg fe, macie racyę.

— Póki ja nie miałem tego młyna...

— Powiedzcie: póki my nie mieliśmy.

— No dobrze, póki my nie mieliśmy tego młyna, to mnie się zdawało, że Ameryka jest raj, teraz widzę, że ona jest tylko Ameryka i że trzeba wielkiego ryzykanta, coby chciał tego raju kosztować. Ja wcale nie chcę, mam już dosyć!

IV.

Z pochyloną głową, zamyślony szedł Icek do dworu w Trzęsidłach. W myśli przygotowywał już mówkę pożegnalną dla dziedzica, grzeczne słowo dla wszystkich domowników. Licho wie co się kiedy z człowiekiem stać może; lepiej więc z każdym dobrze wychodzić. Ma kto stanąć na drodze w przyszłości jak przeszkoda, niech lepiej stanie jako pomoc.

Wszedłszy do pokoju dziedzica, Icek pokłonił się bardzo nizko.

— A! Icek... jeszcze nie w Ameryce?

— Wielmożny panie, niech moje wrogi tam będą.

— Przecież taki świetny kraj... taka ziemia obiecana.

— To gadanie jest.

— Sam opowiadałeś.

— Byłem obałamucony.

— Proszę!

— Naprawdę, wielmożny panie, byłem całkiem zbałamucony. Mnie dużo nagadali, a ja niepotrzebnie słuchałem. Ja byłem rozżalony, byłem cierpiący, moje interesa nie szły, mnie ludzie robili przykrości, ja mia-

łem ciężkie życie. Mnie się zdawało, że tam za morzem jest lepiej a tu bardzo źle; tymczasem ja się przekonałem, że i tu źle nie jest, że i tu można żyć i handlować, nawet bardzo dobrze handlować.

— I cóż wpłynęło na wasze przekonanie?

— Co miało wpływać? ja sam sobie wpłynąłem.

— Tak nagle?

— Co dziwnego? Panu dobrodziejowi wiadomo, że jak kto siedzi w ciemnej izbie, to mu jest czarno, on nic nie widzi, a jak się wydobędzie na świat, na jasność, to widzi więcej niż sam chce.

— No tak, ale cóż Icka wyciągnęło na tę jasność?

— Ja sam.

— E musi być jakaś przyczyna...

— Może i jest... pewnie, że jest... co na świecie bez przyczyny się dzieje?

— Zapewne jaka dobra afera.

— Całkiem nie afera, wielmożny panie, tylko młyn, zwyczajny, wodny młyn.

— Gdzie?

— W Wywłoce, pewnie pan dobrodziej zna ten młyn?

— Znam doskonale.

— Pan dobrodziej nie powie, że to jest zły młyn.

— Owszem, doskonały.

— No; tembardziej, że na cztery, na pięć mil w okolicy drugiego takiego nie znajdzie.

— A racya.

— Są wiatraczki, a panu dobrodziejowi wiadomo, co jest wiatrak. To śmiechu wart interes; jak jest wiatr,

to on cokolwieczek miele, a jak nie ma wiatru, to nic nie miele. I co on miele? prostą razową mąkę dla chłopów! Co to jest? to nic nie jest, a ten młyn w Wywłoce? Ha! ha! on ma jedwabny pytel francuski, co, żebym ja tak jeszcze drobne dzieci miał, jak z pod niego drobna mąka idzie; a te kaszaki! aj waj, panie, co za kaszaki! francuskie, na moje sumienie. Perłowa jak perła, drobna jak brylanty, a te chłopskie kasze, lecą z pod kamieni jak śmiecie. Ja panu powiem, jak chłop koło Wywłockiego młyna przejeżdża. to się oblizuje, bo jemu zaraz pachnie kasza, za przeproszeniem pana dobrodzieja, ja cokolwieczek splunę, ze słoniną... Jest to pfe, ale dla chłopa, to nadzwyczajny zapach!

— A jednak mówiłeś Icku, że wolisz dzikich czarnych chłopów, aniżeli naszych.

— Co ja mówiłem? Ja nic nie mówiłem, a jeżelim co mówił, to w wielkim żalu i smutku. Teraz ja już żalu nie mam, ja wziąłem w arendę młyn w Wywłoce — i od tego czasu ja bardzo polubiłem naszych chłopów. Na moje sumienie, są to bardzo porządni ludzie. Niech mi pan dobrodziej wierzy.

— Jeszcze parę dni temu mówiłeś inaczej.

— Parę dni! mała rzecz. Czy pan dobrodziej wie co znaczy parę dni?! Przeszłego roku w połowie sierpnia żyto było po pięć rubli, a na wiosnę spadło na trzy! O pięćdziesiąt procent! No, jakie miał zdanie handlarz żyta w sierpniu, a jakie ma dziś?

— Ależ człowieku, tu chodzi o elementarne zasady.

— Aj zasady, zasady! Ja nie wiem co to są za-

sady, ja jestem teraz cały młynarz, ja znam tylko stawidła. Może one są także zasady. Ja panu co powiem: tak czy tak, trzeba żyć i to jest najgłówniejsza zasada. To jest cała mechanika, całe koło, które obraca świat. Niech pan mówi tak, albo tak, a ja powiadam swoje. Tam serce gdzie chleb, inaczej to nie może być.

— Nie, Icku.

— Może dla państwa nie, dla nas tak. Nam się należy cały świat z prawa sukcesyi.

— Po kim, u dyabła?

— Po Jakubie.

— Po jakim Jakubie?

— Wie pan, Abraham miał syna Izaaka, Izaak miał dwóch synów: Jakuba i Ezawa. My jesteśmy od Jakuba, państwo od Ezawa; a Jakub był starszy.

— Ezaw był starszy.

— Był, ale on swoje starszeństwo zcedował; bardzo formalnie, przed regentem, na Jakuba; ta cesya na nas przechodzi... bo dzieci Jakuba, który znaczy to samo co Izrael, to my...

— Naciągasz Icku.

— Co mam naciągać, to jest prawda.

— Ostatecznie, nie wygrałbyś swojej sprawy przed sądem.

— Ja wiem, ale to nic nie szkodzi. Nie mam wyroku, staram się innym sposobem.

— Jak?

— Jak można, tak czy siak, abym swoje miał. Zresztą, proszę pana, co my mamy o tem gadać. Ja mam swoje prawo, pan ma swoje; ja mówię tak, pan

tak; pan sobie jest dziedzic w Trzęsidłach; ja sobie na całym świecie jestem dziedzic.

— Nie wiedziałem o tem.

— Aj waj, czy to człowiek może o wszystkiem wiedzieć? Ja swoje dziedzictwo bardzo kocham, pan swoje też kocha.

— Powiedziałeś przecież przed paroma dniami, że nas znać nie chcesz.

— Panie dobrodzieju—to była omyłka.

— Powiedziałeś, że nas wcale nie kochasz.

— A pfe! czy ja to mogłem powiedzieć?

— Wyraźnie.

— Nie może być!

— Na własne uszy słyszałem.

— Nie wiem, chyba pan dobrodziej miał wtenczas, broń Boże, jaki feler na ucho...

— Mogę zaręczyć, że byłem jak najzdrowszy.

— No to chyba ja miałem feler na język.

— To prędzej.

— Ale już teraz nie mam ten feler.

— I nie odjeżdżasz Icku?

— Fe, wielmożny panie. Ja mam moje serce na młynie, a młyn w Wywłoce. Ja bym odjechał, zostawiłbym serce moje, a powiedz pan dobrodziej, czy człowiek może żyć bez... serca?!